

# Awantura w Niekłaju

Edmund Niziurski



calibre 0.9.27

**Edmund Niziurski**

*Awantura w Nieklaju*

**Wydawnictwo „Śląsk”**

**Katowice 1975**

**Wydanie IV**

**Spis treści:**

[\*\*Rozdział I\*\*](#)

[\*\*Rozdział II\*\*](#)

[\*\*Rozdział III\*\*](#)

[\*\*Rozdział IV\*\*](#)

[\*\*Rozdział V\*\*](#)

[\*\*Rozdział VI\*\*](#)

[\*\*Rozdział VII\*\*](#)

[\*\*Rozdział VIII\*\*](#)

[\*\*Rozdział IX\*\*](#)

[\*\*Rozdział X\*\*](#)

[\*\*Rozdział XI\*\*](#)

[\*\*Rozdział XII\*\*](#)

[\*\*Rozdział XIII\*\*](#)

[\*\*Rozdział XIV\*\*](#)

[\*\*Rozdział XV\*\*](#)

[\*\*Rozdział XVI\*\*](#)

[\*\*Rozdział XVII\*\*](#)

[\*\*Rozdział XVIII\*\*](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

**Rozdział I**

Wrogie hufce wciąż jeszcze kotłowały się na przeciwległych stronach błonia. Doktor Gwidon Otrębus w harcmistrzowskiej bluzie i krótkich spodenkach biegał z gwizdkiem w ustach od jednej armii do drugiej i zapędzał niesfornych rycerzy do szyku.

— Wszyscy na pozycje wyjściowe! Dlaczego król Jagiello zbiegł z pagórka? Czy nie wiesz, ośle jeden, że król Jagiello przez całą bitwę stał na pagórku?

— Jak to stał? — zapytał z rozczarowaniem Michał, czarnowłosy, muskularny chłopiec. — Stał i nic nie robił?

Doktor Otrębus chrząknął zakłopotany.

— Król Jagiello kierował ruchami wojsk.

— O rany, to ja już wolę być Witoldem!

— Witoldem jest Zenon. Zenon — zwrócił się Otrębus do wysokiego szczupłego blondasa — czy chcesz się zamienić z Michałem?

— Akurat! Jeszcze czego! — odparł opryskliwie Zenon i przy sposobności wlepił kuksańca Michałowi.

— Cicho, nie klóćcie się — uspokajał ich Otrębus. — Spójrzcie, kto patrzy na was z hałdy.

**Chłopcy podnieśli głowy. Na haldzie fabrycznej nad bloniami stała pani Bożena, kierowniczka szkoły w Osiedlu, w towarzystwie naczelnego inżyniera Zakładów Nieklajskich, pana Ankwicza.**

**\* \* \***

**— No i jak się panu podobają teraz nasi chłopcy, inżynierze? — zapytała pani Bożena Ankwicza. — Doktor Otrębus to stary harcerz. Zdaje się, że ujarzmił ich całkowicie.**

**— Sądzi pani? — Inżynier uśmiechnął się powściągliwie, zerknął ukradkiem na zegarek i westchnął. Nie miał jakoś dziwnie zaufania do wychowawczych namiastek, które lekarz fabryczny stosował podczas wakacji wobec nieklajskiej młodzieży.**

**Najlepiej byłoby wysłać tę całą bandę na kolonie albo na obóz harcerski, im dalej od Nieklaja, tym lepiej. No, ale w tym roku obóz był organizowany w trudnych warunkach w Bieszczadach i pojechali na niego tylko chłopcy i dziewczęta od czternastu lat, i to jeszcze wybrani. Tak postanowiła ostrożna i zbyt może bojaźliwa Rada Opiekuńcza Drużyny. A kolonie? Na kolonie wyjadą dopiero w sierpniu na ostatni turnus. Taki jest „przydział” dla Zakładów Metalowych w Nieklaju.**

**Stąd te doraźne inicjatywy wychowawcze niezmordowanego doktora Otrębusa.**

**Inżynier spojrział w dół na blonia rozciągające się u stóp haldy, na szczycie której stał z panią Bożeną.**

**\* \* \***

**Otrębus już był przy Krzyżakach.**

**— Natychmiast włóżcie płaszcze. Co to znaczy, spacerujecie z płaszczami pod pachą!**

**— Czy Krzyżacy walczyli w lipcu w płaszczach? — jęknął Reksza, kędzierzawy, rudawy dryblas przebrany za okrutnego komtura, Kuno von Lichtensteina.**

— Tak. I do tego w ciężkich zbrojach.

— To ja dziękuję — Reksza zawiązał sobie pod brodą rogi prześcieradła. — Niech oni też założą płaszcze — pokazał na chłopców po prawej stronie.

— To niemożliwe — tłumaczył Otrębus. — Tylko Krzyżacy mieli płaszcze.

— To niech oni będą Krzyżakami. No nie, Andrzej? — zwrócił się do chłopca w okularach, przebranego za Wielkiego Mistrza, Ulryka von Jungingen.

— Tak, proszę pana — poparł go Wielki Mistrz. — Dlaczego oni mają stale zwyciężać. Niech chociaż raz będą Krzyżakami i zobaczą jak to przyjemnie.

— Już za późno na zamianę. Jutro generalna próba. Losowaliście zresztą, kto kim ma być.

Inżynier Ankwicz kręcił się niecierpliwie na haldzie i coraz bardziej otwarcie zerkał na zegarek. Widząc to, pani Bożena postanowiła przyśpieszyć wypadki dziejowe. Zbiegła z haldy na błonie i podeszła do spoconego aktywisty.

— Niech się pan pośpieszy, na litość boską, panie Gwidonie, z tą próbą, bo inżynier nie ma czasu. A wy nie utrudniajcie doktorowi pracy — zbesztala chłopców — przecież to tylko inscenizacja, więc po co te sprzeczki.

— Tak, inscenizacja — poskarżył się Kuno von Lichtenstein — ale oni naprawdę biją. Niech pani im powie, żeby nie bili.

— Dobrze, powiem.

Wreszcie wspólnym wysiłkiem udało się pani Bożenie i Otrębusowi uciszyć chłopców.

— Gotowe? — zapytał.

— Gotowe — odpowiedzieli gromko.

— No, to zaczynamy. Uwaga.

**Z braku trąb bojowych (trąbki-sygnalówki zabrali ze sobą na obóz starsi chłopcy)**

**Otrębus dał sygnał gwizdkiem i hufce ruszyły do natarcia.**

**Doktor otarł spocone czoło, podał ramię pani Bożenie i ruszyli na haldę. Tutaj z góry obserwowali z dumą „ścierające się zastępy”.**

**— A co będzie, doktorze, jak Krzyżacy naleją Polakom? — zażartował inżynier.**

**— To wykluczone — rzekł stanowczo doktor. — Chłopcy znają historię.**

**Lecz w tej samej chwili zmarszczył brwi. Niestety, na polu bitwy działy się fakty rażąco sprzeczne z historią. Oto bowiem Wielki Mistrz Ulryk, rozłożywszy na łopatki Zawiszę Czarnego, przedarł się aż do króla Władysława i zaczął z nim toczyć wspaniałe pojedynki, o którym głucho zarówno u Długosza, jak i u innych kronikarzy. Na szczęście Wielki Książę Witold nie stracił rezonu i — zagrzawszy Litwinów okrzykiem: „Hura na Kolonistów!” — wpadł z nimi na Ulryka.**

**Ten jednak, zamiast przykładowie polec, w rozwianym, białym płaszczu dał niegodnego drapaka z placu boju.**

**Pani Bożena i doktor Otrębus zbledli.**

**— Co się tu wyrabia, doktorze? — Inżynier, choć nie bardzo mocny w ojczystych dziejach, odczuł jednak, że mają tu miejsce rzeczy podejrzone historycznie.**

**— To... posunięcie taktyczne — chrząknął doktor Otrębus. — Niech pan będzie spokojny, Wielki Mistrz na pewno wróci, żeby polec. Mam całkowite zaufanie do Andrzeja Kszyka — dodał, zwracając się do pani Bożeny. — Oczywiście nad całością trzeba będzie jeszcze popracować — dodał skromnie — ale myślę, że już teraz może pan wstawić do programu obchodu uroczystości grunwaldzkich naszą bitwę. Nieprawdaż?**

**— Sądzicie państwo, że nie będzie wsypy — chrząknął inżynier. — Chłopcy są jacyś podnieceni. Zwłaszcza u Krzyżaków obserwuję pewną nerwowość.**

— Nic dziwnego, taki upał — rzekł Otrębus. — Zresztą ostatnio w Nieklaju wszyscy są jakoś podenerwowani. Czy pan zauważył, jak dziwny jest ostatnio nastrój w osiedlu?

— To chyba promieniuje z zakładów, jak wszystko w tym miasteczku — powiedziała pani Bożena.

— Cóż tam u was tak niespokojnie, inżynierze? Macie jakieś kłopoty? — zapytał Otrębus.

Inżynier zmarszczył brwi i rzekł wymijająco:

— U nas zawsze młyn.

— Niech pan nie będzie takim dyplomata. Zarządzono przecież rewizję przy bramie i wzmocniono straż przemysłową. Znow jakaś kradzież.

— Drobiazg... Ale zwracamy teraz uwagę nawet na drobiazgi. Tym bardziej, że od roku był już spokój. Zło trzeba niszczyć w zarodku. Ale przepraszam... czas na mnie.

— Jeszcze jedno, inżynierze — zatrzymał go doktor Otrębus pokazując mu hełm. —

Chciałbym, żeby pan sam osądził, jaki to szmelc, z odpadów, z wybrakowanych durszlaków i garnków... Niech pan sam przymierzy. — W zapale chciał nakładać inżynierowi hełm na głowę. — Nawet nie spilowali brzegów, wszędzie zadziory, to męka walczyć w takich hełmach. A hełmy to było przecież minimum naszych żądań.

Istotnie, marzeniem doktora było zakuć młodzież w blachy, takie, jakie widział na obrazie Matejki, ale funduszków starczyło zaledwie na hełmy, drewniane miecze i kopie, które zresztą też łamią się, bo nie cięto ich wzdłuż słoików.

— Uwzględniam reklamację — uśmiechnął się inżynier. — Niech pan zwróci hełmy, wypolerujemy je na polysk. Żegnam państwa.

— Jeszcze chciałbym w sprawie boisk...

— Nie teraz, niech pan łaskawie zajrzy do mnie po południu, dobrze? Obgadamy

wszystko. Jeśli jeszcze i ta rzecz panu się uda — uśmiechnął się — będzie pan naprawdę geniuszem.

— Sądzi pan, że się uda?

— Och, jeśli podejdzie pan z równym zapalem jak do bitwy pod Grunwaldem...

— Ale co? Zauważył pan! — uśmiechnął się doktor Otrębus.

— Odkąd chłopcy wyżywają się w naszych zabawach ruchowych, odeszła ich ochota do awantur...

— O... naturalnie. Żegnam państwa... Aha, byłbym zapomniiał. To znalazłem wczoraj w Ogrodzie. — Inżynier wyciągnął z kieszeni czarną chustkę. — Czy to nie któregoś z pańskich chłopców?

Doktor Otrębus rozłożył chustkę i oniemiał z wrażenia. Na chustce białymi nićmi była wyszyta trupia czaszka, piszczele i napis:

*Precz z kolonizmem!*

— Czy to nowe godło drużyny? Gratuluję pomysłu — skłonił się z trochę szyderczym uśmiechem inżynier i oddalił sprężystym krokiem.

Nie była to pierwsza niespodzianka, jaka spotkała w tych dniach Otrębusa. Nie dalej jak w niedzielę wybrał się z panią Bożeną na spacer do Ogrodu Szwajsa, by zapoznać ją z projektem zagospodarowania tego terenu, a nadto, by zażyć przyjemności spaceru „wśród drzew, zieleni i ruin”, gdyż mimo nowoczesności, uczucia romantyczne nie były mu obce. I oto, gdy oboje z panią Bożeną oddawali się tym uczuciom, nagle zza krzewów wynurzyło się oblicze Pirata w czarnej chustce zawiązanej z tyłu na głowie. Na ten widok doktor czym prędzej zrejterował w drugą stronę Ogrodu. Lecz tam znowu wpadł w jakiś starannie zamaskowany mchem, liśćmi i gałęziami wilczy dół. Pani Bożena nie od razu spostrzegła, co się stało. Tym większe było jej przerażenie, gdy zauważyła gdzieś w dole głowę doktora



Otrębusa, poruszającą się wśród mchów i gałęzi.

— Niech pani uważa — powiedział — obawiam się, że teren jest tu nieco nierówny.

— Tu jest jakaś kartka.

Pani Bożena podniosła epistolę zaopatrzoną w rysunek trupiej czaszki, z piszczelami, i przypieczętowaną kleksem przypominającym sylwetkę Afryki. Pod spodem widniało hasło:

*Precz z kolonizmem i imperializmem oraz krótki tekst: Znalazłeś się w rękach Piratów.*

*Okaż się dzielny i nie krzycz. Czekaj na swój los.*

— No cóż, czy będzie pan czekał na swój los? — uśmiechnęła się.

Doktor Otrębus nie miał na to wcale ochoty, zaklął pod nosem i wykorzystując swe umiejętności taternickie, po paru nieudanych próbach wyszedł na powierzchnię.

— Niesłychane — powiedział — to na pewno jacyś chłopcy ze Zgórska.

— Z pewnością — odrzekła pani Bożena.

Doktor Otrębus miał jednak od tej chwili poważne wątpliwości i w czasie przeglądu wojsk polskich, litewskich i krzyżackich uważnie przypatrywał się, czy spod wspaniałego hełmu rycerskiego nie wyjrzy krwawa twarz Pirata.

To wprawiało go w nerwowość i zakłócało mu pedagogiczny spokój. Tak, jak najprędzej należałoby zrobić porządek z Ogrodem. Tu zawsze najwięcej niespodzianek i kłopotów.

Był to właściwie olbrzymi, zdziczały park, opuszczający się tarasowo w dół i przechodzący niepostrzeżenie w naturalny las. Stanowił on spuściznę po przedwojennych właścicielach zakładów niekłajskich — Szwajdach, starej i znanej rodzinie niemieckich fabrykantów. Ich pałac, wypalony w czasie wojny, dotąd straszy ruinami w górnej części Ogrodu i czeka na odbudowę.

Po wojnie zastanawiano się długo, co zrobić z tym fantem. Najpierw miał tu być ośrodek wczasowy, potem „Park Kultury i Wypoczynku”. W stróżówce zwanej „meczetem” umieszczono nawet stróża, niejakiego pana Abdulewicza, zwanego pospolicie „Mullą”, czy to z powodu arabskiego nazwiska, czy też długiego fartucha, który nosił, a może — wielkiego szalika, którym często wiązał sobie bolące zęby. Przyjęto więc Mullę i naprawiono wysoki na trzy metry mur, który otaczał Ogród, lecz na tym się skończyło.

Wynikły trudności finansowe, fabryka przechodziła na inną produkcję, nie wykonywała planów i zabrakło pieniędzy na zagospodarowanie Ogrodu. Prace przesuwano z roku na rok. I tak zeszło.

A potem były ważniejsze sprawy na głowie. Kto by się tam zajmował Ogrodem. Koło starej odlewni budowano nową fabrykę. W tym czasie w ruinach pałacu urządzono skład materiałów budowlanych i Ogród znów był strzeżony, nawet mur uzbrojono wtedy dodatkowo nowym drutem kolczastym. A teraz, od roku, znów przebąkują o tym Parku Kultury. W każdym razie wchodzić nie wolno i Mullę każdego łapie. Tak więc w gruncie rzeczy nic się tu nie zmieniło...

Nic, to za dużo powiedziane. Zmieniło się. Bo oto Ogród został nielegalnie opanowany przez dwa plemiona: chłopców i dziewczynek, Związek Piratów oraz Związek Zielonych Jaszczurek.

Ostatnio zaś na widownię wkroczyła jeszcze trzecia siła.

Kiedy zaczęto stawiać nowe bloki i powstała kolonia robotnicza, razem z nowymi mieszkańcami pojawili się nowi chłopcy. Nazwano ich pogardliwie „Kolonistami”, a oni zaczęli się rewanżować dawnym mieszkańcom Osiedla niemniej pogardliwą nazwą „Tubylców”. Sytuacja stała się napięta i konflikt między obu siłami był nieunikniony.

Koloniści początkowo wyglądali na zupełnie niegroźnych. Nie dość, że nieliczni, to

jeszcze sobie obcy, zbieranina z różnych części Polski i z okolicznych wsi.

Lecz sytuacja zmieniła się krańcowo, kiedy na widnokręgu Niekłaja zabłysła nowa postać, niejaki Andrzej Kszyk. Był to, jak go opisywali z satysfakcją Tubylcy, okularnik postawy raczej mizernej, o długich rękach i nogach, pająkowaty, o ptasiej głowie, cofniętym podbródku i obliczu wymoczka, lecz, jak się później okazało, osobistość wybitna, o dużym potencjale intelektualnym. W ptasiej czaszce Kszyka leży się pomysły, które zdumiewały spokojny lud tubylczy.

Że był to typ podejrzany, od początku nikt nie miał złudzeń, zwłaszcza gdy stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że osobnik ów myje zęby i nogi dwa razy dziennie, co było raczej dziwnym zjawiskiem w Niekłaju.

Od razu też z tego powodu padły na niego podejrzania, że jest agentem doktora Gwidona Otrębusa, osobistości groźnej i zachłannej, która wtrącała się brutalnie w dzikie życie Piratów.

Podejrzania te ugruntowały się, gdy stało się publiczną tajemnicą, że Otrębus jest sublokatozem u Kszyków. Zrazu próbowano lekceważyć Kszyka i przejść nad nim do porządku dziennego, ale nie dało się. Typ zorganizował spośród Kolonistów paczkę i przemienił to trwożliwe plemię w bardzo niebezpieczny związek.

Codziennie teraz można było widzieć Kolonistów w białych cyklistówkach, koszulkach gimnastycznych i spodenkach harcerskich, uganiających się po Osiedlu, po hałdach, wydmach i błoniach.

Puszczali modele samolotów, wystrzeliwali rakiety, uprawiali jakieś dzikie gimnastyki i wygibasy, które nazywali „ćwiczeniami astronautycznymi”.

Zniknął spokój w Niekłaju.

Odtąd o każdej porze dnia można było usłyszeć ich bojowe zawołanie: „Pszenica,

**pszczola, kształt, Kszyk!”**

**Już to samo świadczyło o niebezpiecznym charakterze całego ruchu. Kto widział bowiem, żeby z wyjątków ortograficznych ukuć sobie bojowe hasło.**

**Wreszcie zaczęli w swej bezczelności przenikać do Ogrodu.**

**Kiedy jak kiedy, ale w obecnej chwili Piraci nie mogli w żaden sposób tolerować obecności Kolonistów w Ogrodzie. Chodziło przecież o skrzynie Szwajsa.**

**Sprawa jest najzupełniej poważna i wiąże się z tajemnymi nadziejami Piratów.**

**Od wojny krążą w Nieklaju pogłoski, że ostatni właściciel fabryki ukrył gdzieś na terenie Ogrodu skrzynie z kosztownościami, których nie zdążył wywieźć. Co jakiś czas ktoś grzebie w związku z tym w Ogrodzie. I to nie tylko maniacy, ale szanowani ludzie, nie mówiąc o przygodnych amatorach wrażeń, autostopowiczach i innych...**

**I chociaż do tej pory nikomu nie udało się wpaść na najmniejszy trop złota, to przecież, zdaniem chłopców, choć trochę prawdy musi być w tych pogłoskach. Dlatego z taką nadzieją powitali pojawienie się w Nieklaju nowej osobistości — Henryka Rei, czyli, jak go tu nazywają, „Bosmana”.**

**Ojciec Bosmana był znanym w Nieklaju stolarzem. Młody Reja jeszcze przed wojną wstąpił do marynarki, pływał na różnych statkach, także pod obcą banderą. A teraz się zjawił znowu, stary i schorowany, i zamieszkał u swojej siostry, wdowy Biegańskiej, w odludnym domu na samym skraju osiedla. Czy można było taką osobistość zostawić w spokoju?**

**Piraci rychło weszli z nim w komitywę, a nawet przenieśli siedzibę swoją do posiadłości Bosmana. W starej stolarni przechowywali broń, a na maszt anteny wciągali piracką banderę. Miejsce było wprost wymarzone na melinę, ponieważ codziennie rano pani Biegańska wychodziła do pracy i wracała dopiero późno po południu. Była**

**sprzątaczką w szpitalu.**

**Biedna wdowa nie miała nawet pojęcia, że jej bogobojny dom stał się przytułkiem Piratów. Skazany przez lekarzy na leżenie i ostrą dietę Bosman chętnie przyjmował u siebie chłopców z Nieklāja, zwłaszcza że nie przychodzili nigdy z pustymi rękami. Zakazane przysmaki mu znosili i różne mocniejsze napoje. Gwoli prawdzie należy zaznaczyć, że sprząтали także obejście i dokarmiali potajemnie żywy inwentarz wdowy, a to krowę Krasulę, owce, świnię, drób oraz kota Barnabę, ponieważ byli ludźmi honoru i chcieli czymś odplacić za nieprawne użytkowanie obiektu.**

**No i rzecz jasna nie zasypiali gruszek w popiele. Wielką otuchą napelniał ich fakt, że Bosman podczas okupacji przebywał w Nieklāju i nawet jakiś czas pracował w Ogrodzie Szwajjsa. Powinien chyba zatem wiedzieć coś o skrzyniach.**

**Gdyby tylko zechciał mówić! Ale Bosman niechętnie wspominał o swojej pracy w Ogrodzie. Może dlatego, że był to raczej przykry epizod w jego marynarskiej karierze. A może... strzegł jakiejś tajemnicy?**

**Mieli jednak nadzieję, że lada dzień wyduszą odpowiednie zeznania od Bosmana i będą mogli przystąpić do poszukiwań.**

**Dlatego obecność Kszyka w Ogrodzie działała im na nerwy i dlatego niedawno sprawili tam Kolonistom solidne lanie, które przeszło do historii Nieklāja pod nazwą: „Zwycięstwo pod Starą Altaną”. A że nie sposób było pilnować ustawicznie Ogrodu, Zenon wpadł na zdradziecki plan. Na ścieżce, gdzie wykryto tropy Kolonistów, wykopano pospiesznie i z wielkim nakładem energii głęboki dół, zamaskowano go cienkimi gałęziami, na które położono jeszcze mech, ziemię i zeschnięte liście, a na dnie umieszczono dla postrachu parę niegroźnych padalców. I czekano na rezultat.**

**Już kilka godzin później schwytano tam Kolonistę, niejakiego Rekszę, i sprawiono**

**mu małe trzepanie skóry, czyli manto. Pomogło.**

**Od tego czasu Koloniści omijali Ogród.**

## **Rozdział II**

**Bitwa była zakończona. Z pościgu za Krzyżakami wrócili ostatni chłopcy. Ściągali z ulgą hełmy, rzucali na ziemię. Siadali, zmęczeni, na trawie.**

**— Co się pokładacie?! — krzyknął Zenon. — Walimy od razu do Bosmana. Bosman wczoraj poczuł się znacznie gorzej. Pewnie dziś wylatuje.**

**— Nie zalewaj, umiera już od tygodnia — rzekł Michał.**

**— Ale wczoraj był znów u niego doktor Otrębus, a wdowa poleciała od razu do apteki.**

**— To on naprawdę chory? — zdziwił się Susuł.**

**— A co, myślałeś, że nas buja? On tylko robi dobrą minę i nie przyznaje się, ale naprawdę to on jest bardzo chory i już niedługo umrze. Ma amebę tropikalną w wątrobie, wiesz?**

**Chłopcy ucichli.**

**— Myślisz, że on na pewno zna tajemnicę? — zapytał po chwili Długi Tomek.**

**— Na pewno. Ty wierzysz, że on tu przyjechał na emeryturę? On tu, bracie, przyjechał po skrzynie Szwajsa. Tylko go choroba zmogła i nie zdążył ich wykopać.**

**— A jeśli weźmie tajemnicę z sobą do grobu?**

**— No, właśnie. Nie można do tego dopuścić. Od dzisiaj stale ktoś musi dyżurować przy nim. A poza tym... poza tym trzeba jeszcze dzisiaj zmusić go koniecznie do zeznań.**

**— Zmuszamy już od tygodnia i nic nie wychodzi — rzekł zniechęcony Michał.**

**— Widocznie za słabo.**

**— Powiedz od razu, ile to będzie kosztowało. W kasie nie mamy ani grosza...**

— Ja wódki już nie przyniosę, ojciec mnie nakrył — rzekł Marian.

— Wszyscy myślą, że to my pijemy — dodał ponuro Tomek.

— A w ogóle on jest chory i nie powinien pić — zauważyli Odjemkowie.

— Nikt nie powinien pić — mruknął Michał.

— Może by wystarczyła zwykła woda sodowa? — zapytał Susuł.

— Nie, on ma wstręt do wody. Marynarze mają wstręt do wody — wyjaśnił Zenon

— przynajmniej musi być piwo. I koniecznie trzeba baleronu. Bosman najbardziej lubi baleron — spojrzał wymownie na Susuła.

— Czego się na mnie patrzysz? — mruknął tłścioch. — Ja już nic nie przyniosę.

Mama po ostatniej historii zamknęła Mruczka w drwalce i nie mam na kogo zwałać winy.

Zresztą, dlaczego zawsze ja, kolej na Tadzika...

— Racja — poparł Michał. — On jeszcze ani razu nic nie przyniósł. Zawsze się wykręca.

Nieduży chłopak o bystrych oczach wsadził ręce w kieszenie.

— Mogę przynieść, wielkie co! Myślałem, że karmienie Bosmana sprawia wam przyjemność, ale jak tak, to mogę przynieść.

Wyjął z kieszeni monetę.

— Za pięć złotych wystarczy?

— Wariat! — oburzył się Tomek. — Musi być przynajmniej na dwadzieścia deko, inaczej rozdrażnisz go tylko.

— Pewnie, co można kupić za pięć złotych! — potwierdził Susuł. — Musisz wybulić trzy piątki, bracie. Każdy tyle wybulił.

— Nic dzisiaj nie kupisz. Przecież poniedziałek... — wtrącił ziewając Marian — dzień bezmięsny... Proponuję dać dzisiaj Bosmanowi makaron ze szpinakiem.

**Ale nikt się nie roześmiał. Marian zawsze się wyglupiał. A to były przecież poważne sprawy.**

**— W konsumie można by dostać... — zauważył Długi Tomek.**

**— Ale konsum jest w fabryce. Nie wpuszczają... — powiedział Marian.**

**— Przejdę jakoś. Zawsze przechodzę...**

**— Nie przejdiesz. Od soboty zaostżenia w portierni.**

**— Dlaczego?**

**Marian zmieszał się i spojrział jakoś dziwnie swoimi rybimi oczami na Michała, a potem szepnął coś do ucha Tomkowi i Tomek znów popatrzył na Michała.**

**Michał poczerwieniał. Idioci! Przecież od razu widać, że mówią o nim, i to coś nieprzyjemnego. Marian ma zawsze jakieś plotki w zanadrzu.**

**Już wszyscy zaczynają patrzeć na Michała z ciekawością... Ale Michał nie da z siebie robić ofiary. Zaraz im się tego odechce. Podszedł do Mariana i powiedział:**

**— Powtórz to głośno.**

**— Co?... — cofnął się Marian.**

**— To, co powiedziałaś o mnie do Tomka.**

**— O tobie? Zdawało ci się.**

**— Co on ci mówił? — Michał podszedł do Tomka.**

**— Nic... nic.**

**— Możesz mu powiedzieć, Tomek — odezwał się Zenon — przecież to nie żadna tajemnica. Wszyscy o tym mówią.**

**— Co mówią?**

**— Że... no, twój ojciec został aresztowany.**

**— Aresztowany? — wytrzeszczył oczy Michał. — To kłamstwo! — wykrzyknął, ale**



nagle umilkł, bo przypomniał sobie, że od piątku ojciec i mama byli jacyś dziwni... smutni i podenerwowani... i że nie widział ojca od wczoraj, bo ojciec nie wrócił na noc do domu. A przecież wczoraj była niedziela, więc nie mógł zostać w fabryce na nocnej zmianie.

— Nie, to niemożliwe — powtórzył nieswoim głosem. — Za co miałby być aresztowany? — patrzył po twarzach chłopców z niepokojem.

Chłopcy milczeli ze spuszczonej oczyma.

— Jakaś historia ze stopami w podręcznym magazynie wzorcowni — mruknął, nie patrząc na Michała, Zenon.

— Podobno coś zginęło — dodał Tadzik — ale nie przejmuj się. Może się wszystko wyjaśni.

— To niemożliwe, żeby mój ojciec... on nie mógł... no przecież nie mógł tego zrobić.

Musicie w to uwierzyć... Czy wierzycie?

Ale tylko bracia Odjemkowie odpowiedzieli od razu, że wierzą, a reszta milczała nieprzyjemnie.

— Jesteście podli! Wszyscy jesteście podli! Nienawidzę was!... — krzyknął Michał.

Cisnął na ziemię swój miecz i hełm z koroną. Zerwał czerwony płaszcz królewski Jagielly. A potem rzucił się biegiem w stronę osiedla.

\* \* \*

Najpierw stał pod drzwiami i podsłuchiwał. Może usłyszy głos ojca. Ale w mieszkaniu było cicho... Słyszał tylko głuche bicie własnego serca.

„A więc to prawda” — zacisnął zęby, żeby się nie rozplakać.

Postanowił sobie przecież na swoje czternaste urodziny, w tym roku, że już nigdy, nigdy w życiu nikt nie zobaczy w jego oczach łez.

Pchnął mocno drzwi i wbiegł do mieszkania. Nagle posłyszał znajomy kaszel. Zajrzał

do pokoju. Ojciec siedział jak zwykle o tej porze nad jakimiś rysunkami technicznymi. Na widok Michała uniósł brwi do góry.

— Co się stało? Jak ty wyglądasz? Zupełnie mokra koszula. Dlaczego tak pędziłeś?

— Tatusiu! — Michał podbiegł do niego uradowany. — Więc ty jesteś? — przywarł do marynarki ojca.

Ojciec spojrział na niego zdumiony. Michał nigdy nie manifestował w ten sposób swoich uczuć.

— A dlaczego nie miałbym być?

— Bo chłopcy mówili... — Michał ugryzł się w język.

— Co mówili? — Ojciec nie przestał rysować, ale Michał zauważył, że ręka mu drgnęła.

— Mówili... mówili... że ciebie zabrała milicja.

— Dlaczego miałyby mnie zabrać?

— Bo... bo coś zginęło w magazynie, gdzie trzymasz swoje wzorce. Czy... czy to prawda?

— Tak, zginęła sztabka stopu łożyskowego — odparł spokojnie ojciec.

— Czy to był bardzo potrzebny stop? — zapytał nieśmiało Michał. — Może jakaś tajemnica fabryczna?

— Nie. To był powszechnie znany, zwyczajny stop. Jego produkcja nie jest żadną tajemnicą.

— Ale może był drogi?

— Nie, wcale nie. Kilkadziesiąt złotych straty. To wszystko.

— Więc po co ktoś wziął?

— Ach, ludzie łakomią się na byle co. Może ten ktoś myślał, że to jest stop

lutowniczy. Stopy dzisiaj trudno dostać na rynku.

— Więc... więc dlaczego tyle szumu?

Ojciec przestał kreślić i spojrzał na Michała uważnie.

— Widzisz, postanowiliśmy wytępić w naszej fabryce nawet najmniejsze kradzieże...

I każde takie zaginięcie, zwłaszcza w magazynie...

— Ale nie wyrzucą cię z pracy — przerwał niespokojnie Michał — tak jak pana Mniszka w zeszłym roku?

— Oczywiście, że nie — uspokoił go ojciec. — Mniszek... wiesz przecież, co było z Mniszkiem.

— Wiem — szepnął Michał — on... on się upijał i... i zrobił bałagan w laboratorium, prawda ?

Ojciec uśmiechnął się.

— Tak.

— A ty... ty nie masz się czego bać.

— Tak. Tylko, że to nieprzyjemna sprawa — powiedział ojciec. — Widzisz, chodzi o sam fakt, że ktoś mógł wejść do magazynu i ukraść. Ponieważ tylko ja, jako kierownik wzorcowni, miałem klucze, więc...

— Więc myślą, że to twoja wina.

— Właśnie.

— Ale to nie twoja wina, prawda?

— Nie — odparł cicho ojciec — to nie moja wina. Zawsze zamykałem magazyn, klucze miałem przy sobie, nikogo nie wpuszczałem. A jednak ta sztabka zginęła.

— Może ktoś się włamał?

— Nie, tam nie ma żadnych śladów włamania. To właśnie nie daje mi spokoju.

Michał milczał przez chwilę zamyślony. Tak bardzo chciał pomóc ojcu. Nagle

powiedział:

— Czy mógłbyś mi pokazać ten magazyn, tato?

Ojciec zaśmiał się.

— Nie bądź śmieszny. Mówię ci, że tam nie ma żadnych śladów. Wiem, że chciałbyś mi pomóc, ale proszę cię, nie myśl o tym więcej. A teraz zostaw mnie samego. Mam pilną robotę.

Pochylił się nad rysunkami.

Michał wycofał się do swojego pokoju. A jednak to jest bardzo przykra historia z tą sztabką. W jaki sposób mogła zginąć? Nigdy dotąd nic nie zginęło z magazynu ojca. Ojciec mówił, że nie ma żadnych śladów... A jednak ktoś tam musiał wejść. Nie ma śladów włamania, więc dlatego podejrzewają ojca. To musi być dla niego okropne. I chłopcy też podejrzewają. Nie, tej sprawy nie można tak zostawić. Ale co robić? Jakie wyjście?

Różne pomysły przychodziły mu do głowy, wreszcie postanowił zadzwonić do Anki Ankwiczówny.

Jej ojciec jest naczelnym inżynierem zakładów. Może Anka coś poradzi. Po długim wahaniu nakręcił numer. Jeszcze nigdy w swym życiu nie telefonował do żadnej dziewczynki. Tak się złożyło... I zresztą... zresztą nie miał zwyczaju. A Anki prawie nie znał — chociaż mieszkała w sąsiednim domu, to chodziła do innej klasy. Pierwsze i jedyne słowa zamienili przy niedawnych układach między Związkiem Piratów a Związkiem Zielonych Jaszczurek, którego Anka była wodzem. Co gorsza — Boże, dopiero teraz sobie o tym przypomniał! — pokłócili się wtedy. Byłby rzucił słuchawkę, ale już usłyszał w niej głos dziewczynki:

— Tu Anka. Kto mówi?

— Michał.

— Jaki Michał? — nie rozumiała od razu.

Nie wiedział, jak wytłumaczyć.

— No... no... Pirat.

— Aha, Pirat. Cześć! — powiedziała Anka wesolo. — Co się stało? — zdumiała się.

Był to pierwszy w jej życiu telefon od Pirata.

— Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć — wykrztusił, sam przerażony własną odwagą.

— W sprawie Związku?

— Nie w... prywatnej.

— Co to znaczy prywatnej?

Michał się zrobił czerwony jak burak.

— To znaczy... to znaczy... — chciał jakoś mądrze powiedzieć, ale powiedział tylko:

— Mam zmartwienie.

Znów okropna cisza. Anka milczy. Może pomyślała, że się z niej nabija, i rzuciła słuchawkę. Ale po chwili usłyszał przyjemny głosik: — Dobrze, przyjdź.

Zjawił się za dwie minuty. Stanął u progu zakłopotany i zawstydzony.

— No, wejdź... nie bój się, nikogo w domu nie ma. Możesz mówić swobodnie.

Spojrzał na nią i pomyślał, że ma ładną, pełną buzię ze śmiesznymi dołkami i mądre, jasne oczy, ale to go jeszcze bardziej onieśmieliło. Nie wiadomo dlaczego, czoło mu się spociło.

— Strasznie się zmęczyłeś. Dam ci wody. Siądź. — Naląła mu wody sodowej z syfonu i siadła naprzeciw niego z rękami na kolanach. — A teraz mów.

Słuchała go z szeroko otwartymi oczyma.

**I od razu różniej jakoś mu się zrobiło, że ktoś go słucha z takim szczerym przejęciem.**

**— Wiesz, to okropna historia — szepnęła, kiedy skończył.**

**— Straszna — powiedział — bo jak się nie znajdzie sprawcy... No, to będzie na ojca.**

**— Nie bój się, będziemy działać — powiedziała bez wahania Anka. — Najpierw trzeba zbadać ten magazyn. Na pewno coś przeoczyli.**

**— Właśnie dlatego przyszedłem. Gdybyś mogła się wystarać o pozwolenie u ojca, moglibyśmy obejrzeć...**

**— Pozwolenia to ja nie dostanę. Wiesz, mój tatuś jest... jest pod tym względem zbyt... zbyt lakoniczny. — Zastanowiła się na moment. — Ale... czekaj no... jest przecież wyjście. Doktor Otrębus obiecał zabrać nas kiedyś do fabryki i pokazać zakłady.**

**— Tak, ale to było powiedziane właśnie tak „kiedyś”, bez daty.**

**— No, to może nas przecież zabrać jutro.**

**— Jeśli go do tego skłonisz.**

**— On teraz codziennie przychodzi do ojca.**

**— Leczy go?**

**— Nie, obgadują razem uroczystości lipcowe i grunwaldzkie, wiesz... Mój tatuś jest przewodniczącym Komitetu Obchodu. Jak się poszczęści, to dzisiaj spróbuję — rzekła zamyślona.**

**\* \* \***

**Wszystko poszło łatwiej, niż Anka myślała. Kiedy po południu wpadł do ojca zaaferowany jak zwykle doktor Otrębus, Anka od razu przystąpiła do działania.**

**— Czy podać kawę, tato? — zapytała niewinnym głosem.**

**— Jeśli można cię prosić — zdumiał się przyjemnie ojciec.**

W parę minut później wróciła z filiżankami pachnącego smakowicie napoju.

— Widzę, że dzielna córa godnie zastępuje mamę — uśmiechnął się doktor Otrębus.

— Ale skąd, nie ma jej po całych dniach. Tak jej się teraz tu podoba, że, niech pan sobie wyobrazi, nie chciała wyjechać na wakacje z matką i woląla zostać w Nieklaju. To pana zasługa, doktorze, rozruszał pan naszą młodzież.

— Hm... — mruknął doktor Otrębus, gdyż nie bardzo jakoś zauważył, by Anka interesowała się specjalnie jego „grami ruchowymi”, „zaprawą astronautyczną” względnie modelarstwem.

— Och, pan doktor jest cudowny! — szybko zapewniła Anka. — Teraz w ogóle nie można się nudzić! A jutro zapowiada się jeszcze wspanialej. Będziemy przecież zwiedzać z panem doktorem zakłady.

— Jutro? — zdziwił się Otrębus. — Myślałem, że po niedzieli.

— Oczywiście, że jutro — powiedziała Anka. — Wszyscy strasznie są ciekawi, już się nie mogą doczekać.

— Czy pan słyszał coś o tym, inżynierze? — Otrębus wyciągnął notes. — Ja tu nie mam nic zapisane, a pan?

— O, ja mam tyle spraw na głowie, że naprawdę nie pamiętam. Ale dla mnie to wszystko jedno. Możemy urządzić zwiedzanie jutro.

Otrębus niezdecydowany przecierał okulary. To prawda, że odkąd poznał panią Bożenę, bywa dziwnie roztargniony. Może naprawdę pomylił się w dacie.

— A więc jutro — powiedział. — Czy wszyscy już o tym wiedzą?

— Przypomnę im! — wykrzyknęła uradowana Anka.

### Rozdział III

Nazajutrz stado rozgadanej młodzieży biegło przez hale fabryczne pod konwojem

doktora Otrębusa i inżyniera Ankwicza. Przechodzą kolejne działy produkcji: kuźnię, wylaczalnię, krajalnię, odlewnię, spawalnię i obróbkę mechaniczną.

Anka i Michał trzymali się blisko siebie, nie brali udziału w ogólnej gadaninie i dyskusjach nad maszynami. Pogrążeni byli całkowicie w swoich myślach.

Michała raz po raz nawiedzały wątpliwości.

— Słuchaj — szepnął wreszcie do Anki — czy na pewno nas wpuszczą do tej wzorcowni?

— Na pewno — odparła Anka.

— Wątpię... Tam jest przecież mój stary. Ja go znam. On strasznie nie lubi, jak mu się przeszkadza. Jeszcze po tym, co się stało...

— Nie bój się. Musi wpuścić. Powiedziałam wyraźnie mojemu tatusiowi, że koniecznie chcemy zwiedzić wzorcownię, i tatuś mi obiecał...

— No tak, na sale produkcyjne może nas wpuszczą, ale do magazynu?

— Też puszczą. Mamy przecież zwiedzać całą fabrykę, tak nam przyrzekli. Trzeba tylko przypilnować i poprosić, jak będziemy we wzorcowni, żeby nam pozwolili zajrzeć także do magazynu, bo chcemy obejrzeć gotowe prototypy.

— Zajrzeć — westchnął Michał — otóż to właśnie! Czy pomyślałaś o tym, że, aby móc zbadać dokładnie, którędy dostali się złodzieje, musimy mieć czas i swobodę ruchów? Zajrzeć nie wystarczy. Ech, ja już wiem, jak to będzie wyglądać. Przegonią nas szybko przez magazyn i do widzenia.

— Niech nas tylko wpuszczą — powiedziała Anka — to ja już mam sposób, żeby zbadać dokładnie magazyn.

— Co to za sposób? — zapytał z niedowierzaniem Michał.

W odpowiedzi Anka odwinęła rękaw bluzki i pokazała na ręce bransoletkę z jakichś



**niekształtnych paciorków. Dużych i czerwonych.**

**Michał wytrzeszczył oczy. Nic nie rozumiał.**

**— To z kukurydzy — wyjaśniła Anka. — Bierze się ziarna niedojrzałej kukurydzy, nawleka na nitkę, potem maluje i suszy. Ładne, prawda? — To mówiąc, zaczęła jakimś węzowym ruchem wyginać rękę jak hinduska tancerka, aż podjechała z bransoletką pod sam nos Michała. — Podoba ci się? — zapytała i rozbawiona jego miną parsknęła śmiechem.**

**Michał spojrział na nią jak na wariatkę. To prawda, że w tym roku nawiedziła Nieklaj moda na jadalną biżuterię. Dziewczęta zupełnie poszalały na tym punkcie, robiły sobie korale i bransoletki z różnych ziaren, jagód, owoców, pestek, a nawet z makaronu. No, ale przecież to nie była pora ani miejsce, żeby przechwalać się przed nim tego rodzaju produkcją. I po raz pierwszy pomyślał, czy warto współpracować z babami i czy dobrze zrobił, że wtajemniczył Ankę we wszystko. Przygryzł wargi i rzekł cierpko:**

**— Ja się pytam o sposób, a ty mi wyjeżdżasz z bransoletką.**

**— Bo to właśnie jest sposób — spoważniała Anka.**

**— Nic nie rozumiem.**

**— Nie szkodzi. Później zrozumiesz. A teraz cicho, bo patrzą na nas.**

**Kiedy wreszcie dotarli do wzorcowni, Michał znów spojrział niespokojnie na Ankę i chciał o coś zapytać, ale ona wzruszyła tylko ramionami i położyła palec na ustach.**

**Na razie wszystko układało się pomyślnie. Do wzorcowni wpuszczono ich bez trudności, a Michał z ulgą stwierdził, że ojca nigdzie nie ma.**

**Inżynier Ankwicz udzielił kilku wstępnych objaśnień.**

**— To jest właśnie wzorcownia — powiedział. — Oczko w głowie naszych zakładów.**

**— Może nie tylko oczko, co mózg — zauważył z uśmiechem doktor Otrębus.**

— Słuszna uwaga — zgodził się inżynier. — W każdym razie mało fabryk może się poszczycić takim obiektem. Jak widzicie, jest to coś pośredniego między laboratorium naukowym a samodzielną małą fabryczką, umieszczoną w dużej fabryce. Jest to wylęgarnia nowinek technicznych. Każdy nowy detal, każda część silnika tutaj się rodzi i tutaj zdaje swoje pierwsze egzaminy życiowe. Dopiero, kiedy przetrzyma wszystkie próby, dopuszcza się ją do masowej produkcji. Ale zacznijmy od początku. Tu na prawo jest nasza „kuchnia alchemiczna”...

Michał spojrział zniecierpliwiony na inżyniera Ankwicza. Inżynier zabierał się do całego wykładu, prowadząc małych gości do pierwszej kabiny.

Michał zawahał się. Może machnąć ręką na Ankę i spróbować samemu?... Był już tutaj nieraz i wiedział, jak się idzie do magazynu. Jeśli będzie miał szczęście i wypatrzy chwilę, gdy ktoś otworzy drzwi... może uda mu się wślizgnąć do środka...

Ale już Anka, jakby domyślając się jego zamiarów, uchwyciła go mocno za rękę i niemal siłą wepchnęła do kabiny razem z innymi dziećmi.

— Dlaczego się gapisz, posłuchaj, co mówi mój tatuś, to ciekawe — uśmiechnęła się nieco szyderczo.

Michał spojrział na nią wściekły. Ale nie było rady, musiał cierpliwie wysłuchać objaśnień inżyniera.

— Tutaj pitrasimy największe specjały dla przemysłu. Szlachetne stopy — mówił inżynier.

Młodzież rozglądała się ciekawie. Kabina, w której się znajdowali, przypominała raczej pracownię uczonego chemika niż fabrykę metalurgiczną. Pełno tu było skomplikowanych aparatów i narzędzi, jakieś wagi aptekarskie, palniki, kolby, tygle... A pod ścianą długi szereg szafek podobnych do lodówek. Zapytali o nie.

— To nie lodówki — uśmiechnął się inżynier Ankwicz — ale wręcz przeciwnie:

elektryczne piece do wytwarzania ogromnych temperatur. W nich właśnie smażymy nasze stopy, tworzywo najcenniejszych części silnika. Zamiast patelni używamy specjalnych tygli, do nich pakujemy w odpowiednich proporcjach potrzebne składniki. Chodzi o znalezienie recepty na najlepszy stop. Od tego zależy głównie powodzenie nowego modelu silnika.

Bardzo trudna praca, żmudna i wymagająca dokładności, no i talentu o wiele większego niż kucharski. Najmniejsza bowiem dawka jakiegoś składnika zmienia często w sposób zasadniczy właściwości stopu. To tak na przykład, jak gdyby szczypta więcej soli zamieniała befsztyk w pulpety albo tort w kaszkę manę. Ale przejdźmy dalej.

Inżynier do spółki z doktorem Otrębusem przepchnął gości do małej odlewni, kuźni, a potem działu obróbki mechanicznej. Tutaj na precyzyjnych tokarniach, frezarkach i szlifierkach wykonywano części prototypów z dokładnością do setnych, a nawet tysięcznych części milimetra.

— A teraz na koniec zwiedzimy „salę egzaminacyjną” prototypów — powiedział inżynier.

Michał drgnął. Jeśli „na koniec”, to znaczy, że nic już nie będą potem zwiedzać i z magazynu nici... Co robić?

Ale nie miał nawet czasu zastanowić się nad tym, bo ciżba dzieci wepchnęła go do nowego pomieszczenia.

— Oto właśnie ta sala — mówił inżynier. — Tutaj nasze prototypy poddajemy szczegółowemu badaniu...

— Jak lekarz zawodników przed startem — dopowiedział doktor Otrębus.

— Nie tylko. Także jak okrutny kat ofiary — rzekł inżynier Ankwicz. — Jeśli któryś prototyp nie zda egzaminu, wraca do pracowni, tam biedzimy się nad nim z powrotem i

staramy się go poprawić. Jeśli zaś jest taki uparty, że nie daje się poprawić, bo i takie wypadki się zdarzają, wtedy, trudno, musi wędrować na złom. Nie ma innej rady.

Chłopcy i dziewczęta wytrzeszczyli oczy. No, teraz naprawdę było na co popatrzeć.

Tutaj im się podobało najlepiej. Właściwie tę „salę egzaminacyjną” należało chyba nazwać „salą tortur”. To, co wyrabiano tutaj z nieszczęsnymi detalami, trudno było nawet przy najlepszych chęciach nazwać egzaminem, to były wyrafinowane męki. Znęcano się tutaj nad silnikiem i jego poszczególnymi częściami na wszelkie możliwe sposoby, jakie tylko potrafi wymyślić przewrotny umysł okrutnego człowieka: gnieciono, ciągnięto, trzepano, bito, lamano, rozrywano, nacierano, przypiekano, prażono, nurzano w kwasach i truciznach. Oto właśnie podobny do szklanki, metalowy tłok włożono pod łapę specjalnej prasy.

Łapa zaczyna gnieść. Tłok się nie daje. Łapa gniecie i naciska coraz bardziej i bardziej. Pomalu ścianki tłoka zaczynają się wyginać, zrazu niepostrzeżenie, potem coraz wyraźniej, chłopcy i dziewczynki zaciskają aż zęby i pięści z wrażenia, jakby to ich gniotło, wreszcie stalowa „szklaneczka” spłaszcza się jak zgnieciony kapelusz. Nie do wiary. A obserwujący technik zapisuje wytrzymałość tłoka w specjalnej rubryce protokołu.

— Szkoda, proszę pana, taki ładny tłok pan zepsuł — powiedział Odjemek Mniejszy i wszystkim zrobiło się żal takiego zgrabnego, błyszczącego tłoka.

— Trudno. Ten tłok się poświęcił za inne — zażartował inżynier. — Za to pozostałych będziemy mogli długo i bezpiecznie używać.

Ale już uwagę wszystkich przykuło nowe narzędzie tortur. Stalowe szczęki złapały za końce korbówód i ciągną go w przeciwne strony jak dwa psy walczące o tę samą kość. Początkowo wydaje się, że nie dadzą mu rady. Twarda „kość” korbowodu ani drgnie. Ale ręka technika przekręca coraz bardziej guzik aparatu... Wciąż jeszcze nic się nie dzieje... Nagle... tuż przy głowicy korbowodu wyskakuje pęknięcie. Jeszcze chwila i z głuchym

trzaskiem korbówód rozlatuje się na dwie części. Koniec doświadczenia. Technik znów zapisuje.

Tam znów, pod ścianą, umieszczono cały silnik na drgającej podstawie i trzęsą nim, jakby chcieli z niego wytrząść ostatniego ducha. Nieszczęsny silnik podryguje bez przerwy. To nawet wygląda z początku śmiesznie. Ale po chwili nikomu już nie chce się śmiać. Silnik przypomina żywą istotę daremnie usiłującą zerwać się z miejsca albo chorego wstrząsanego przedśmiertnymi drgawkami... I tak całymi godzinami, dniami, tygodniami, aż do zepsucia. Gorąco się wszystkim zrobiło od tych mąk.

— A gdzie wędrują wypróbowane już, gotowe prototypy? — zapytał Odjemek Mniejszy.

— Do magazynu.

— A stamtąd?

— Do produkcji — wzruszył ramionami Marian.

— O nie, jeszcze nie tak prędko — pokręcił głową inżynier — najpierw z całą dokumentacją, obliczeniami i innymi papierkami wędrują do ministerstwa, a tam dopiero decydują, czy prototyp warto wprowadzić do szerokiej produkcji. Dopiero, jeśli rozpoczęcie nowej produkcji zostaje zatwierdzone, wtedy wracają do nas ze specjalną cenzurką, no i wtedy bierzemy się do dzieła.

— Tatusiu, musisz nam koniecznie pokazać te prototypy. Przecież jeśli się tyle zwiedzało, to się w końcu chce widzieć, jak to wygląda gotowe. To, co tu robicie.

— Tak, tak, panie inżynierze... koniecznie musimy zobaczyć — poparli ją wszyscy.

Michałowi zabiło serce. No, teraz się rozstrzygnie.

— Tam nie ma nic ciekawego — rzekł inżynier.

Widać było, że nie ma ochoty wprowadzać ich do magazynu.

— Dlaczego, proszę pana? — zapytał Tadzik. — Przecież tyle się robi tych

prototypów.

— Wcale nie tak dużo — odparł inżynier — przeważnie robimy to samo w kółko, ulepszamy. Tego gołym okiem nawet nie widać. Poza tym wzorcownia w tej postaci, jak ją tu widzicie, pracuje dopiero drugi rok, część naszych prototypów znajduje się w Warszawie, część na halach produkcyjnych zakładów. A te najnowsze... najważniejsze są... są po prostu dobrze schowane... no... i nie nadają się do oglądania.

Chłopcy spojrzeli na siebie znacząco. Aha, więc o to chodzi.

— No, trudno — powiedziała Anka — ale przecież możesz nam pokazać to, co wolno oglądać.

— Chcemy zobaczyć po prostu, co robi nasza fabryka. To przecież chyba wolno... — mruknęli Odjemkowie.

— Zajrzyjmy tylko na chwilę — prosili jeden przez drugiego.

To, że kryła się tam jakaś tajemnica i że inżynier tak niechętnie mówił o tym magazynie, wszystkich jeszcze bardziej podnieciło. Zresztą wiedzieli, że to właśnie z tego magazynu zginęła sztabka stopu i to działało na ich wyobraźnię.

Widząc, że jedyny skutek jego tłumaczeń — to wzrost zainteresowania, i to niezdrowego zainteresowania, oraz nowy powód do plotek, inżynier westchnął i rzekł:

— Dobrze. Przekonacie się, że mówiłem prawdę. Wpuszczę was, jeśli tylko pan kierownik pozwoli.

W tym momencie Michałowi zrobiło się troszeczkę zimno, bo zauważył, że ostatnie słowa wypowiedział inżynier do ojca, który już się zjawiał skądś zadyszany i niezbyt przyjaznym wzrokiem patrzył na dziecięcy najazd na jego wzorcownię.

— Jeśli pan sobie życzy, inżynierze — zamruczał pod nosem — ale tam naprawdę

nie ma nic ciekawego do oglądania.

— Bardzo prosimy — uśmiechnęła się Anka.

Ojciec Michała spojrział na nią, chrząknął i pomału wyciągnął klucze...

— Ale wchodźcie kolejno — powiedział — bo to mała klitka, wszyscy się naraz nie zmieszczą... najlepiej parami, po dwoje, tylko szybko.

Michał odetchnął nieco. Więc jednak wpuszczą ich do środka. Podniecony chciał rzucić się pierwszy, ale Anka znów go przytrzymała.

— Co robisz? Popsujesz wszystko. Wejdziemy ostatni.

— Dlaczego?

— Zobaczysz.

Tymczasem pary zwiedzających, jedna po drugiej, wchodziły do magazynu... i szybko wychodziły rozczarowane. Istotnie, inżynierowie mieli rację. Właściwie nie było tu nic specjalnego do oglądania.

Mała, brzydka izdebka o podłodze z solidnych, ale zwyczajnych desek, pełnej szpar i pomalowanej jakąś ciemną farbą, a może po prostu zapokostowanej tylko. Pod ścianą stało parę szaf oszklonych i jakieś regały z półkami, w kącie jedna duża żelazna szafa. Na półkach szaf i regałów leżało kilka eksponatów, jakieś kółka zębate, tuleje, sztabki, na jednej zakurzonej półce prostokątny ślad po czymś... pewnie po tej ukradzionej sztabce stopu — to wszystko. W pierwszym lepszym sklepie Motozbytu więcej można zobaczyć i w większym wyborze. Wydawało im się to jakieś dziwne. Jak to, tyle sal i kabin, tyle maszyn i urządzeń, tyle pracy, a wynik — jakiś niepozorny trybik, jakaś szara sztabka. Chyba, że co ciekawsze prototypy schowano w tej pancernej szafie... No, ale co z tego, kiedy nie chcą pokazać.

Jako ostatni weszli Michał i Anka. Michał od razu, zamiast patrzeć na eksponaty w

szafach, zaczął oglądać ściany, okna i drzwi. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się nienaruszone. Mury były grube ma metr chyba, w oknie mocne kraty, drzwi obite grubą blachą. Przydałoby się wprawdzie bliżej zbadać, ale jak... Ojciec i inżynier Ankwicz patrzą niecierpliwie. Może próbować ich czymś zagadać, żeby Anka mogła swobodnie poszperać...

Ale już za późno. Michał usłyszał głos ojca:

— No, coś się tak zagapił, uciekaj już, bo zamykam!

A więc przepadło wszystko... Michał od razu wiedział, że tak będzie. Zniechęcony chciał już zawrócić, gdy wtem usłyszał głośny rześisty grzechot, jakby bębnienie grochu po podłodze, a potem okrzyk Anki.

— Ojej, moja bransoletka!

Spojrzał i oczy mu się rozszerzyły. To kukurydza Anki rozsypała się po całej izbie i potoczyła w najdalsze kąty.

Inżynier Ankwicz pokręcił głową.

— Ach, ty niezdaro, zawsze musi ci się coś przydarzyć. I to w najnieodpowiedniejszym miejscu i momencie. Zostaw to, nie warto szukać. Już wychodzimy.

— Tak, nie warto — pociągnęła Anka nosem i jednocześnie mrugnęła znacząco do Michała. — To był „artystyczny przedmiot”, ty się na tym nie znasz, tatusiu. Pomóż mi, Michał.

Michał od razu zrozumiał. Ależ ta Anka ma pomysły! Doprawdy to genialny sposób!

Oboje rzucili się na podłogę, czolgając się na czworakach, niby to zbierali, a w rzeczywistości dokładnie oglądali wszystkie kąty w magazynie, zaglądali pod szafy, sprawdzali uważnie, czy nie ma tam jakichś dziur, przez które mógłby się przedostać złodziej, ale zarówno podłoga, jak i mury były całe i nienaruszone.



**Inżynier Ankwicz stracił cierpliwość.**

**— Nie mamy czasu. Zostaw to, Anka, mówię!**

**— Już zaraz, tatusiu — zasapała Anka, szperając za półkami. Widząc, że nie zanosi się na szybkie zakończenie poszukiwań, inżynier zwrócił się do ojca Michała:**

**— Trudno, nie będziemy na nich czekali, skoro się tak grzebią. Niech pan będzie tak dobry i wskaże im później wyjście, panie kolego.**

**— Nie ma zmartwienia, trafimy sami — uspokoiła go Anka.**

**I Ankwicz, jeszcze raz pokręciwszy głową nad jej niezdarnością, oddalił się z całą grupą. Myśleli, że już są całkiem swobodni, ale w drzwiach wciąż stał ojciec Michała i przyglądał się im pochmurnie.**

**— Długo jeszcze? — niecierpliwie brzękał kluczami.**

**— Jeszcze minutka — wykrztusił rozpaczliwie Michał.**

**Na szczęście w tym momencie do ojca podszedł jakiś pracownik z plikiem papierów.**

**Ojciec odwrócił się i zaczął uważnie przeglądać papiery. To wystarczyło. Anka i Michał zerwali się na nogi. Michał sprawdził kratę w oknie, a Anka obejrzała ściany na tej wysokości i dobrze przypatrzyła się sufitowi na dodatek.**

**Niestety, nie było widać najmniejszych śladów włamania, a kraty trzymały się nadspodziewanie dobrze.**

**— No i co teraz — szepnął do Anki przygnębiony Michał — zdało się jak psu na budę to całe poszukiwanie. Generalna klapa, czyli klops.**

**— Może nie jest tak źle — zmarszczyła brwi Anka, patrząc w podłogę.**

**— Jak to nie jest źle?**

**— Zdaje się, że zaczynam widzieć jedno rozwiązanie — rzekła pomalu.**

**Michał chciał zapytać, cóż to za rozwiązanie, ale w tej samej chwili usłyszał głos**

**ojca:**

— No co, wychodzicie wreszcie czy nie?

Zamiast odpowiedzieć Anka zadała mu dziwne pytanie:

— Proszę pana, czy panu tu w magazynie nie marzną czasem nogi?

— Nie, dlaczego? — zamrugał oczyma zdumiony ojciec Michała.

— I nie ciągnie od piwnic?

— Tu nie ma piwnicy.

— A od wentylacji? Ja widziałam, że czasem pod podłogą zostawiają pustą przestrzeń i robią dziury w murze, żeby tam dochodziło powietrze.

— Nie, to stary budynek — mruknął ojciec Michała — tutaj nie ma takiej wentylacji. Ale dlaczego pytasz... co ci się stało?

— Nic, nic...

— Popatrz, tu jeszcze leży ten twój paciorek i tam widzę...

— To już nieważne, proszę pana — rzekła roztargniona Anka. — Chodź, Michał, idziemy.

— Nieważne? — zmarszczył brwi ojciec Michała. — No, to czemu zawracaliście głowę! Tyle było zmartwienia o tę bransoletkę. Ech, co za dzieci...

Ale oni byli już za drzwiami.

\* \* \*

Kiedy wybiegli na dziedziniec fabryczny, doktor Otrębus w otoczeniu młodzieży zegnał się już z inżynierem Ankwiczem po drugiej stronie placu przy bramie. Dopędzili ich już w ostatniej chwili.

Na widok Michała wracającego razem z Anką Koloniści uśmiechnęli się szyderczo, a niektóre dziewczynki zaczęły szeptać coś do siebie.

— Gdzieżeście byli? — zapytała Celina.

— Zakochali się pewnie — zachichotał Reksza.

Michał walnął go w żebro... Beznadziejni. Nie można się nawet odezwać do dziewczynki, bo zaraz głupie uwagi, a uważają się za nowoczesnych.

Postanowił nie stchórzyć i pod ostrzałem ciekawych spojrzeń dopędził Ankę.

— Chodź, pójdziemy na lody do Brylla — zasapał. — Bo tu nawet nie można porozmawiać. Widziałaś, już są plotki!

— Przejmujesz się. — Anka wzruszyła ramionami. — Najlepiej mieć ich w nosie.

\* \* \*

Lodziarnia Brylla o tej porze była jeszcze pusta. Michał wysupłał z kieszeni w bluzie dziesięć złotych z Kopernikiem, które trzymał na nową finkę, i z westchnieniem zamówił dwie porcje lodów po pięć złotych. Jak się postawić, to się postawić.

— No i co o tym myślisz? — zapytał z niepokojem, gdy zabrali się do lodów. — Nikt nie mógł wejść, tylko przez drzwi...

— Wcale nie — odparła Anka — myślałam o tym przez całą drogę i zdaje mi się, że wiem. To nie jest oczywiście nic pewnego... ale zdaje mi się, że wiem...

— Wiesz? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Bo widzisz — ciągnęła Anka — jedna rzecz wydała mi się dziwna. Jeśli tam pod spodem nie ma piwnicy ani nawet wentylacji, to dlaczego schylając się czułam, jak przez szpary podłogi wieje zimne powietrze. A ty nic nie czuleś, jak czułgałeś się po podłodze?

Michał przygryzł nerwowo wargi.

— To prawda, ja też coś takiego czułem, jakby zimny wiew.

— Czy wiesz, co to znaczy?

Michał skamieniał.

— **Podkop! — wyszeptał.**

— **Tak, podkop! — powiedziała Anka. — To znaczy, że złodzieje dostali się przez podłogę.**

— **Ale przecież podłoga jest nienaruszona! — wykrzyknął Michał tak głośno, że aż Bryll za ladą zmarszczył brwi.**

— **Cicho, nie tak głośno — szepnęła Anka — on słyszy.**

— **A co to szkodzi. Myślisz, że Bryll jest ich współnikiem?**

— **Nie wiem, ale może się niechcący wygadać, takie rzeczy trzeba trzymać w tajemnicy.**

— **Więc co z tą podłogą?**

— **No, widocznie podpiłowali...**

— **Co ty opowiadasz, przecież sprawdzałem. Wszystkie deski całe.**

— **Deski tak, ale belki, na których one leżą, czyli legary, mogą być przepiłowane.**

— **Nie rozumiem.**

— **Posłuchaj. Deski podłogi są przybite do belek, prawda? Więc jak się przerżnie w dwu miejscach belki, to można zdjąć razem z nimi kawałek podłogi, wejść, a potem położyć ten kawałek na swoim miejscu i nawet nic nie widać.**

**Michał wytrzeszczył oczy.**

— **No... można — wykrztusił ogłupiały. Ale potem zdjęły go wątpliwości.**

— **No, dobrze, ale jakby tak było, toby się ta podłoga teraz nie utrzymała i zapadła.**

**Przecież te legary są podpiłowane.**

— **No, to co. Ale za to są podparte.**

— **Podparte?**

— **Złodzieje, jak wychodzili, podparli przepiłowane bele od spodu i wszystko się**

elegancko trzyma.

Michał spojrział bystro na Ankę. Albo to genialna dziewczyna, albo...

— Czy jesteś pewna, że to właśnie tak wyglądało? — zapytał w rozterce.

Anka westchnęła.

— No cóż... to jest... to jest tylko hipoteza.

— Hipoteza? Co to za zwierzę? — zdziwił się.

— Hipoteza to jest przypuszczenie naukowe — wyrecytowała Anka.

— Aha, przypuszczenie — Michał zmarkotniał. — To znaczy nie mur-beton?

— Nie mur-beton — odparła Anka — ale jeśli drzwi były cały czas zamknięte...

— Były — przerwał jej Michał gwałtownie. — Mówiłem ci już, że tatuś niczego nie zaniedbał. Nie zgubił kluczy ani nikogo nie wpuszczał do środka, ani nie zapomniał zamknąć nigdy drzwi. Nie wierzysz?

— Och, wierzę, wierzę, dlatego przecież wymyśliłam o tej podłodze. Gdyby w fabryce wierzyli twojemu tatusiowi, to też prawdopodobnie by od razu pomyśleli, że złodziej mógł wejść tylko tamtędy.

— Ale oni nie wierzą — spuścił głowę Michał.

— Dorośli są często leniwi — wzruszyła ramionami Anka — są leniwi i dlatego wybierają najłatwiejszą drogę. Łatwiej im było pomyśleć, że twój tatuś zapomniał zamknąć drzwi i dlatego... Ale nie przejmuj się. Zastanówmy się lepiej, z którego miejsca ci złodzieje zrobili wykop.

— No... z tego miejsca, skąd im było najbliżej.

— Ale skąd im było najbliżej?

— Musimy się zorientować, gdzie leży wzorcownia — powiedział Michał — w którym miejscu zakładów.

— Nie wiesz? — zdziwiła się Anka.

— To śmieszne, ale nie wiem — przyznał zawstydzony.

— Ja też — zaśmiała się Anka. — Tyle tam różnych budynków, przybudówek, hal i zaułków, że tracę orientację.

— No, to musimy zaraz zbadać — powiedział. — Pamiętam, że ona jest w starym budynku z czerwonej cegły, z żelaznymi kratami w oknach i z niewysokim, kwadratowym kominem. Chodź, popędzimy tam zaraz.

— Nie wpuszczą nas.

— Wystarczy, jak spojrzymy z haldy.

**Pobiegli.**

— To chyba ten — pokazała Anka na duży ceglany budynek.

— Nie, skąd, przecież on ma wysoki, okrągły komin.

— Prawda — zarumieniła się Anka — ten drugi też nie, to odlewnia. To chyba tamten — pokazała na ostatni komin na lewo. — Tam, przy samym Ogrodzie.

— Tak, to chyba ten — powiedział Michał. — Na pewno ten. A w takim razie...

— W takim razie sprawa jest jasna — szepnęła Anka. — Rozumiesz?

Skinął głową. To było oczywiste. Jeśli do wzorcowni dokonano podkopu, to tylko od strony Ogrodu.

— Powiem o tym wszystkim ojcu — rzekł rozgorączkowany Michał.

— Dobrze — powiedziała Anka — a ja jutro rano postaram się sprawdzić w Ogrodzie.

\* \* \*

**Michał wpadł jak burza do domu.**

— Tatusiu — zawołał od progu — nie martw się, już wszystko rozwiązałem...

rozwiązaliśmy! — poprawił zadyszany. — Złodzieje podkopali się od strony Ogrodu...

Ojciec popatrzył na niego z troską.

— Wciąż jeszcze o tym myślisz? Niepotrzebnie nabileś sobie głowę tą historią.

— Nie wierzysz — zasapał Michał — myślisz, że to niemożliwe? No to posłuchaj:

złodzieje podkopali się, przepiłowali legary pod podłogą wzorcowni i... — opowiedział pośpiesznie całą hipotezę Anki.

Ojciec pokręcił głową.

— Kto ci napłótl takich bzdur?

— Bzdury? — Na policzki Michała wystąpiły rumieńce.

— No, chyba sam w to nie wierzysz.

— No... to jest... tylko hi... hipoteza — wyjąkał zbity z tropu. — Myślisz, że ona jest do bani?

— Chyba tak.

— Myślisz, że to jest niemożliwe takie włamanie?

— Możliwe, ale nieprawdopodobne. Zupełnie nieprawdopodobne.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, w Ogrodzie jest stróż i nie ma żadnego podkopu. Po drugie, komu chciałoby się tak narażać i męczyć z podkopem dla zdobycia odrobiny stopu.

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym zupełnie — mruknął Michał. Poczul się, jakby ktoś na niego wylał kubel zimnej wody. — Rzeczywiście, komu by się chciało i opłaciło.

Z dworu ktoś go wołał. Wyjrzał i zobaczył braci Odjemków.

— Nie idziesz dzisiaj do Bosmana? Chłopaki wszystkie idą.

— Dajcie mi spokój. Nie chcę ich znać.

— Nie przejmuj się. Oni wcale nie myślą tak, jak ci się wydało. Mówili mi o tym... A

Zenon powiedział, żebyś przyszedł, może się uda coś wydusić od Bosmana.

Michał westchnął i zbiegł po schodach.

## Rozdział IV

Wspaniały model caravelle wzbil się ponad największą haldę. Światek Dauer obserwował go w napięciu. Tym razem nie było wiatru i samolot powinien dolecieć aż do łąk za Ogrodem. Niestety, nagle skręcił gwałtownie i opadł tuż za haldę. Światek podbiegł zaniepokojony. Czyżby jakaś wada konstrukcyjna? Z tymi francuskimi modelami zawsze takie kłopoty.

Zbiegł na dół i podniósł samolot. Na szczęście nie uszkodzony. Postanowił spróbować jeszcze raz. Wdrapał się z powrotem na haldę, ale w tej samej chwili spostrzegł kolumnę dziewcząt znikających w Wielkim Kanionie, między dwoma górami żużlu. Światek przygryzł wargi. Serce zabiło mu gwałtownie. Teraz należało się zdecydować. Jeszcze wczoraj postanowił sobie mocno, że spróbuje tej ostatniej szansy. To na pewno jest hańba i upadek, ale inaczej skona z nudów. Po ostatniej próbie nawiązania kontaktów stracił już wszelką nadzieję dostania się do którejkolwiek „męskiej” bandy.

Tubylcy, do których chciał najpierw przystąpić, wyśmiali go: „Nie masz kondycji, Adenauer, i w ogóle maminsynków nie przyjmujemy”.

Więc potem próbował do Kolonistów, ale oni nie chcieli o tym słyszeć, bo ubzdurali sobie, że jest szpiegiem Tubylców. Chyba dlatego, że widzieli go razem z nimi w lodziarni Brylla. Próbował wtedy przekupić Tubylców lodami. Tubylcy zjedli lody i ani im przyszło do głowy przyjąć Światka do siebie, choćby w stopniu kaprała. Łobuzy bez honoru. Jeszcze teraz na to wspomnienie Światek zaciska bezsilnie pięści. To się nazywa życiowa klęska. Za jednym zamachem stracił i forszę, i wszystkie szanse.



W tej sytuacji przyszła mu do głowy całkiem już rozpaczliwa myśl: „przystąpić do dziewczyn”. Tak, zdawał sobie sprawę, że to jest dno upadku i hańby, ale wołał już to od samotności i nudy. Dlatego dzisiejsze puszczanie modelu na haldach było tylko pretekstem. Właściwie przybył tu po to, żeby przystąpić do Związku Zielonej Jaszczurki.

Wiedział, że dziewczęta ze Związku codziennie zdążają tędy do Ogrodu, i liczył na to, że uda mu się niby przypadkowo spotkać tu z nimi. Jak zaobserwował, chodzenie do Ogrodu jest zwyczajem tutejszych plemion. Świątek przypuszczał, że ciągnie je tam pierwotny instynkt. Ostatnio zaczęli się pokazywać w Ogrodzie nawet Koloniści. Tak. Czyżby i w nich odezwał się ten instynkt? A może mają w tym jakiś inny, ukryty cel?

\* \* \*

Świątek nie mylił się. Wyprawy do Ogrodu należały do podstawowych obyczajów plemion. Tym razem jednak wyprawa Zielonych Jaszczurek miała cele zupełnie specjalne i wielorakie.

Nie na darmo Anka, wódz plemienia, z troską zadarła głowę i patrzy w zachmurzone niebo.

— Celina, jak myślisz, będzie słońce?

Tęga, piegowata dziewczyna, prawa ręka wodza, do której skierowane było pytanie, wzruszyła ramionami.

— Słońce? To nieważne! Tatuś mówi, że najlepsze zdjęcia robi w dni pochmurne.

Światło jest lepiej rozproszone i nie ma dużych kontrastów.

— Ale trzeba mieć czuły aparat, taki jak exacta twojego taty, a my mamy druha —

westchnęła Anka. — Poza tym... poza tym, jak nie będzie słońca, zwierzęta się pochowają.

Tak, to by było zupełnie fatalne dla Związku, gdyby zdjęcia nie wyszły. Przede

wszystkim z powodu konkursu. Dziewczęta postanowiły bowiem wziąć udział w konkursie

fotograficznym „Płomyka” pod tytułem „Bezkrwawe łowy”. Poza tym chciały posłać kilka ładnych zdjęć dziewczynkom z Finlandii, z którymi już prawie od roku korespondowały i wymieniały fotografie. Po serii „krajobrazów” i „budowli” zaczęły właśnie wymieniać „zwierzęta”. Ostatnio otrzymały zdjęcia reniferów z Dalekiej Północy, no i należało się czymś zrewanżować. Trzeci powód był nie mniej ważny. Trzeba było utrzyć nosa tym przemądrzałym chwalipiętom, starszym koleżankom, które przebywały na obozie harcerskim w Bieszczadach, i w listach chwaliły się, co też one nie widziały i nie robiły. Ostatnio napisały, że karmiły z ręki prawdziwego jelenia.

*Wielkie rzeczy — odpisała im Anka — jelenie to są poczciwe przeżuwacze. Karmić jelenia — to tak jak karmić krowę. My tu codziennie karmimy drapieżniki i nie chwalimy się, a poza tym widzieliśmy rysia i niedźwiedzia.*

To już było straszne łgarstwo i te harcerki z obozu wyśmiały Ankę w następnym liście.

Należało więc zrobić przynajmniej zdjęcie znajomego lisa Hilarego i uratować honor chociaż tym lisem. Oczywiście, nie było to łatwe. Lis Hilary prowadził tryb życia bardzo nietowarzyski i nieraz trzeba było spędzić nieruchomo całą godzinę przy norze, zanim wychylił swój trójkątny pyszczek. Na szczęście dziewczynki zdołały zaobserwować, że jest on bardzo punktualny, zawsze około trzeciej po południu wybiera się coś przekąsić w okolice strumienia i wtedy można go zobaczyć. Zresztą Ela, szef taborów, niosła na wszelki wypadek pulpet, który udało się jej podwędzić z dzisiejszego obiadu, i miały nadzieję, że ten pulpet wywabi Hilarego z nory.

Niezależnie od tego wyprawa miała cele naukowo-badawcze. Należało więc sprawdzić, czy jeż Kuba zjadł jabłka, które mu wczoraj podrzuciły, i przekonać się, czy on naprawdę jest tylko owado-mięsożerny, a następnie zobaczyć, czy wiewiórka Kita lubi

orzechy włoskie. Doświadczenia gastronomiczne przeprowadzane na Kicie należały do najbardziej pasjonujących prac Związku.

Był jeszcze jeden powód, dla którego dzisiejsza wyprawa miała charakter specjalny.

Od wczoraj Anka nie przestawała myśleć o sprawie dziwnej kradzieży we wzorcowni.

Gdyby tak się udało odkryć w Ogrodzie podkop! Na pewno jest dobrze zamaskowany, ale

Anka była przekonana, że istnieje i postanowiła go odszukać. Ale to była tajemnica. Nie zdradziła jej nikomu. Nawet Celinie.

\* \* \*

Przy końcu Wielkiego Kanionu Anka zatrzymała kolumnę. Teraz szczególnie

należało się mieć na baczności. Zaczynały się niebezpieczeństwa. Można na przykład wpaść w ręce Mully. Brr... Ankę przechodzi dreszcz na samą myśl o takiej ewentualności.

Najgorsze, że Mulla powiedziałby o tym ojcu Anki. Ojciec nie rozumie, że każdy szanujący się młody obywatel osiedla musi chodzić do Ogrodu. Tak było, jest, i koniec. To jest silniejsze od wszystkiego. I nic by nie pomogło, gdyby Anka przestała tam chodzić.

Dziewczęta i tak chodziłyby bez niej i tylko utraciłaby stanowisko wodza. Ale ojciec tego nie rozumie i surowo zabronił Ance wchodzenia do Ogrodu. Nie tłumaczył nawet — dlaczego.

„To niebezpieczne” — powiedział tylko. Zawsze jest taki małowówny. Kiedy wydaje rozkaz, nigdy go nie tłumaczy. To pewnie zostało mu z wojska. Kiedy Anka skarży się z tego powodu mamie, mama wzdycha i mówi, że ojciec jest po prostu lakoniczny. Anka nie bardzo wie, co to słowo znaczy, ale na pewno coś straszego.

A że chodzenie do Ogrodu jest niebezpieczne, to Anka wie i bez tego. Więc najpierw ten Mulla. Od czasu wypadku doktora Otrębusa i potwierdzenia się wiadomości o przenikaniu dzikich plemion do Ogrodu oraz ostrej nagany, jaką w związku z tym Mulla otrzymał od dyrekcji, nieszczęsny stróż podwoił czujność. Biedak posunął się nawet do tego,

że kilka godzin dziennie spędzał na murze, by z jego wysokości kontrolować okolicę. Schwywanie tajemniczych intruzów postawił sobie widać za punkt honoru. W tym celu, jak się wydaje, wszedł w tajemne kontakty z głuchoniemym pastuchem kóz, zwanym powszechnie „Szaszka”, który włóczy się w pobliżu Ogrodu. Podobno siedem lat temu jacyś smarkacze bardzo dokuczali Szaszce i od tego czasu wszystkie dzieci uważa za swych osobistych wrogów. Teraz w dodatku musiał go Mułła czymś przekupić, bo zupełnie przeszedł na jego usługi i gdy tylko zauważył kogoś z młodzieży, od razu biegł do stróża z donosem.

Anka wciąż obiecywała sobie, że musi w jakiś sposób zaskarbić życzliwość Szaszy i zmienić jego opinię, jeśli nie o całej młodzieży, to przynajmniej o dziewczynkach ze Związku Zielonej Jaszczurki, ale na razie jakoś nie mogła się zabrać do tego trudnego zadania. Szasza pozostawał niebezpieczny i trzeba się było przed nim mieć na baczności.

Dlatego Anka zatrzymała kolumnę marszową Jaszczurek i zawołała do siebie Dorotę. Dorota jest kandydatką na Jaszczurkę i na dzisiejszej wyprawie przejść ma Próbę Wstępną. Jest to bardzo trudna próba i kto jej nie przejdzie, nie może być przyjęty do Związku. Bo nie myślcie, że każda dziewczynka może być łatwo przyjęta, o nie! Najpierw trzeba przejść egzamin.

— Dorota, zwiad!

Dorota odłączyła się natychmiast od kolumny i zaczęła się czołgać w wielkim rowie wyłobionym w gliniastym podłożu przez wodę ściekającą z hałd. Tędy można się było dostać niezauważonym aż do samej wyrwy w murze Ogrodu.

Po minucie Dorota zameldowała się z powrotem.

— Jaka sytuacja? — zapytała wojskowym tonem Anka.

— Nikogo na ścieżce nie ma, ale wyrwa na nowo okratowana.

— Okratowana? — W głosie Anki zabrzmiało zdenerwowanie.

— Tak, drutem kolczastym.

— Gęsto?

— Jeden koło drugiego. Plecionka.

— Wobec tego... — chrząknęła Anka — wobec tego przejdziemy Bagnem.

Dziewczęta wzdrygnęły się i spojrzały po sobie z niepokojem. Wiadomo, co oznacza Bagno. Bagno oznacza uciążliwą przeprawę w najniższym, mokrym miejscu, gdzie spod muru Ogrodu sączy się strumień. By się tamtędy przedostać, należy najpierw pogłębić dno strumienia, a potem na czworakach wślizgiwać się ciasną szparą po mazistym błocie do środka Ogrodu. W brudnej wodzie zdarzają się pijawki, a na wilgotnych, błotnistych brzegach wygrzewają się żaby, padalce, a nawet, jak krążą pogłoski, prawdziwe żmije. Zupelna ohyda.

— Dzisiaj i tak nie będzie pogody — zauważyła nieśmiało Joasia, blada dziewczynka z czarnymi, wielkimi oczyma, teraz jeszcze bardziej rozszerzonymi przez strach.

— Może... może byśmy odłożyły wyprawę do jutra — poparło ją kilka cienkich głosików.

Anka spojrzała surowo na dziewczynki.

— Jeśli się boicie, mogłyście się nie zapisywać do Związku. Same przecież chciałyście, żeby założyć taki sam związek, jak chłopcy... Tu musi być znój — dodała poważnie po namyśle. — Gdyby wyprawa do Ogrodu była łatwa i bezpieczna, wszyscy by tu chodzili i Ogród nie byłby dziki.

Na te argumenty szemrania i jęki umilkły.

— Zresztą to nie będzie takie straszne — powiedziała Anka. — Mamy „ubranie ochronne” w plecaku... A teraz schylamy głowy i szybko przemykamy się Małym

**Kanionem.**

**Znów weszły między haldy. Po paru minutach ścieżka podprowadziła je prawie pod sam strumień... Zatrzymały się w krzakach jałowca, jedynej pozostałości po lesie, który niegdyś sięgał aż do tego miejsca. Jałowce stanowiły ostatnią osłonę. Za nimi aż do muru Ogrodu, znajdowała się już goła, niczym nie osłonięta murawa.**

**— Forsujemy przeprawę? — zapytała Dorota. — Ja mogę pierwsza — zgłosiła się ochoczo.**

**Anka powstrzymała ją.**

**— Najpierw sprawdź pole widzenia.**

**Dorota chciała się podnieść, ale Anka syknęła na nią.**

**— Co ty, chcesz, żeby cię zobaczyli? Jak zdradzimy swoją obecność, wszystko przepadnie.**

**— No, to jak mam sprawdzić pole widzenia? — zapytała zdezorientowana Dorota.**

**— Zapomniałaś o peryskopie. Ela, podaj przyrząd.**

**Zaczerwieniona Dorota wzięła z rąk dowódcy taborów instrument.**

**Rzeczywiście, wypadło jej z głowy, że przecież od paru dni dysponują peryskopem.**

**Anka nabyła go za dziesięć czarnych chust z wyhaftowanymi insygniami pirackimi od**

**Zenona w drodze handlu wymiennego, który rozwijał się między tutejszymi plemionami.**

**Peryskop był cudem techniki. Jakaś nadzwyczajna kombinacja luster. Przyrząd**

**zaopatrzony był w znak fabryczny Piratów: czarną sylwetkę Afryki, na której widniała trupia czaszka, piszczele i napis: *Made in Nieklaj*.**

**Dorota z nabożeństwem wystawiła peryskop ponad krzak i czujnie badała teren.**

**Anka patrzyła na nią z niecierpliwością.**

**— No i co?**

— Zaraz, jeszcze trochę popatrzę. — Dorotę najwidoczniej bawiło oglądanie terenu przez przyrząd.

— Przestań się bawić! — warknęła ostro Anka, — To nie zabawa, to służba!

— Tak jest! — przestraszyła się Dorota.

— Melduj! Widziałas kogoś?

— Tak!

— Co? — wykrzyknęła Anka. — Szaszkę?

— Nie, Uszatka.

Anka machnęła ręką pogardliwie.

— Adenauer się nie liczy.

— Ale czego on tutaj chce?

— On tak się wałęsa. To jakiś niezupełnie normalny chłopak.

— Tak, on pewnie jest nienormalny.

— Czy poza nim pole czyste?

— Tak jest!

— No, to zaczynamy przeprawę. Kaprale, ubrania ochronne! Dorota, bierz saperkę!

Ela wyciągnęła z plecaków kaprali, czyli młodszych dziewcząt, gumowy, nieprzemakalny kombinezon. Podczas gdy Anka przebierała się w kombinezon, Dorota pospiesznie zaczęła wybierać saperką czarne, ohydne błoto z koryta strumyka pod murem, pogłębiając przejście.

\* \* \*

Światek zacisnął nerwowo palce w rozterce. Teraz powinien puścić jeszcze raz samolot w kierunku dziewcząt, żeby zwrócić ich uwagę, a potem, niby szukając modelu, pobiec do nich i powiedzieć tak, jak sobie już obmyślił:

**„Niepotrzebnie się boicie. Nikogo tu nie ma. Szasza poszedł dzisiaj do dentysty.**

**Mulla się w ogóle nie pokazywał — ciekawe, co mu się stało — a Piraci już drugi dzień siedzą u Bosmana”.**

**„Skąd wiesz?” — zapytają one wtedy.**

**„Ja dużo wiem. — Świątek wzruszy obojętnie ramionami. — Zawsze rano tutaj przychodzę patrzeć, jak się bawicie”.**

**Wtedy one powiedzą:**

**„Ty musisz być morowym chłopcem. Chodź się bawić z nami”.**

**„Mogę pójść” — powie wtedy z kamienną miną, kryjąc radość i wzruszenie.**

**Ach, gdyby tak powiedziały! Gotów by im oddać za to wszystkie latające modele, lornetkę, pistolety dwustrzałowe, wszystko, nawet rower, i gdyby się nie wstydził, ucałowałby je z wdzięczności, tak strasznie byłby wdzięczny. I nie zapomniałby im tego do końca życia, nawet wtedy, kiedy zostanie sławnym człowiekiem, bo Świątek postanowił sobie, że będzie sławnym człowiekiem. Pisarzem albo uczonym. Nie zdecydował jeszcze kim. Ale nigdy nikt tak jeszcze nie powiedział do Świątka. I nie powie chyba. Takie jest życie. Ma już doświadczenie. Nieklaj — to piąte miejsce, gdzie przyjeżdża z ojcem na „delegację” i jest zupełnie sam. Nigdy nikt jeszcze nie wyciągnął pierwszy do niego ręki i nie zaproponował wspólnej zabawy. Zawsze musiał sam. To jest straszne, jak się jest nieśmiałym. Ale najgorsze to jeszcze nie to, że jest się nieśmiałym, ale że ma się honor i człowiek boi się, że krzykną: „Czego chcesz, nie potrzeba tu ciebie, spływaj”. Albo jeszcze gorzej, wyśmieją od zdechlaków, wymoczków i trupków.**

**No, ale ryzykował we wszystkich poprzednich miejscach, przyjmowali go w końcu i jakoś tam było. Tylko w tym Nieklaju nie wyszło. W tym Nieklaju to już jest chyba najgorzej na świecie. Wszyscy tu są szalenie zajęci i zorganizowani. Żaden chłopiec nie**



chodzi pojedynczo. Włóczą się bandami i każdego, kto do nich nie należy, biorą za wroga.

Aż strach się zbliżyć.

Dlatego pozostała już tylko ta szansa. Ostatecznie, jak się będą wstydziły przyjąć go do Związku, to zaproponuje im jeszcze współpracę w wywiadzie.

„Mogę was ubezpieczać”. — Powie to oczywiście zupełnie obojętnie, jakby mu wcale na tym nie zależało, i zostanie szpiegiem. Już lepiej być szpiegiem niż niczym.

A jak one powiedzą: „Jesteś taki mały”.

„No właśnie — odpowie — dlatego nadaję się na szpiega. Jestem trudno dostrzegalny i niepozorny, i mogę przechodzić łatwo przez wszystkie dziury”.

Tak sobie to wszystko obmyślił i już miał zbiec na dół, ale w ostatniej chwili zawstydzil się i zawahał. Tymczasem one już zniknęły za murem.

„To straszne — pomyślał — że tak trudno się przewyciężyć. Czyżbym był na dodatek tchórzem?”

\* \* \*

Kiedy ostatnia dziewczynka znalazła się już w Ogrodzie i pospiesznie ściągnęła kombinezon, Anka spojrziała na zegarek i powiedziała:

— Doskonale. Sześć i pół minuty dla dziewięciu dziewczynek z wkładaniem i zdejmowaniem ubrania ochronnego. Pobiliśmy rekord przeprawy.

Dziewczynki słuchały jej zadyszane. Bardziej chyba z emocji niż z wysiłku.

Rozglądały się dookoła ze strachem, ale na szczęście prócz spłoszonych żab nie było innych płazów ani gadów.

— Chodźmy już stąd — wykrztusiła Zośka.

— A żółwie ? — zapytała Anka.

— Prawda, zapomnialiśmy o żółwiach.

Tydzień temu odkryły na małym półwyspie przy rozlewisku strumyka dziewięć małych, zagrzebanych w ziemi, niewielkich jaj w szarych, chropowatych skorupkach. Od razu wybuchła dyskusja, czyje one są: zaskrońca, ptaka czy żółwia. Potem pani Bożena powiedziała im, że zaskrońce mają jaja błoniaste, więc na placu boju pozostał tylko żółw błotny i ptaki. A w niedzielę dziewczęta zauważyły wychodzącego z wody żółwia i orzekły, że to muszą być jaja żółwie, i nawet zatokę przy półwyspie nazwały Zatoką Żółwią. Ale chciały mieć tak zwaną naukową pewność i dlatego, ile razy były w Ogrodzie, zaglądały w to miejsce. Z lękiem i niepokojem, ale z większą jeszcze ciekawością. Może młode już się wylęgły i można się będzie nareszcie przekonać, czyje to były jaja.

Ostrożnie przekradały się na półwysep. Pierwsza szła Dorota. Z bijącym sercem rozchyłała gałęzie i uważnie wpatrywała się w niewyraźną ścieżkę. Jeśli zabłądzi, obleje egzamin i nie zostanie przyjęta do Związku. Ścieżka była ledwie widoczna, a do tego ten strach — podobno tutaj właśnie, na słonecznych i wilgotnych miejscach, stale wylegiwały się węże. Wprawdzie do tej pory spotykały tylko niewinne zaskrońce, ale chłopcy twierdzili, że gnieźdzą się tu także żmije. Od czasu, gdy tydzień temu w tym miejscu tuż przed nimi przeniknęło coś z sykiem, coś długiego, wijącego i zygzakowatego, każda przeprawa do Zatoki Żółwi połączona jest z nie byle jaką emocją.

Bo chociaż dziewczynki wiedzą dobrze, czym się różni żmija od zaskrońca, lecz w praktyce niełatwo jest odróżnić. Gad wcale nie czeka, aż mu się przyjrzą, lecz ucieka, a tymczasem człowiekowi robi się nieprzyjemnie koło serca i bądź wtedy mądry, czy wąż miał plamy zaskrońca, czy zygzaki żmii.

No, nareszcie koniec strachu. Zarośla olszyn przerzedziły się i odsłoniły zwierciadło wody. Dorota usłyszała cichutki plusk strumienia. To tutaj. Poznaje miejsce.

— Jesteśmy w Zatoce Żółwi — oznajmiła z dumą.

**Dziewczynki rozglądały się niespokojnie. Jaj nigdzie nie było.**

**Nagle Anka wykrzyknęła:**

**— Patrzcie!**

**Podbiegła do leżących na piasku skorupiek. Były popękane i puste.**

**— To one! Ale co się stało?!**

**— Popsuły się — jęknęła Joasia — albo jeż je zjadł.**

**— Głupia! Wylęgly się! — uspokoiła ją Anka.**

**— Ale gdzie są?!**

**Nie mogły nigdzie ich znaleźć.**

**Zośka i Celina nie brały udziału w poszukiwaniach. Woląły zbierać kamyki i puszczać kaczki na wodę, niżej, przy rozlewisku. Nagle Zośka znieruchomiała pochylona nad piaskiem.**

**— Co się stało? — zapytała Celina.**

**— Patrz, jakie dziwne kamyczki.**

**Celina nadbiegła.**

**Chciała wziąć jeden do ręki, nagle pisnęła przerażona i wypuściła go z palców.**

**— Ojej, to się rusza!**

**Reszta dziewczynek nadbiegła.**

**— To przecież małe żółwie! — krzyknęła podniecona Anka.**

**— Żółwiątka!**

**— Jakie ładne!**

**— Jak one sobie tu dają radę?**

**— Pewnie je karmi żółwica.**

**— Akurat. Gady nie troszczą się zupełnie o swoje małe.**

— To co one jedzą?

— Jedzą owady.

— Musimy im przynieść komarów.

— A mleko będziesz pił? — Dorota wzięła do ręki małego i żółwik wysunął ostrożnie maleńki lepek z oczkami jak czarne paciorki. — Zabierzemy ze sobą — zaproponowała.

— Nie — powiedziała Anka — zwierzęta są szczęśliwe, tylko jak są u siebie.

Będziemy tu je odwiedzać. Ale pamiętajcie — tajemnica. Nikt nie wie o tych żółwiach.

Gdyby się o tym dowiedzieli Koloniści, na pewno by je schwytali i pozabijali.

Dziewczynki nie chciały odejść od żółwi. Oglądały je, brały do ręki z czułością i z lękiem zarazem. Małe były zupełnie bezbronne, miały miękkie skorupy. Najpierw chowały się z lepkiem, ale gdy trzymało się je spokojnie na ręce, ośmielone i rozgrzane ciepłem ciała ludzkiego, wysuwały lepki i próbowały pełzać.

Zośka zaproponowała, żeby je naznaczyć i dać im imiona. Pomysł się wszystkim spodobał. Ba! Ale jak naznaczyć? Postanowiły w końcu, że przyniosą farby olejne i namalują im znaki na skorupkach. Dorota i Zośka chciały nawet od razu biec po farbę, ale Anka powstrzymała je ostro:

— Dostyc. Nie przyszliśmy tu dla żółwi. Róbcie szybko zdjęcia i idziemy dalej. I tak straciliśmy za dużo czasu i możemy nie zobaczyć Hilarego. Poza tym zachowujecie się za głośno. To jest Ogród Szeptów. Pamiętajcie.

Istotnie, taka nazwa była przyjęta w mowie plemion. Umilkły więc wszystkie naraz i zapanowała przejmująca cisza...

Nagle w tej ciszy, tuż koło nich, w zaroślach, rozległ się jakiś trzask.

— Co to było? — szepnęła przestraszona Joasia.

— Gałązka trzasnęła — odparła Zośka.

— Nie, to człowiek — rzekła Celina.

Anka podbiegła do zarośli, ale nikogo nie było. Słyszała tylko jakby głuchy tupot oddalających się kroków, a może jej się tylko zdawało.

W każdym razie incydent zaniepokoił wszystkie dziewczęta i popsuł im humor.

— Wolalabym spotkać żmiję — wycedziła Anka.

— Pewnie — mruknęła Celina — najniebezpieczniejszy jest człowiek-wróg.

— Jak myślisz, kto to mógł być? — zapytała Joasia.

— Chyba Koloniści — odparła Celina.

— A Zenon mówił, że więcej się nie odważą pokazać. Nie można wierzyć Zenonowi, to wstrętny pyszałek.

— Najgorsze, że musieli widzieć żółwie.

— Co teraz zrobić?

— Postawimy tu na wszelki wypadek straż — rzekła Anka. — Dorota będzie strażą.

— Tak jest! — powiedziała Dorota.

— Dostaniesz broń. — Anka wręczyła jej łuk, kołczan ze strzałami, dwustrzałowy korkowiec i miecz. — Gdybyś zauważyła coś podejrzanego, alarmuj. Wiesz, jak alarmować?

— Dwa strzały, jeden po drugim.

— No i pamiętaj. W razie czego musisz bronić żółwików do ostatniej kropli krwi.

— Tak jest! Do ostatniej kropli krwi — powtórzyła przejęta Dorota.

Oddział ruszył dalej. Dziewczęta szły teraz najpiękniejszą częścią Ogrodu. Łagodne zbocze pałacowego pagórka zdobiły wielkie drzewa liściaste. Dęby, klony, jawory, jesiony. Niegdyś posadzono je w przyzwoitych „parkowych” odległościach, ale teraz rozrosły się, a w dodatku każde z nich otoczone było „szkółką” — młodymi, gęstymi drzewkami z

samosiewów. Niektóre osiągnęły już wysokość dwu, trzech metrów, inne były całkiem małe, ale wespół z krzakami podszycia tworzyły miejscami nieprzebytą, zupełnie puszczańską gęstwinę. Dlatego właśnie Ogród był taki ciekawy. Nigdy nie było wiadomo, co się spotka w tych gęstwinach, i wszystko można było sobie wyobrazić. Nawet niedźwiedzia „Tłuściocha”, rysia „Bazylego” i borsuka „Ciapę”.

I dlatego dziewczynki traktują Tłuściocha, Bazylego i Ciapę jak prawdziwych, pełnoprawnych mieszkańców Ogrodu. Takich, jak lis Hilary i wiewiórka Kita.

Teraz Anka objęła prowadzenie kolumny. Szła tylko jej znanymi śladami. Po kilku minutach przedzierania się przez gąszcza doszły do dziuplastego dębu. Był to chyba najwyższy dąb w parku. Na dole, dwa metry od podnóża, miał dużą dziuplę, która stanowiła magazyn wiewiórki. Tam dziewczęta składały żywność dla Kity, a wczoraj na próbę podłożyły jej pół kilo orzechów włoskich.

Anka skinęła na Celinę, Celina podsadziła Joasię do góry.

— Nic nie ma — rzekła Joasia, zaglądając do dziupli.

— Ani jednego nie zostawiła?

— Ani jednego.

— Wszystkie zjadła. Hura! — ucieszyły się dziewczynki.

Ale Anka nie podzielała ich entuzjazmu.

— To niemożliwe, żeby wszystkie zjadła... Naprawdę tam nic nie ma? Zobacz dobrze.

— Jest kartka — zasapała Joasia, wspinając się wyżej.

— Jaka kartka?

— Zaraz ci ją dam — Joasia zagłębiła z jękiem rękę w dziupli — o, proszę.

Anka nerwowo rozwinęła zwitek papieru. Była to kartka z notesu. Napisano na niej:

*Dziękuję i proszę o więcej.*

*Kita*

Anka przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa. Teraz nie było już wątpliwości.

Koloniści grasowali w Ogrodzie i posuwali się nawet do bezczelnych kawałów.

Pełne najgorszych przeczuć poszły w kierunku nory Hilarego. Na pewno będzie

spłoszony i z fotografii nici. Ale gdy dotarły na miejsce, stanęły wstrząśnięte. Mimo

wszystko tego się nie spodziewały. Nora była rozpruta i rozgrzebana na długości metra...

Pospiesznie ruszyły do drugiego wylotu. Był też rozkopany.

— Może... może borsuk Ciapa go napadł — rzekła niepewnie Joasia. — On i Hilary stale z sobą wojują.

— Tak, ale borsuk nigdy nie wchodzi do nory lisa — mruknęła Celina.

— Boi się?

— Nie, tylko nory lisa są strasznie niechlujne, a borsuk nie znosi brudu i bałaganu.

— A może jednak...

— Nie — pokręciła głową smutno Anka — tu nie ma co się pocieszać. Spójrzcie na tę wygrzebaną ziemię.

Dziewczęta spuściły oczy. Że też mogły tego od razu nie zauważyć! Na świeżej

rozgrzebanej ziemi odcisnęły się wyraźnie ślady trampek Kolonistów i odciski psich pazurów.

— Koloniści!

— Przyszli tu z jamnikiem i zadusili lisa.

— Może uciekł? — miała jeszcze nadzieję Joasia.

Ale w minutę później i ta nadzieja rozwiała się. Pod pobliskim drzewem Zośka

znalazła strzęp sierści. Nie ulegało wątpliwości, że to jest sierść Hilarego.

Nie przypuszczały jeszcze wtedy, stojąc przerażone nad zrujnowaną norą Hilarego, że najgorsze mają dopiero przed sobą. Kiedy bowiem przybyły na Polanę Ostów, gdzie koło dawnego warzywnika kręcił się zwykle Kuba, z daleka dojrzały już straszny widok. Na płycie chodnika leżał krwawy strzęp. Były to szczątki jeża. Leżał na grzbiecie, dosłownie zmiażdżony straszliwymi uderzeniami. Gdyby nie kolce, trudno by go było w ogóle poznać. Trawa, zdziczała marchew, koper i osty były zdeptane dokoła butami.

Dziewczynki patrzyły na to osłupiałe ze zgrozą. Tak osłupiałe, że w pierwszej chwili żadna nawet nie zapłakała. Ale Anka czuła, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, to za chwilę wybuchnie tu jeden ogromny płacz.

Nawet ona, nieustraszona Anka, „ostra Anka”, jak ją nazywano, kiedy patrzyła na niewinnego Kubusia tak podle, tak okrutnie zamordowanego, chciała się rozplakać jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką, i chyba miałyby do tego prawo, ale całą siłą woli opanowała się. Kto to widział, żeby wódz potężnego Związku mazał się jak dziecko. Nie wolno nikomu płakać. Nie ma czasu na mazanie się.

Udała więc tylko, że coś jej wpadło do oka, i siląc się na spokojny ton, powiedziała uroczyście:

— Koloniści, barbarzyńcy, napadli na nasz Ogród, na nasze zwierzęta. Ale drogo za to zapłacą. Celina! Weźmiesz dwie dziewczynki i pójdziesz na zwiad zebrać wiadomości o obecnym położeniu i ruchach napastników.

— Tak jest!

Anka wyrwała kartkę z notesu i napisała.

*Zenon, Koloniści w Ogródzie. Kuba zabity. Hilary porwany. Rozpaczynam kontratak. Pamiętaj o paragrafie 3 naszego układu. Proszę o szybką pomoc...*

Odczytała jeszcze raz, przekreśliła słowo „proszę” i napisała „żądam” i złożyła swój



podpis z wymyślnym zawijaszem.

— Zośka! — zawołała.

Zośka podbiegła wycierając w pośpiechu oczy.

— Jestem!

— Będziesz posłem i zanieśiesz to pismo Zenonowi.

Zośka przestępowała z nogi na nogę, zakłopotana.

— Czego jeszcze stoisz?

— Nie wiem, czy jest sens — wykrztusiła cała czerwona. — Zenon... słyszałam, jak Zenon...

— Co Zenon?

— Zenon mówił, że gwizdże na ten układ... i że nie chce mieć nic do czynienia z babami.

Anka zacisnęła wargi. Istotnie, stosunki z Piratami nie były ostatnio najlepsze, ale przecież układ wciąż obowiązuje, zwłaszcza w tej sytuacji...

— Wykonaj rozkaz — odrzekła krótko. — A może się boisz pójść?

— Nie, skąd — rzekła Zośka, choć czuła, że nogi jej dziwnie drżą.

— No, to jazda! Tylko uważaj! Ostrożnie. W razie czego sygnalizuj.

Zośka nabiła korkowiec i ruszyła w dół Ogrodu. Bohatersko przedarła się przez zarośla, nie zważając na gałęzie, które szarpały jej włosy i smagały po twarzy. Nawet jakoś przestała się bać i z pewną siebie miną weszła w olszyny nad strumieniem. Kolonistów już pewno dawno nie ma. To tchórze. Nie odważyliby się chyba po tym, co zrobili, czekać na kontratak...

Była już blisko Zatoki Żółwi. Z daleka, za drzewami widziała Dorotę stojącą na warcie. Odetchnęła. No, to już niedaleko mur. Z ulgą przyspieszyła kroku. Przechodziła

właśnie koło grupy splełanych, czarnych olch, gdy nagle czyjeś ręce wykręciły jej ramiona.

Jeszcze inne zarzuciły szalik na twarz...

— Nie szarp się — krzyknął piskliwy głos — jesteś w niewoli!

O oporze nie było mowy.

Ujrzała pięciu chyba chłopców w białych, płóciennych czapkach z daszkami, gimnastycznych koszulkach, zielonych krótkich spodenkach i trampkach na nogach.

Nie ulegało wątpliwości, że znajduje się w rękach Kolonistów.

Chłopcy rozbroili ją, siłą otworzyli zaciśniętą dłoń i wydostali zmięty list. Jeden z nich, rudy, kędzierzawy dryblas o grubych wargach, zwany przez drugich „Rekszą”, odczytał na głos treść listu i zarechotał ucieszony:

— Brawo! Schwytaliśmy ważną osobistość tubylczą. Wiecie, kto to jest? Łączniczka!

— To one mają łączność, takie dzikuski? — zdziwił się drugi i spojrzał z ciekawością na Zośkę.

— Przesłuchamy ją na miejscu, co? Ile was smarkul tu jest, co? — zapytał odwiązując jej knebel. — No, gadaj!

Zośka postanowiła skorzystać z okazji.

— Dorota! — krzyknęła, jak tylko mogła najgłośniej. — Jestem schwytana. Na po...

Nie dokończyła. Reksza zatkał jej usta dłonią.

Dorota drgnęła. Usłyszała głos Zośki i obejrzała się niespokojnie. W odległości jakichś stu metrów ujrzała Zośkę ze związanymi z tyłu rękami prowadzoną przez pięciu Kolonistów w górę strumienia.

Nie wiedziała, co robić. W pierwszej chwili chciała biec jej na pomoc, ale przypomniała sobie wyraźny rozkaz: „Nie oddalać się od żółwi”.

Przez ten czas inna banda Kolonistów mogłaby zaatakować znieścacka żółwie.

**Zresztą, czy poradziłaby sama przeciwko pięciu uzbrojonym chłopakom? Co więc robić?...**

**Alarmować. Natychmiast alarmować dziewczynki.**

**Podniosła do góry pistolet i strzeliła dwa razy.**

**Rozdział V**

**Świątek stał na najwyższej haldzie z rękami w kieszeniach i pogwizdywał sobie pod nosem. Właśnie przed chwilą postanowił gwizdać. Gwizdać na wszystko. Nie będzie się więcej nikomu napraszał, nawet cieszy się, że nie podszedł do dziewcząt. Nikt nie robi mu łaski. Obejdzie się.**

**Świątek postanowił zlekceważyć to wszystko... Zresztą podjął już postanowienie.**

**Wyjedzie z Niekłaja. Ma przecież dwieście dwadzieścia złotych na książeczce PKO. Jutro je podejmie, kupi bilet i wyjedzie.**

**Nie zastanowił się jeszcze, co prawda, dokąd. W każdym razie gdzieś bardzo daleko.**

**Chyba do Nowego Portu. Do szypra Gustawa. To zresztą nie jest najważniejsze, dokąd wyjedzie. Byleby nie widzieć więcej Niekłaja.**

**Dla ojca zostawi list. Krótki list. „Nie martw się o mnie. Dam sobie radę w życiu.**

**Mam już dwanaście lat”.**

**Teraz chciał tylko rzucić tak zwane ostatnie spojrzenie na okolicę. Ostatnie, dumne spojrzenie. Kiedyś ta okolica wydała mu się z tego miejsca ciekawa i pełna obietnic. Na prawo wesole, kolorowe bloki z dużymi oknami i balkonami. Podobne z góry do niedbale rozrzuconych klocków bloki, pełne dzieci, młodzieży, rówieśników. Naprzeciw stara i nowa fabryka, a po lewej stronie tajemniczy, niezbadany Ogród... wielki jak puszcza.**

**Ten pierwszy dom, stary, drewniany dom z facjatą, to dom Bosmana. Tam się zbierają Piraci... Bosman ma im zdradzić jakąś tajemnicę. Podobno w Ogrodzie są zakopane skrzynie ze złotem... Niedługo rozpoczną poszukiwania.**

Tak, ten Ogród na pewno ma swoje tajemnice. Świątek patrzy na morze zieloności po lewej stronie. Taki ogród musi mieć swoje tajemnice. Ciekawe, dokąd dzisiaj Koloniści szli z łopatami i kilofami. Widział ich koło bloków. I zupełnie z tym się nie kryli. Pewnie ten ich Kszyk obmyślił nowe jakieś dziwactwo, które zaskoczy osiedle. Czyżby i oni szukali skrzyń Szwajsa? Ale to już go nic nie obchodzi. Nic a nic nie obchodzi. Może ktoś myśli, że on, Świątek, będzie żałował Nieklāja. Jakże się myli. Owszem, kiedyś ta okolica wydawała mu się obiecująca, ale to było kiedyś. Teraz wie, że to jest okolica okropna, bezlitosna i nie jego. Obca... Jak można żałować czegoś, czego się nie cierpi. A Świątek nie cierpi Nieklāja ze wszystkich sił. Nienawidzi go z całej duszy. Albo już nawet nie. Nie nienawidzi, tylko lekceważy. Nieklāj jest mu już zupełnie obojętny. Całkowicie. Po prostu ogląda go sobie teraz z góry jak turysta. I gwizdże. Zresztą nic specjalnego, Świątek nie takie już okolice widział.

Te rozmyślenia przerwał mu nagle odgłos strzałów od strony Ogródu.

Znieruchomiał. Ile ich było? Chyba dwa, reszta to echo. Dwa strzały? Też to sygnał! Alarm!

Przypomniał sobie dzisiejsze dziwne manewry Kolonistów, te ich oskardy i łopaty, a potem

wyprawę dziewcząt i całą historię ze skrzyniami Szwajsa. Tak, nie ulega wątpliwości, że

tam doszło do starcia. Pewnie Koloniści napadli na dziewczęta Anki. Anka znajduje się w

trudnym położeniu i wzywa sprzymierzonych, żeby jej przyszli na pomoc. Ale oni nie

usłyszą. Wszyscy są daleko. U łoża Bosmana. Czekają na jego wyznania przedśmiertne.

Pierwszym odruchem Świątki było biec do Piratów i urządzić alarm, ale pomyślał

sobie, że przecież to zupełnie nie jego sprawa i że to już go nic nie obchodzi.

Zaczął więc schodzić powoli... zupełnie powoli, choć serce mu biło mocno, a nogi

chciały biec... Nie, nie pobiegnie. Niech sobie Koloniści zajmą cały Ogród. Niech nawet

znajdą skarb. Nic to go nie wzrusza. Będą Tubylcy mieli nauczkę. Gdyby przyjęli Świątki,

byliby ocaleni. Ale oni wyśmiewali go tylko i nazywali Adenauerem. I jeszcze mieli czelność obzerać się jego lodami. Za całe dwadzieścia złotych naciągnęli go na lody. Teraz będą mieli nauczkę. Ani mu się śni ich alarmować. A te dziewczyny też niech mają za swoje. Za tego Uszatka. Świątek wie, że go między sobą przezywały Uszatkiem.

Tak sobie myślał, ale sam dziwił się, dlaczego małą mu to sprawia satysfakcję i dlaczego robi mu się coraz ciężej i smutniej na sercu, tak strasznie ponuro, jakby kogoś zdradził. Co za głupie uczucie! Przecież nie należał do żadnego plemienia i nikogo nie mógł zdradzić. Powinien być raczej zadowolony, że Tubylcy i Jaszczurki dostaną za swoje. Więc dlaczego?

Westchnął ciężko i sam nie wiedział, jak się to stało, że pobiegł prosto do meliny Piratów.

\* \* \*

Dom Bosmana wydawał się całkiem pusty. Drzwi frontowe od ulicy i zielone okiennice były zamknięte. Na progu ganku drzemał rudy kot, Barnaba, a stada wróbli bezkarnie buszowały po krzakach jaśminu. Na antenie radiowej przy kominie Świątek nie zauważył flagi. Czyżby Piraci gdzieś się wynieśli? A może spuścili banderę tylko ze względów bezpieczeństwa?

Nie dając za wygraną, wsunął się na podwórze. Do okna facjaty przystawiona była jak zwykle drabina... Świątek zawahał się chwilę, a potem wdrapał się na górę i zajrzał przez okno.

Na wysokim, staroświeckim łożu leżał tęgi mężczyzna o czerwonym zaroście, w obcisłej, pasiastej koszuli z krótkim rękawem, nogi okrywał mu koc. Na odsłoniętym ramieniu widać było niebieski tatuaż.

Dookoła niego, na krawędzi i poręczach łóżka, na ławie pod ścianą i na podłodze pod

oknem, siedzieli w milczeniu Tubylcy i obserwowali Zenona, który z nabożeństwem wlewał do szklanki piwo z butelki.

Nagle ktoś krzyknął:

— Szpieg za oknem!

Wszyscy od razu rzucili się do okna z przeraźliwym krzykiem. Zanim Świątek zdążył coś powiedzieć, ktoś zdzielił go pięścią w pierś, ktoś pchnął. Poczul, że leci w przepaść i zamknął oczy.

Upadek na szczęście nie był groźny. Kiedy Świątek otworzył oczy, zobaczył, że leży na kupie starej słomy, a nad nim pochylają się ciekawie Tubylcy.

— Ty, Adenauer, żyjesz? — gruby Susuł potrząsnął go niespokojnie za ramię.

— Nic mu nie jest, przestraszył się tylko — rzekł z ulgą Zenon. — Masz za szybki refleks, Tomek — uśmiechnął się wzgardliwie do szczupłego chłopaka, który nerwowo przygryzał wargi. — Adenauera się zląkłeś?

— To jest szpieg — mruknął Tomek. — Ja ci już dawno mówiłem, że on jest szpiegiem.

— Czy to prawda? — zapytał groźnie Świątka Zenon. — Nie radzę ci się wykręcać, my i tak dowiemy się prawdy. Mamy na to sposoby.

— Nie jestem szpiegiem... — Świątek podniósł się na nogi.

— Dlaczego nas podglądałeś?

— Ja nie podglądałem.

— Tylko co?

— Mam wiadomość... ważną wiadomość... — zasapał Świątek. — Widziałem Kolonistów w Ogrodzie... — Urwał dla większego efektu.

Chłopcy spojrzeli po sobie, a potem na Zenona. Zenon spokojnie obgryzał

**paznokcie, wreszcie powiedział z niedbałym uśmiechem:**

**— Słuchaj no, Adenauer, a ty niedźwiedzie widzisz?**

**— Nie — zacisnął wargi Świątek.**

**— Szkoda, bo wiesz, tam w Ogrodzie żyją niedźwiedzie. Jak je polechtać w pięty, to tańczą.**

**Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Świątek poczerwieniał. Z jaką ochotą trzepnąłby**

**Zenona w tę żabią, śmiejącą się gębę. Ale postanowił znieść zniewagę... Przecież Zenonowi właśnie o to chodziło, żeby go rozzłościć. Chciałby mieć widowisko. Ale nic z tego.**

**Zobaczmy jeszcze, kto się będzie ostatni śmiał. Więc powtórzył tylko:**

**— Koloniści zajęli Ogród.**

**— Kolonistów nie ma w Ogrodzie. I nie mogą być. Zostali przepędzeni raz na zawsze, rozumiesz? Czyżbyś nie słyszał o naszym sławnym zwycięstwie pod Starą Altaną?**

**— Słyszałem, ale...**

**— Odkąd spuściliśmy im lanie, żaden z nich nie śmie się tam pokazać. Czy nie tak, chłopcy?**

**— Tak jest — mruknęli Tubylcy — już od tygodnia nie przychodzą do Ogródu.**

**— Ale dzisiaj przyszli — powiedział Świątek.**

**Spokojny ton Świątka musiał jednak podziałać na niektórych Tubylców, bo przestali się śmiać, a Michał zapytał go poważnie:**

**— Naprawdę, widziałeś?**

**— Widziałem ich rano z oskardami i łopatami.**

**Wiadomość poruszyła wyraźnie Tubylców.**

**— W Ogrodzie?**

**— No nie, koło fabryki... ale potem słyszałem w Ogrodzie dwa strzały. Jest to sygnał**

**alarmowy. Widocznie zaatakowali Zielone Jaszczurki.**

**— Dlaczego Zielone Jaszczurki?**

**— Bo pół godziny przedtem widziałem, jak forsowały mur.**

**— To wszystko?**

**— Poza tym Mulla nie pojawił się dzisiaj na murze.**

**— Nadzwyczajne wiadomości! — wykrzyknął szyderczo Zenon. — Zastanawiam się czasem, czy ty nie za dużo wiesz.**

**— Niby jak to?**

**— Bo uważasz, my nie lubimy takich, co za dużo wiedzą i podsłuchują pod oknem.**

**— Nie rozumiem... ja przecież... te wiadomości...**

**— Właśnie... ciekawe, kto cię tu przysłał z tymi wiadomościami?**

**— Mnie nikt... ja sam.**

**— Sam... Patrzcie, jaki uczynny. Myślisz, że ci w to uwierzymy? Musisz mieć jakiś interes. — Zenon zmienił nagle ton. — Dlaczego nam o tym wszystkim mówisz?**

**— Bo... bo...**

**Świątek nie wiedział, jak ma odpowiedzieć. Czy oni nie rozumieją, że można zwyczajnie, tak z przyjaźni... z sympatii... albo po prostu, jak to piszą w książkach, bezinteresownie.**

**Ale nie wiedział, jak im ma to powiedzieć, żeby nie wyszło znów głupio i śmiesznie, wzruszył więc tylko ramionami i powiedział smutno:**

**— Ja tylko tak... możecie mnie przecież nie słuchać.**

**I odszedł.**

**Chłopcy patrzyli za nim zakłopotani.**

**— No, co się tak gapicie — mruknął Zenon — śmieszny szczeniak, i tyle.**



— Naprawdę myślisz, że on jest szpiegiem? — zapytał Michał.

— E nie, ja tylko tak... Nie lubię, jak się lepek wtrąca w nie swoje sprawy.

— A ja wam mówię, że on jest szpiegiem — popatrzył za Światkiem Tomek — i to przeszkolonym. Skąd wie o naszej melinie, o Bosmanie i że mamy układ z dziewczynami, i że dwa strzały to sygnał alarmowy.

— On nas stale śledzi — dodał Tadzik. — Włóczy się koło Wielkiego Kanionu i podpatruje przez lornetkę. I wtedy, jak mieliśmy naradę w Ogrodzie, też nas podpatrywał. Przylapałem go w krzakach i dałem mu taki wycisk, że aż piszczał. Jak mysz piszczał.

— Ma lornetkę?

— No!

— Prawdziwą? — zapytał Zenon ze źle ukrytą zazdrością.

— Prawdziwą. Widziałem ją z bliska.

— Szkoda, że wypuściłeś z ręki taki łup — rzekł z żalem Zenon.

Zenon zawsze marzył o lornetce. Czy bez lornetki, względnie lunety można być prawdziwym wodzem Piratów? Bardzo wątpliwe.

— Jesteście wszyscy śmieszni z waszymi podejrzeniami. Zenon ma rację. On po prostu lepi się do nas, i tyle — mruknął Michał, choć rzadko przyznawał rację Zenonowi.

— Zamiast mędrkować, lepiej pójść i zobaczyć, co się dzieje w Ogrodzie.

— Oszalałeś? Teraz? Kiedy Bosman dogorywa i... i... może lada chwila zrobić zwierzenia przedśmiertne! — wykrzyknął Zenon.

— Jeśli Adenauer mówi prawdę, tam na pewno coś się stało. Dały przecież sygnał alarmowy.

— Może przestraszyły się żaby albo zająca.

— Anka znów nie jest taka strachliwa. Bez ważnego powodu nie żądałaby pomocy.

**Powiedz lepiej, że nie chcesz pomóc.**

**— No, więc dobrze, nie chcę!**

**— I gwizdziesz na uroczysty traktat o pomocy.**

**— Gwizdź. I mam w pięcie cały ten traktat z babami. Tylko się ośmieszamy. On był zresztą zawarty za wodzostwa Stefana. Ja się nigdy nie zgadzałem na ten traktat... Ja go nie ra-ty-fi-ko-wa-łem.**

**Na to ostatnie słowo wszyscy zamilkli.**

**— A jeśli tam są naprawdę Koloniści? — rzekł po chwili Michał.**

**— Niech sobie będą. Przepędzimy ich jutro. W każdej chwili możemy ich przepędzić. A teraz mamy na głowie pilniejsze rzeczy.**

**Michał popatrzył z pogardą na Zenona. Wiedział już, że go nie przekona. Tu nie chodziło tylko o przedśmiertne wyznania Bosmana. Zenon mógłby przecież sam zostać przy Bosmanie i czekać na jego wyznania, a całą armię rzucić na pomoc Ance. Ale to był jego odwet za to, że Anka nie chciała uznać naczelnego zwierzchnictwa Zenona nad Związkiem Zielonej Jaszczurki i odmawiała płacenia haraczu. Zenona ostatnio dużo kosztowało karmienie Bosmana. Wydatki związane z jego osobą pochłaniały wszystkie zasoby Piratów. W tej sytuacji odmowa płacenia haraczu ze strony Anki była bardzo dotkliwa. Dlatego Zenon postanowił się zemścić.**

**Michał podniósł się ze słomy i z dziwnym uśmiechem stanął nad Zenonem. Dawno już postanowił powiedzieć Zenonowi, co o nim myśli. Teraz nadarza się okazja. Nie będzie się dłużej wahał.**

**— Jesteś starą świnią — powiedział nagle.**

**Wszyscy patrzyli na Zenona. Czuli, że draka wisi w powietrzu, i już z góry cieszyli się na nią. Zenon i Michał dawno już mają z sobą na pieńku. Zanim Stefana oddano do**

Zakładu Specjalnego dla „trudnej młodzieży”, obaj byli zastępcami Stefana i wiceadmiralami. Gdyby nie to, że w czasie wyborów następcy Stefana Michał akurat ciężko zachorował, to chyba on właśnie byłby dzisiaj na miejscu Zenona.

A w ogóle cała historia tych wyborów jest mocno podejrzana i krążą na ten temat różne sensacyjne plotki. Jedna z nich głosi, że Tadzik, prawa ręka, zausznik i główny poplecznik Zenona, umyślnie w przeddzień wyborów struł Michała. Najpierw go niedojrzałymi gruszkami obdarował, a potem podejrzaną oranżadą na sacharynie uraczył, co miało rzekomo fatalne następstwa. O mały figiel by na drugi świat wyprawił chłopaka. Tak to chytróść wroga i łakomstwo osobiste zgubiły Michała.

Zresztą Zenon pełnił obowiązki wodza tylko na czas pobytu Stefana w Zakładzie, bo właściwie wodzem pozostał nadal Stefan i w listach, które z tego swojego Zakładu Specjalnego pisze, stale się za wodza uważa i nawet rozkazy przysyła, i różne życiowe wskazówki, zagrania i tricki, których się tam nauczył od innej „trudnej młodzieży”.

— Jesteś starą świnią — powtórzył Michał i odszedł ostentacyjnie na bok. — Nawet Stefan by tak nie postąpił.

Oczywiście, że nie postąpiłby w ten sposób. Co do tego chłopcy nie mieli wątpliwości. Stefan był wielki łobuz i robił niesłychane hece, ale miał dwie cechy, które mu zjednały poważanie u chłopaków. Był sprawiedliwy i zawsze dotrzymywał słowa.

Tymczasem Zenon spokojnie oglądał sobie paznokcie. Zdawało się chłopcom, że puścił mimo uszu obelgę Michała i strawił ją w milczeniu. Ale on jak zwykle wszystkich zaskoczył. Nagle bowiem podniósł się leniwie, podszedł do Michała i wyciągnął rękę.

— Wiesz, po co te klótnie, daj łapę na zgodę. No co, nie chcesz?

Ale kiedy zaskoczony Michał niepewnie podał mu rękę, Zenon jakimś specjalnym chwytem okręcił go dookoła siebie, aż Michał jęknął z bólu, kolaniem rąbnął go w żołądek i

rozłożył na ziemi.

— Ale co, dobre dzudo, nie? — otrzepał ręce Zenon.

Michał zerwał się wściekły, ale Zenon był już na drabinie.

— Dosyć... rachunek zapłacony! — krzyknął z góry. — Kiedy indziej znów sobie pofikamy. A żebyś wiedział, że wcale nie jestem taki zły, jak myślisz, pozwalam ci iść na pomoc tej sroce. I wziąć z sobą chłopaków, tylu, ilu będzie z tobą chciało iść.

Ale po tym zagranium wszyscy się bali Zenona i tylko dwu Tubylców po chwili wahania przyłączyło się do Michała. Byli to bracia Odjemkowie, jego starzy przyjaciele i zwolennicy, Krzysztof i Paweł, znani bardziej pod przydomkami „Odjemek Większy” i „Odjemek Mniejszy”.

— Przyjemnej zabawy — Zenon pomachał im z okna szyderczo ręką — a kłaniajcie się ode mnie Ance!

## Rozdział VI

Kiedy padły alarmowe strzały, Anka nie wiedziała zrazu, kto strzelał: Celina czy Dorota. Sytuację wyjaśniła Celina, która w chwilę później zjawiała się zadyszana ze swoimi dziewczynami.

— Słyszałyście? Dorota alarmuje... To pewno z powodu Zośki. Okropna historia.

— Co się stało?

— Zgroza. Widziałyśmy chyba ze dwudziestu Kolonistów z łopatom i kilofami.

— Z łopatom i kilofami?... — zmarszczyła brwi Anka.

— Tak, i z taczkami. Kopali i kuli na Wysokich Polanach.

Anka słuchała zdumiona. Cóż to u licha ma znaczyć? Szukają skarbów Szwajca?

Czy i na nich spadło to szaleństwo?

— To wszystko? — zapytała z udanym spokojem.

— Nie powiedziałam jeszcze najgorszego — zadyszała Celina. — Zośka w rękach

**Kolonistów!**

— Co ty mówisz? Zośka w rękach Kolonistów?!

— Widziałam, jak ją przywlekli.

— Jak wyglądała?

— Miała związane z tyłu ręce, a usta przewiązane chusteczką...

**Dziewczęta popatrzyły na siebie ze zgrozą.**

— I co dalej? — zapytała pobladła z wrażenia Anka.

— Nie wiem, zniknęli w Starej Altanie.

— Biedna Zośka — Joasia pociągnęła nosem. — Jak myślisz? Pewnie ją będą torturować.

— Na pewno — odrzekła ponuro Celina.

— Anka, musimy ją ratować — zalkała Joasia. — Na co jeszcze czekacie, szybko na pomoc.

— Nie bój — rzekła Anka. — Nie zostawimy jej w rękach wroga. Celina, zarządz alarm bojowy.

**W pięć minut później zbrojna armia Zielonej Jaszczurki zbliżała się szybkim krokiem do Wysokich Polan.**

**Anka spodziewała się tu spotkać owych Kolonistów z kilofami, o których wspominała Celina, ale Wysokie Polany były puste. Celina jednak powiedziała prawdę.**

**Skopane chwasty, przetrzebione zarośla i kupy wykopanego gruzu świadczyły wymownie, że ryli tu Koloniści.**

**Anka patrzyła ze zgrozą na te ślady bezczelnego panoszenia się wroga. Wtem usłyszała okrzyk:**

— Uwaga! Koloniści!

Istotnie, od strony Starej Altany biegł jakiś Kolonista w białej czapce. Dziewczęta chciały od razu zaatakować łobuza, ale Anka powstrzymała je.

— Niech podejście bliżej. Przygotujcie sznur. Musimy wziąć go żywcem. Potem zrobimy wymianę jeńców i wymienimy go na naszą Zośkę.

Ale Kolonista zatrzymał się wpół drogi i zaczął machać białą chustką w powietrzu.

— Co to ma znaczyć?... Poddaje się? — zapytała Joasia.

— Nie, chce z nami rozmawiać jako poseł — szepnęła Anka.

— Nie wierz mu, to może podstęp — rzekła Celina.

— Nie bój się, trzymamy przecież broń w pogotowiu — odparła Anka. — Czego chcesz? — zapytała Kolonistę.

— Nasz komendant... chce mówić z waszym wodzem i zaprasza go na rozmowy do Altany.

— Nie chodź nigdzie, to podstęp. Chce cię zwabić i porwać. To okropny człowiek! — ostrzegła ją Celina.

— Pewnie, że nie pójdę — powiedziała Anka. — Jak chce ze mną rozmawiać, niech sam tu przyjdzie. — A głośno krzyknęła. — Nie rozmawiamy z oprawcami.

— Nie powinnaś z nimi w ogóle rozmawiać — rzekła z ogniem w oczach Celina. — Pamiętaj, oni zabili Kubę i porwali Hilarego.

Kolonista chrząknął. Nie spodziewał się widać takiej odpowiedzi. Potem zaś zawołał:

— Nasz komendant powiedział, że gwarantuje waszemu wodzowi bezpieczeństwo.

— Niech najpierw wypuści tę dziewczynę, którą schwytał.

— Dobrze, powiem mu.

Wrócił po dwu minutach.

— Komendant powiedział, że teraz nie może wypuścić dziewczyny, najpierw chce zawrzeć z wami rozejm i omówić ważne sprawy. Tej dziewczynie nic się nie stanie, zresztą o niej właśnie też chce pomówić. Więc czy zgadzacie się na rozejm na dwie godziny i na rozmowy?

— Zgadzamy się — zawołała Anka — ale na rozmowy to niech wasz komendant przyjdzie tutaj.

Pertraktacje trwały jeszcze kilka minut i skończyły się kompromisem, czyli porozumieniem z wzajemnymi ustępstwami.

Spotkanie miało się odbyć w miejscu neutralnym, na polanie, na dwu osobnych kocach i bez broni.

\* \* \*

Anka była bardzo ciekawa, jak wygląda naprawdę wódz Kolonistów. Nigdy go dotąd nie widziała z bliska. Dziewczęta wyrażały się o nim: „ohyda”. Michał nazywał go wzgardliwie i ogólnikowo: „ogryzkiem”, Zenon znów szyderczo: „zwyrodnialcem”. Bała się więcej pytać. Bo to by mogło wyglądać, że się za bardzo interesuje tym Kszykiem, a Tubylcy byli tacy zazdrośni.

Wreszcie zwyrodnialec się zjawił, a raczej nadbiegł długim krokiem długodystansowca. Nie stanął od razu w miejscu, lecz przez pewien czas jeszcze drobił dookoła niej drobnymi kroczkami.

— Przepraszam cię — powiedział — że od razu nie siadam, ale muszę się roztrenować.

Potem okrył się kocem jak Arab.

Anka patrzyła na niego z obrzydzeniem. Tak, to rzeczywiście ohyda. Te okulary, ta przeraźliwa długość i cienkość, no i w ogóle. Taki typ jest rzeczywiście zdolny do

wszystkiego.

Ohyda tymczasem usiadła naprzeciwko niej i podsunęła jej na dłoni jakieś pastylki.

— Żujesz?

— Nie — wzdrygnęła się z obrzydzeniem Anka.

Zwyrodnialec cofnął rękę.

— Ja tak — powiedział i włożył sobie do paszczy dwie gumy do żucia naraz. — Żuję z różnych względów, praktycznych, jeśli chcesz wiedzieć. Po pierwsze dlatego, że jestem nerwowy, po drugie dlatego, żeby dużo nie gadać. Tobie też radzę żuć. Dziewczęta gadają dużo niepotrzebnych rzeczy. Zresztą guma wyrabia szczęki — pytlował bez przerwy.

— To widać — odrzekła złośliwie Anka, patrząc na jego cofniętą brodę.

— Ale przystąpmy do rzeczy — powiedział.

— Właśnie, przystąpmy do rzeczy... Dlaczego porwałś mojego człowieka?

— Człowieka? — zdziwił się, zupełnie jakby Zośka nie była człowiekiem. — Chodzi ci o tę dziewczynę?

— Tak, o Zośkę.

— Widzisz to... to pomyłka — zmieszał się nieco Kszyk. — Właściwie to wcale nie dałem takiego rozkazu. To zbytnia gorliwość pewnego kaprała. No, ale jak już ją porwali, to niech zostanie jako... no, jako zakładniczka.

— Jako zakładniczka?

— Tak, póki nie oddacie tych oskardów, coście świsnęły dzisiaj rano.

— My świsnęłyśmy oskardy? — zerwała się Anka z wypiekami na twarzy. — To bezczelność takie oskarżenie!

— Nie przyznajesz się? No to nie. Zośka zostanie u mnie. Właśnie potrzebuję niewolnicy.



— Daję ci słowo, że nie wiem nic o oskardach.

— No, no... nie udawaj greka — uśmiechnął się Kszyk — świetnie to robisz, ale ja muszę mieć z powrotem te oskardy. To własność zakładów, pożyczaliśmy tylko. Wiem, że chciałaś się zemścić za orzechy, ale zrozum, to były oskardy fabryczne. Musimy je zwrócić. A w ogóle to... to świństwo taka kradzież. Żeby w biały dzień kraść spod nosa!

— Kraść... jak śmiesz... ty... ty... — Anka nie mogła znaleźć wystarczająco okropnego słowa. — Wiesz, to jest już bezczelne, żeby w ten sposób wykręcać kota ogonem.

— Kota ogonem, co ty mówisz?

— A w ogóle nie rozmawiam więcej z tobą. Nie będę gadać z oprawcami!

— Z kim?!

— Z oprawcami zwierząt!

— Słuchaj no, ty Zielona Jaszczurko, o co ci właściwie chodzi? — wstał, złapał ją za ramiona i popatrzył w oczy.

Wyrwała się ze wstrętem.

— Zabiliście Kubę!

— Jakiego Kubę?

— No, jeża. Niewinnego jeża. Co on wam zrobił? Mordercy! — wybuchnęła.

Kszyk zakłopotany zdjął okulary i patrzył na nią coraz bardziej zdziwiony.

— Słowo ci daję, nawet nie wiedziałem, że tu jest jakiś jeż. A za chłopców też mogę ręczyć... Może go psy zagryzły albo ten gagatek lis.

— Nie, tam są ślady ludzi... On jest zmiażdżony, po prostu zmiażdżony czymś ciężkim. — Ance znów lzy stanęły w oczach. — Ty nie wiesz, jak on okropnie wygląda. A poza tym... poza tym tam są ślady butów.

— To jakaś pomyłka. My nie mordujemy zwierząt.

— Tak, pomyłka... Może jeszcze zaprzeczysz, że porwaliście Hilarego?

— Czy chodzi ci o tego lisa?

— Właśnie!

— No... owszem... schwytaliśmy go. Ale to przecież szkodnik. Ty chyba jesteś stuknięta na punkcie zwierząt. Lisa, takiego drania, bronisz? To rozbójnik. Czy wiesz, że on w niedzielę zagryzł kaczkę pana Abdulewicza? Ostatnią kaczkę, która mu została. Jeszcze w norze znaleźliśmy jej dziób. Tak jest, proszę ciebie. Taki jest ten wasz Hilary.

Anka zmarszczyła brwi.

— A Kita? Też wam przeszkadzała?

— Kita? Jaka znów Kita?...

— Zabraliście jej przecież orzechy. A to kto napisał? — pokazała kartkę zalezioną w dziupli.

— E... no, to był tylko kawał. Nie znasz się na żartach. Poza tym wiewiórki nie jedzą orzechów włoskich, tylko laskowe.

— Skąd wiesz?

— Bo wiem. Zresztą, jeśli tak wam na tym zależy, możemy wam odkupić te orzechy, wielkie co!

— Nie o to chodzi... chodzi, że wy w ogóle... Co ty w ogóle tu robisz, kto wam pozwolił tu ryć i kopać?

— Zaraz ci wytłumaczę. Po to przecież zawarłem ten rozejm...

Ale nie dokończył. W tej samej chwili rozległy się strzały i przeraźliwe okrzyki... Na polanę wpadło paru przerażonych Kolonistów, a za nimi, jak łowcy za zwierzyną, Michał i bracia Odjemkowie. Z hasłem: „Śmierć Kolonistom!” — rzucili się na Andrzeja Kszyka.

— Michał — zawołała przerażona Anka — mamy rozejm!

**Ale jeszcze bardziej pogorszyła tym sytuację, bo w powszechnym harmiderze, wrzasku i szczęku broni Michał wziął jej krzyk za wołanie o pomoc i z tym większą furją natarł na Andrzeja.**

**Andrzej, jak wiadomo, zgodnie z warunkami rozejmu, nie posiadał przy sobie żadnej broni. Mimo to zadziwił wszystkich szybką orientacją i męstwem. Nie uciekł bowiem, lecz błyskawicznie porwawszy koc z ziemi i krzyknąwszy: „Zdrada” — zrzucił go na głowę pierwszemu nacierającemu Piratowi, którym był Odjemek Większy. Odjemek zaplątał się i upadł... Chwilę machał nogami w powietrzu jak przewrócony chrabąszcz, krztusząc się i dusząc, wreszcie udało mu się zrzucić z siebie koc. Ale zrzucił go tak nieszczęśliwie, że koc padł prosto pod nogi nadbiegającego Odjemka Mniejszego i z kolei on zaplątał się i wyciągnął jak długi na trawie.**

**Te porażki braci pozwoliły Kszykowi dopaść do struchlałych Zielonych Jaszczurek, wyrwać najbliższej z nich miecz z ręki i skutecznie stawić czoła nacierającemu wiceadmirałowi Piratów we własnej osobie, czyli Michałowi.**

**Był to porywający pojedynek. Obaj walczący pokazali w nim kunszt szermierczy, którego nie powstydzilby się sam mistrz Pawłowski. Niestety, skłębione namiętności, żądza krwi i zemsty nie pozwoliły im dokończyć tego pojedynku według przepisowych reguł. Oto bowiem rozwścieczeni bracia Odjemkowie zerwali się z ziemi i, porwawszy za sobą dyszące odwetem dziewczęta, rzucili się z tyłu na Andrzeja Kszyka, a jemu w tej „gardłowej” sytuacji nie pozostało już nic innego, jak ratować skórę.**

**W poszarpanej koszuli i z podrapaną twarzą, spocony i umorusany, ścigany przez hordę napastników wyglądał strasznie żałośnie i bohatersko zarazem. Anka na próżno starała się powstrzymać dziewczęta. Nie słyszały jej wcale. Andrzej też jej nie słyszał. I kiedy przebiegał koło niej, rzucił jej w twarz pogardliwie:**

— Zapłacisz mi za to, ty jaszczurko wiarołomna, ty zdradziecka żmijko!

— Żywcem, żywcem go brać! — krzyknęli, pędząc za nim Odjemkowie.

Ale nie dane im było zaspokoić zemsty. Andrzej bowiem, osłaniając się i klucząc, cofał się zręcznie do bramy i wkrótce znikł w stróżówce Abdulewicza.

W chwilę później sam Mulla wyskoczył ze stróżówki z miotłą i tak skończył się ten epizod pirackiej epopei.

Do Anki przybiegła zadyszana i wciąż jeszcze podniecona walką Joasia.

— Michał cię zaprasza na podział łupów do Altany.

Anka zacisnęła wargi, wstała i poszła za nią. Czuła się w głupiej sytuacji. Michał pewnie będzie stroił miny wybawcy i oczekiwał podziękowań. Nie wie, jaką jej wyświadczył niedźwiedzią przysługę i jak ją skompromitował.

## Rozdział VII

Michał siedział na barierze Altany i ssal skaleczoną rękę. Bracia Odjemkowie przynosili zdobyczną broń i narzędzia, i składali przy schodkach.

— Ile tego jest razem? — zapytał niby obojętnie, ale tak, żeby go Anka słyszała.

— Jedna żelazna taczka, dwa oskardy stalowe, sześć nowych rydli... — Odjemkowie wyliczali z buchalteryjną skrupulatnością.

— Zanotować, żeby nic nie zginęło... A co z bronią?

— Trzy oszczepy, w tym jeden złamany, i pukawka.

— Zwariowaliście! Co za pukawka?

— No, taka dla dzieci.

Michał spojrział na nich.

— Strzelali z tej pukawki?

— Nie wiem.

— Nie notować przypadkiem. To by nas ośmieszyło — rzekł, patrząc z zawodem na zdobyczną broń.

Uzbrojenie wyglądało dziwnie mizernie. Czyżby zwycięstwo nie było tak wspaniale, jak przypuszczał?

— Jak mało tego — zauważył.

— W ogóle było ich wszystkich tylko sześciu — wtrąciła rozżalona Anka — i gdyby nie to, że napadliście na nich znienacka, to kto wie...

— Jak to znienacka? Przecież oni pierwsi napadli na ciebie i wzywałyście pomocy. Były dwa strzały.

— Były... Ale później... ja... zawarłam rozejm, a wy... wy w czasie rozejmu...

Strasznie głupio wyszło. I wstyd. Złamałyśmy umowę. On... znaczy Kszyk, myśli, że ja go oszukałam i umyślnie zwabiłam w zasadzkę, żeby na niego zdradziecko napaść.

— My przecież nie wiedzieliśmy — zaczerwienił się Michał.

— No, niby racja, ale tak wyszło... no, jak mu to wytłumaczyć.

— Rzeczywiście...

— Bo przecież nawet umów z wrogiem trzeba dotrzymywać.

— Jasne!

— Nie masz się co przejmować — powiedziała Celina. Niedawno wróciła z pościgu za Kolonistami. Była czerwona jak burak, upocona i zgrzana, ale szczęśliwa. — Pamiętaj, że to oprawcy... dobrze im tak. Z takimi to żadnych układów. Nie wiadomo zresztą, czy by oddał Zośkę.

— Właśnie, gdzie Zośka? — zaniepokoiła się Anka. Wstyd jej było, że zupełnie o niej zapomniała. — Nigdzie jej nie widziałam.

— Nie zabrali jej chyba z sobą?

— Pewnie, że nie... Ledwie sami uciekli.

— No, to musi gdzieś być... Cicho, co to?

Usłyszeli śpiew. Dochodził gdzieś ze środka Altany. Anka skoczyła pierwsza, za nią wszystkie dziewczynki.

Z początku nic nie zobaczyły. Wnętrze Altany zastawione było starymi skrzyniami.

Anka podeszła na palcach. Przez szparę między skrzyniami zobaczyła Zośkę. Siedziała przed lusterkiem rozanielona, śpiewała: „O la la la c'est magnifique” — i czesała sobie na różne sposoby włosy, „przymierzając” fryzury w lusterku i strojąc przy tym różne przemądrzałe miny. Potem sięgnęła po czekoladę leżącą na skrzyni, ułamała kawałek, włożyła sobie do ust i oblizwała z apetytem palec.

Anka najpierw oniemiała z wrażenia. A potem ogarnęła ją jakaś niezrozumiała wściekłość.

Runęła naprzód tak gwałtownie, że zawadziła o skrzynie. Kilka z nich spadło z łoskotem.

Zośka zerwała się na równe nogi.

— To ty! — wykrztusiła zdumiona. — A gdzie Andrzej?

— Andrzej uciekł! A ty co tutaj robisz? — krzyknęła do niej Anka. — Co to ma znaczyć?...

— No ja... ja jestem w niewoli.

— Ładna niewola! Dlaczego nie wychodzisz? Nie słyszałaś bitwy?

— Myślałam, że to zabawa, przecież Andrzej mówił, że zawarłaś z nimi rozejm.

— Co to za czekolada?

— Andrzej mi dał — zaczerwieniła się Zośka. — Wiesz, on jest całkiem morowy.

Powiedział, że jestem podobna do Emilii Plater, a potem, żebyś wiedziała... — ściszyła głos

**tajemniczo.**

**— Nie jestem ciekawa — przerwała Anka. — Wynoś się stąd, ty głupia kozo! To myśmy się tak o ciebie martwiły...**

**— Przelewałyśmy krew — dodała surowo Celina.**

**— A ty...**

**— A ty tymczasem...**

**Właściwie nie wiedziały, obie, co powiedzieć. Inne dziewczynki też milczały, pochmurne i zgaszone. Nawet Joasia, która tak się zapłakiwała o Zośkę. Niesamowita historia.**

**\* \* \***

**Potem, gdy ochłonęła, Anka długo zastanawiała się, dlaczego wtedy tak strasznie skrzyczała Zośkę i co ją tak rozzłościło, ale nie mogła zrozumieć.**

**Nie poprawił jej humoru nawet fakt odzyskania Hilarego. Odjemkowie znaleźli go zamkniętego w klatce za stosem skrzynek. Hilary miał trochę poszarpane futro, oczy wystraszone i szczyrzył zęby, ale był zdrów.**

**Piraci uroczyście przekazali dziewczynkom Hilarego i po wzajemnych uściskach dłoni i przemówieniach sławiących bohaterstwo obu stron i piętnujących nikczemność wroga odbyło się uroczyste wypuszczenie lisa z klatki.**

**Niestety, główny bohater, Hilary, nie okazywał najmniejszego zrozumienia dla ceremonii i, nie machnąwszy nawet w podzięcie wspaniałą kitą, lecz przeciwnie, podwinąwszy ją, czmychnął w gąszcz.**

**\* \* \***

**Wracali przez Polanę Ostów. Anka chciała pokazać Michałowi ofiarę bestialstw Kolonistów i przy sposobności urządzić Kubusiowi pogrzeb.**

Po pogrzebie, widząc, że dziewczynki ocierają oczy, Michał westchnął i powiedział:

— Nie martwcie się, na pewno są tutaj jeszcze inne jeże.

— Ale takiego już nie będzie — pociągnęła noskiem Joasia.

— Przekłęci Koloniści! Za mało jeszcze dostali — rzekła zaciskając pięści Celina.

— Myślicie, że to oni?

— A ty wierzysz w jego wykręty?

W odpowiedzi Michał podniósł coś spomiędzy ostów.

— Co to jest? — zbliżyła się do niego z zaciekawioną Anka.

— Nic. Pudełko od zapalek.

— Dlaczego je podniosłeś?

— Bo takiego pudełka nie ma w całym Nieklaju, a ja, jak wiesz, jestem poniekąd filumenistą.

— Zbierasz etykiety zapalczane?

— Właśnie. Ta jest z prosięciem. Wskaźniki wzrostu hodowli. Nowa zupełnie seria.

Jeszcze nie dotarła do Nieklaja, ale czytałem o niej w kąciku filumenistów w „Dookoła Świata”.

Anka spojrzała na niego. Od razu zrozumiała, co miał na myśli.

— Jacyś obcy?

Michał skinął głową.

— Ty wiesz?... Ten Andrzej mówił, że ktoś mu świsnął dwa oskardy — przypomniała sobie na głos Anka.

— Bujasz — szepnął przejęty Michał. — Anka — odciągnął ją gwałtownie na bok — twoja teoria, pamiętasz... To może ci, co podkopali się... Zrób no jeszcze raz, tę... no, dedukcję.



— Ale po co by się jeszcze pętali po Ogrodzie? — zapytała Anka.

— Właśnie. I na co by im jeszcze były potrzebne oskardy?

— Może Andrzej bujał, że mu ukradli... albo gdzieś zawieruszyli...

Dalsze dedukcje i analizy kryminalistyczne przerwały im jakieś głośnie krzyki.

Anka i Michał unieśli głowy.

Polaną, od strony czołgu i strumienia, biegli bojowym truchtem Piraci, prowadzeni przez samego Zenona.

Michał nie dowierzał własnym oczom.

— Co wam się stało, że przyszliście? — wycedziła chłodno Anka.

— Zobaczyliśmy Kolonistów, wracających z oskardami.

— A potem widzieliśmy, jak pozostali uciekają.

— I schwytaliśmy jeńca.

— Mówił, że jest bitwa w Ogrodzie. No, to przybiegliśmy natychmiast.

Zadyszani Tubylcy mówili jeden przez drugiego.

— Rychło w czas — przerwała im Anka.

— Już po wszystkim — powiedział Michał, ocierając czoło.

— Bezczelne gnyпки. Jak oni się odważyli! — pienił się Zenon. — Wiecie, do ostatka nie wierzyłem, jak mamę kocham!

— Pięć łopat!

— Dwa oskardy!

Chłopcy oglądali z podziwem łup wojenny.

— Zorganizowana akcja.

— Ba, ale jak się dostali? — denerwował się Tomek.

— Musieli przekupić Mullę — mruknął Tadzik.

— Gdzie kopali? — dopytywał się Zenon.

— Na Wysokich Polanach — odparł Odjemek Większy.

— W ilu miejscach?

— W dwu.

— To dobrze — mruknął Zenon — znaczy, że nie są zbyt pewni.

— Pewni czego?

— Jak to „czego”? To chyba jasne.

— Myślisz o skrzyniach Szwajca?

— Oczywiście.

— Musieli zdobyć jakieś wiadomości.

— Ale skąd?

— Może Bosman...

— Nie, Bosman nie zrobiłby nam takiego świństwa.

— Jak myślisz, wróca? — zagadnął Tadzik Michała.

— Diabeł ich wie — mruknął Michał.

**Odjemek Większy, rozcierając guza na nodze, mruknął:**

— Myślę, że nie poddadzą się tak łatwo.

— Kszyk się odgrażał — wtrąciła Anka. — Strasznie się odgrażał.

**Zenon przygryzł paznokieć.**

— Mówisz, że się odgrażał?

— Był wściekły i pewny siebie.

— Ostatecznie mają pierwszy zastęp zupełnie nienaruszony.

— Ten, co wyszedł wcześniej, i który widzieliśmy na drodze...

— Mogą wrócić lada moment — straszili Odjemkowie.

— Na pewno wrócą — orzekł Tadzik. — Widać, że im bardzo zależy na pośpiechu.

Musieli się dowiedzieć, że lada godzina możemy mieć dokładne informacje od Bosmana.

— E, teraz się będą bali — rzekł Michał. — Jeśli wrócą, to w nocy.

— Tak. To możliwe, że będą próbowali poszukiwać w nocy — zamyślił się Zenon.

— Dzisiaj jest pełnia, noc będzie jasna.

— Musimy postawić strażę — doradził Tadzik.

Zenon skinął głową.

— Przy wszystkich wejściach.

— Po co? Pójdą na pewno przez bramę, przecież przekupili Mullę — przekonywał

Susuł. Bał się, żeby go nie wyznaczyli do nowej warty. Bo jak coś najgorszego, to zawsze właśnie jego wyznaczają.

— Mulla może ich nie wpuścić w nocy.

— Tak, nie wiadomo, którędy będą próbowali wejść. A w ogóle należałoby śledzić każde ich poruszenie.

— Wystarczy śledzić Kszyka — powiedział Tadzik. — Bez Kszyka nigdzie się nie ruszą.

— Ja mogę wziąć to na siebie. On mieszka w tym samym bloku i na tej samej klatce, co ja — zaofiarował się Michał.

Miał nadzieję, że przy sposobności wpadnie na trop złodziei i wyjaśni sprawę podkopu. Tak czy owak postanowił sobie, że przyjdzie w nocy na czaty do Ogrodu.

— Jak będziesz go obserwowal? — pytał Tadzik. — Jeśli będziesz czekał na niego pod domem, może się połapać.

— Spokojna czaszka. Będę u siebie w pokoju. Mam sposób na niego — uśmiechnął się Michał.

— No, to załatwione — powiedział Zenon. — Ty idź, pilnuj Kszyka, ja walę do

Bosmana, a wy — zwrócił się do chłopców — wy pójdziecie po śledzia.

— Po śledzia? — zdziwili się. Myśleli, że Zenon zwariował.

— No, już. Biegiem! — krzyknął Zenon.

— Ale dlaczego po śledzia?

— Po tym, co dzisiaj zaszło, musimy przycisnąć Bosmana. Trzeba koniecznie wydobyć od niego wiadomość o skrzyniach Szwajsa, i to jak najprędzej. Inaczej Koloniści będą pierwsi.

— Myślisz, że śledź pomoże?

— Już nie wiem, czego próbować — westchnął Zenon. — Zdaje się... zdaje się, że on lubi śledzie, wspominał kiedyś. Może ten śledź go poruszy.

— Wy go naprawdę wyprawicie na tamten świat — mruknął Tadzik.

— To już ostatni raz — chrząknął zmieszany Zenon. — Od jutra bierzemy go na dietę, tak jak Otrębus zalecił. No jazda, co się gapicie — krzyknął rozzłoszczony — splywajcie już! Chcę być sam. Może po drodze coś wymyślę. Muszę się skupić. Chłopcy wzruszyli ramionami i, oglądając się za Zenonem, pobiegli do wyjścia.

\* \* \*

Inżynier Ankwicz przechadzał się po gabinecie zdenerwowany. Anka weszła ze skromną minką.

— Wzywaleś mnie, tatusiu?

— Ładnych rzeczy ja się dowiaduję o tobie. Moja córka w bandzie chuliganów.

— O co chodzi?

— Na czele jakichś łobuzów pobilaś Andrzeja Kszyka w Ogrodzie Szwajsa i zabrałaś mu narzędzia.

— Ja... ja ci to wszystko wytłumaczę — wyjąkała Anka. — To... to była pomyłka.

Najpierw oni porwali lisa, a potem Zośkę... no i tak jakoś wyszło. — Opowiedziała o całej historii.

Ale ojciec się nie rozchmurzył.

— Przecież wiesz, że zabroniłem ci chodzić do Ogrodu. Jak będzie uporządkowany, to co innego. Ale obecnie? Zabroniłem ci stanowczo.

— A temu Andrzejowi to wolno? — zapytała rozzalona Anka. — Byli dzisiaj i szukali skarbów. Całą polanę zryli.

— Mylisz się — powiedział ojciec — oni nie szukali skarbów. To mądrzy, dzielni chłopcy. Zgłosili się na ochotnika, że uporządkują część Ogrodu i założą tam boisko sportowe.

— I ty się na to zgodziłeś? — Anka czuła, że traci dech.

— Dlaczego nie miałem się zgodzić. To bardzo cenna inicjatywa. Doktor Otrębus i ja jak najchętniej poszliśmy im na rękę. Pracują tam pod kierunkiem doktora i opieką pana Abdulewicza. Zresztą, zabroniłem im zbliżać się do ruin i wchodzić w gęstwiny.

Anka najpierw patrzyła na ojca struchlała, a potem rzuciła się do drzwi. Wpadła do swojego pokoju i ukryła twarz w poduszce.

Inżynier zdumiony w najwyższym stopniu podszedł co córki.

— Co ci się stało, Aniu?

Szlochała coraz głośniejsze.

— No, powiedz — wziął ją za ramiona i potrząsnął z niepokojem. — Co ci jest?

— A bo... bo ty... ty jesteś taki lakoniczny i nic nie rozumiesz. W ogóle się nie rozumiemy i to jest takie straszne.

— Czego nie rozumiem... o co ci chodzi?

— Bo... chcesz zniszczyć Ogród.

— Ja chcę zniszczyć, co ty opowiadasz? Porządkujemy go tylko.

— Ja nie chcę, ja nie pozwolę wypędzić Tłuściocha... i Bazylego...

— Jakiego Tłuściocha?

— No, niedźwiedzia.

— Ależ tam nie ma niedźwiedzia!

— Jest. Właśnie jest w tej gęstwinie niezbadanej, gdzie nikt nie zagląda. Przecież tam nie zaglądałeś.

— No, nie zaglądałem.

— Więc on tam jest. Dlatego nie wolno ci ruszać Ogródu.

— Ty chyba jesteś nienormalna.

— Czy nie rozumiesz — mówiła ze łzami Anka — że musi być coś niezbadanego? To byłoby straszne, gdyby się w Ogródzie znalazło wszystkie zakątki i wszędzie można było dojść.

— Dlaczego?

— Bo... bo jak jest coś niezbadanego, można zawsze sobie wyobrazić, co się tylko chce. Nawet niedźwiedzie, rysie i borsuki. A potem już nie można. Bo potem już się wie, co tam jest.

Ojciec spojrział na nią z troską. Od dawna już podejrzewał, że jego pierworodna córka jest trochę nienormalna...

— Z tobą naprawdę coś nie jest w porządku — szepnął i zaniepokojony poszedł zadzwonić do doktora Otrębusa.

## Rozdział VIII

O godzinie szóstej chłopcy stawili się w domu Bosmana ze śledziem zawiniętym w papier. Wspięli się po drabinie do okna facjaty, chcieli wejść do izdebki, ale Zenon ich nie

wpuścił. Odebrał od nich śledzia bez słowa i kazał im czekać za oknem. Siedli więc na drabinie i czekali. Wkrótce zaczęło im się nudzić, chcieli zajrzeć do okna, ale Zenon zasłonił je firanką i nic nie zobaczyli.

— Co on tak długo je? — zaniepokoił się Tadzik.

— Cicho... zdaje się, że coś słyszę — uciszył go Marian.

— Zwierza się? — zapytał ciekawie Susuł.

— Nie mogę zrozumieć — nadsluchiwał Marian — zdaje się, że się zwierza... coraz głośniej — powiedział.

Teraz już wszyscy słyszeli Bosmana. Wydawał jakieś dziwne pomruki. Nagle okno się otworzyło i zobaczyli w nim twarz Zenona. Miał wystraszoną minę.

— Do diabła — zasapał — co wyście przynieśli?!

— Jak to „co”? Śledzia.

— Śledzia, ale jakiego? Kazałem przecież marynowanego, a wy... głupcy... prosto z beczki... słonego jak nieszczęście.

— To prawda — stropił się Tadzik — zapomnieliśmy wymoczyć.

— Daj go, to wymoczymy — zaproponował Marian.

— Tak... wymoczyć, kiedy Bosman już zjadł.

— Zjadł takiego śledzia? — Susuł przelknął ślinę, bo poczuł, że mu się nagle zrobiło słono w ustach. — Jak on mógł zjeść takiego śledzia? Nic się nie pokapował? A to dopiero!

— On nie ma smaku w ustach z tej choroby — rzekł Zenon. — Dopiero potem poczuł, jak już było za późno. To właśnie jest nieszczęście. Słyszycie, jak krzyczy? Nie wiem, co teraz zrobimy. Sól go piecze i w ogóle niezdolny jest do zwierzeń.

— To prawda, krzyczy — rzekł przestraszony Susuł.

— Uciekaj lepiej, Zenon — poradził Tadzik.

**Zenon przeskoczył parapet. Ledwie zbiegli po drabinie, gdy w oknie ukazał się**

**Bosman w długiej koszuli.**

**— Pić! — zawołał rozpaczliwie. — Pić!**

**Chłopcy z nieszczęśliwymi minami sterczeli pod oknem na podwórzu. Najchętniej by uciekli gdzieś ze wstydu, ale sumienie nie pozwalało im porzucić cierpiącego Bosmana.**

**— A lotry — krzyczał marynarz — naumyślnie daliście mi śledzia! Chcecie ze mnie wydusić zeznania. To wasza zemsta, że nie chcę wam zdradzić tajemnicy.**

**— Ależ skąd, proszę pana — zaprzeczali zrozpaczeni.**

**— Wiem, że nie zależy wam na mnie. Wszystko, co robicie, wasze wizyty i wałówki, to tylko po to, żebym wam powiedział o skrzyniach Szwajca. Nieludzka, zmaterializowana młodzież! Czekacie jak kruki na moją śmierć, bo nieopatrznie przyrzekłem wam zrobić zeznania przedśmiertne.**

**— Nie... niech pan tak nie mówi — jęknął Zenon.**

**— Udawaliście przyjaciół, a zależy wam tylko na złocie! — krzyczał marynarz wzburzony.**

**— Nie... my naprawdę jesteśmy pana przyjaciółmi — zaprzeczył Marian.**

**— Nam najwięcej zależy na panu.**

**— Jak pan nie chce powiedzieć o tych skrzyniach, to trudno.**

**— I tak będziemy pana lubić.**

**— I przychodzić.**

**Zapewniali go jeden przez drugiego, zrozpaczeni.**

**— No, dobra — udobruchał się Bosman — no, to... no to biegnijcie po piwo. Po cztery piwa — poprawił się. — Tylko prędko. Na miłość boską, bo mnie ta sól przeżre.**

**Chłopcy spojrzeli po sobie ponuro.**



— Czy... czy musi być koniecznie piwo? — zapytał Zenon. — Bo...

— Może pan się napije mleka — dodał Marian — bo...

— Bo wie pan... — chrząknął Tadzik.

Bosman spojrział po nich zdziwiony.

— Do licha, więc to tak... A na kredyt w budce nie dadzą?

— Już od zeszłej niedzieli bierzemy na kredyt, proszę pana.

— Więcej nie chcą dawać.

— Wyczerpały się nasze fundusze.

— Mleko dobrze zrobi po śledziu — rzekł z przekonaniem Susuł.

Marynarz wzdrygnął się.

— Tak, mleko to odtrutka, proszę pana — przekonywał go Tadzik.

— Nie, dajcie spokój — skrzywił się marynarz. — Zemdliliby mnie. Już lepiej dajcie wody.

Chłopcy skoczyli do studni. Wkrótce potem wnieśli po drabinie dzbanek wody.

Marynarz przypiął się do niego i pił chciwie.

— Niech pan nie wypije całego dzbanka — przestraszył się Zenon — to niezdrowo.

— Jeszcze więcej będzie się chciało panu pić — dodał Tadzik.

— Najlepiej niech pan nie myśli o tym, że chce się panu pić — poradził Marian.

— Łatwo powiedzieć, przyjacielu — zasapał Bosman, ale odstawił dzbanek.

— Niech pan nam opowie o podróży na wyspę Resplandor — zaproponował Zenon.

— Jak pan będzie opowiadał, to przestanie pan myśleć o picciu.

— Tak, niech pan nam opowie dalszy ciąg podróży — prosili.

— Dobrze — zgodził się Bosman — tylko zobaczcie, czy wdowa nie idzie.

— Przecież wdowa o tej porze jest w szpitalu i sprząta — zauważył Tadzik.

— Tak, ale dzisiaj uprzedziła mnie, że się szybciej zwolni — powiedział Bosman. —

Ma do mnie przyprowadzić Otrębusa.

— Otrębusa? — chłopcom zrzędła mina.

— Dzisiaj w nocy podobno krzychałem przez sen. To po tym wczorajszym baleronie.

Za dużo daliście mi tego baleronu wczoraj na kolację i przez całą noc śnił mi się tajfun.

Więc krzychałem, a wdowa przestraszyła się i postanowiła sprowadzić dzisiaj doktora.

Chłopcy spojrzeli po sobie niepewnie.

— Dalej! — zakomenderował Zenon. — Susu! wdrap się na „bocianie gniazdo” i

zbadaj pole widzenia.

Susu! wspiął się na dach i z wysokości anteny przy kominie obserwował horyzont.

— Nikogo w polu widzenia — krzyknął — horyzont czysty!

— Dobra, zostaniesz tam i będziesz trzymał wachtę — rozkazał Zenon — a my z

panem Bosmanem wracamy do kajuty.

— Zawsze ja — zamruczał Susu! ponuro.

— Musisz się ćwiczyć — odparł Zenon — sam wiesz, że jesteś zbyt tłusty.

— Wiem, że jestem zbyt tłusty — jęknął Susu!.

„Tłustość” była wiecznym utrapieniem Susu!a. Z powodu tej tłustości Zenon zawsze wyznaczał go do najcięższych zadań i nie chciał awansować nawet do stopnia chorążego.

\* \* \*

Tymczasem w izdebce chłopcy wpakowali Bosmana do łóżka i obsiedli go dookoła.

— Na czym to skończyliśmy? — zapytał zrezygnowany Bosman.

— Na Hiszpanii — odpowiedział Tadzik.

— Jak była wojna domowa z faszystami.

— I jak bomba zburzyła stary dom w Tarragonie.

— W 1936 roku.

— I jak handlarz starzyzny, Alfonso, wydobył z gruzów kasetę ze starymi mapami.

— Która była zamurowana w piwnicy tego domu.

— A pan z kolegami kupił od handlarza Alfonsa te mapy za butlę rumu z Jamajki.

— I dołożył pan jeszcze cygara hawańskie.

— I stare spodnie, które właśnie kucharz Diego niósł do krawca do reperacji.

Bosman spojrzał na nich z podziwem.

— Macie doskonałą pamięć — powiedział.

— Niech pan opowiada dalej — prosili.

— No, więc kupiliśmy te mapy — zaczął Bosman — chyba dlatego, że właśnie

wyszliśmy z tawerny portowej i nie byliśmy zupełnie trzeźwi. Nazajutrz, wściekli,

zwalaliśmy na siebie wzajemnie winę za tę głupią transakcję. Przypomnieliśmy sobie, że ten

lotr Alfonso uśmiechał się szyderczo, kiedy nam wręczał te mapy. Był pewnie przekonany,

że trafił na naiwnych. Najbardziej pomstował kucharz Diego, który stracił spodnie. Był to

bardzo skąpy marynarz. Chcieliśmy wrócić na ląd, odszukać tego łobuza Alfonso i

unieważnić transakcję, ale nie było czasu, bo nasza łajba „Xingu” już podnosiła kotwicę.

Diego chciał cisnąć nieszczęsne mapy w wodę, szczęściem udało mi się wyrwać mu je

w ostatniej chwili. Po wachcie zamknięty w kubryku obejrzałem je dokładnie, ale nic nie

mogłem z nich zrozumieć. Były na pół zbutwiałe, bardzo dziwne, posiadały znaki, jakich już

dzisiaj nie używa się na żadnych mapach, a napisy były w języku hiszpańskim, którego

prawie wcale nie znałem. Schowałem je do kuferka, postanowiłem nie myśleć więcej o nich i

być ostrożniejszym na przyszłość.

Dopiero na pełnym morzu, dwa dni później, przypomniałem sobie o nich. Tego dnia

śluchaliśmy radia i dowiedzieliśmy się o strasznym bombardowaniu Madrytu przez

niemiecką eskadrę „Condor”, która walczyła u boku hiszpańskich faszystów. Wtedy nasz kapitan Murillo, który miał krewnych w Madrycie, bardzo się tym przejął i nazwał tę eskadrę „Condor” piratami. Zgadalo się o piratach. Kapitan powiedział, że najwięcej piratów było niegdyś na Morzu Karaibskim. Gnieździli się tam oni na małych, niedostępnych wysepkach i napadali na statki hiszpańskie wiozące złoto z podbitych krajów Ameryki do Hiszpanii, a łupy kryli na tych swoich pirackich wyspach. Przypomniałem sobie, że ten łotr Alfonso, sprzedając nam mapy zaręczał, że to są mapy pirackie. Żartem więc wspomniałem, że ja mam mapy tych wysp i że na pewno tam są jeszcze ukryte skarby po piratach.

Kapitan kazał mi pokazać te mapy. Kiedy mu je przyniosłem, wśród śmiechu całej załogi, obejrzał je dokładnie i powiedział, że to są prawdziwe mapy z osiemnastego wieku, że on się na tym zna, bo od dawna interesuje się starą kartografią i nawet ma u siebie małe zbiory z tej dziedziny.

Wtedy załoga przestała się śmiać, a kucharz Diego zapomniał od razu, że chciał te mapy wrzucić do morza, i zapytał kapitana, jaką mają wartość. Kapitan odparł, że musi je dokładnie zbadać i że da nam później odpowiedź.

Istotnie, na drugi dzień wezwał mnie i powiedział, że przestudiował już je dokładnie. Trzy z nich są zupełnie nieczytelne, ale czwarta jest autentyczną mapą znanego w osiemnastym wieku pirata Miguela Calvo. Przedstawia ona mały archipelag zapomnianych już dziś wysepek w rejonie Małych Antyli. Kapitan pokazywał mi je jedną po drugiej i wymieniał ich nazwy: Larga Taciturnidad, Todas Frutas, Escondidos, Siete Ladrones, Matarratos i Resplandor.

„Wszystkie one — powiedział — nazwane są na mapie »Islas Fumosas«, to znaczy wyspy dymne albo zadymione, ponieważ są to wyspy wulkaniczne”.

Następnie wręczył mi lupę i kazał przyjrzeć się ostatniej wyspie, która nosiła nazwę „Resplandor”. Przyjrzałem się dokładnie i na wschodnim brzegu obok zaznaczonej góry ujrzałem mały krzyżyk.

„Czy widzisz, co tam obok napisano?” — zapytał z dziwnym uśmiechem.

„T...ros es...dos” — odcyfrowałem.

„Czy wiesz, co to znaczy?”

„Nie mam pojęcia” — odparłem.

„Znaczy to z pewnością: tesoros escondidos — kapitan przyglądał mi się z uśmiechem — czyli ukryte skarby”.

Patrzyłem na niego oniemiały.

„Pan żartuje” — powiedziałem.

„Ależ nie. Brakuje wprawdzie kilku liter, lecz każdy, kto zna język hiszpański, łatwo odgadnie, o co tu chodzi”.

„No i co teraz?” — zapytałem po chwili.

„Nic — odparł. — Mogę kupić tę mapę. Dostaniesz za nią... no, powiedzmy... pięć dolarów”.

„Chce pan tam... pojechać?” — zapytałem naiwnie.

„Nie, skądże! — zaśmiał się kapitan. — Kupię ją do moich zbiorów, to ciekawy antykwaryczny okaz”.

„Nie wierzy pan w ten skarb?” — zapytałem, czując, że krew uderza mi do głowy.

Zamiast odpowiedzi kapitan Murillo pokazał mi datę wykonania mapy. W jej lewym rogu było napisane zawijastymi literami: *A. D. 1767*.

„Zalóżmy — powiedział po chwili — że mapa mówi prawdę i że istotnie na wyspie

Resplandor były jakieś skarby. Czy sądzisz, że przetrwały do dziś? Te wyspy miały wtedy

bardzo burzliwą historię. Piraci grabili hiszpańskie statki, z kolei piratów tępiły wojenne okręty hiszpańskie, a oni sami też gryźli się między sobą. Rabowano sobie wzajemnie łupy, odbierano statki, wyspy i skarbcze. A nadto — dodał — nadto musisz jeszcze pamiętać o siłach natury tak niełaskawych dla tych Islas Fumosas. Ustawiczna działalność wulkanów, trzęsienia ziemi, cyklony częste w tamtych stronach — wszystko to dawno mogło pochłonąć skarby Miguela Calvo, nawet jeśli udało im się ocaleć przed chciwością ludzką”.

„Lecz przecież można sprawdzić. Co nam szkodzi?” — zapaliłem się. Byłem młody i kusila mnie awantura, choćby nawet szanse były znikome.

Kapitan nie chciał jednak na to przystać. Nie wierzył zupełnie w to, żeby skarby Miguela Calvo mogły się jeszcze znajdować na wyspie. Ponowił tylko swoją propozycję odkupienia mapy. Lecz, jak wam powiedziałem, we mnie już rozbudziła się żądza wielkiej przygody. Nie chciałem słyszeć o sprzedaży mapy, chociaż podwoił sumę kupna do dziesięciu dolarów, co było niezłym kąskiem dla marynarza w tamtych czasach.

Pozostali właściciele mapy, gdyż, jak wam powiedziałem, kupiłem ją do spółki z kolegami, też nie chcieli słyszeć o sprzedaży. Postanowiliśmy przy najbliższej sposobności, jak tylko zbieramy trochę pieniędzy, wybrać się na poszukiwanie wyspy Resplandor.

Tymczasem okazja nie dała długo na siebie czekać. Dwa miesiące później nasza stara łajba odbywała swój normalny kurs między Brazylią a portami portugalskimi i hiszpańskimi, załadowana jak zwykle bawełną i kawą. Ledwie przepłynęliśmy równik, dostaliśmy się w zasięg potężnego cyklonu, który, jak się później dowiedzieliśmy, rozbił i zatopił wiele statków w tej części Atlantyku, większych i silniejszych od naszego „Xingu”.

Ale kapitan Murillo był doświadczonym żeglarzem i udało mu się wyprowadzić nas cało z burzy, aczkolwiek straciliśmy trzech ludzi, których fala zmyła z pokładu, w tym pierwszego oficera. Sam kapitan, nim się skończyła burza, zaniemógł poważnie na serce i zmarł na

drugi dzień.

Kiedy pochowaliśmy go w morzu i jako tako doprowadziliśmy łajbę do porządku po spustoszeniach cyklonu, od razu przyszło nam na myśl, że zdarzyła się okazja, na którą czekaliśmy. Znajdowaliśmy się na tej samej niemal szerokości geograficznej, co Islas Fumosas, około osiemset mil morskich na wschód od tych wysp. Gdyby tak zboczyć z kursu? Pokusa była bardzo silna. Wiedzieliśmy, że załoga chętnie zaakceptuje nasz plan. Byli to wszystko ludzie młodzi, skorzy do awantur, o bujnej wyobraźni, zwykle bez grosza przy duszy i ryzykanci jakich mało. Pozostawał tylko drugi oficer, nazwiskiem Alvarez, który po śmierci swoich przełożonych objął komendę statku. Ostrożnie przedłożyliśmy mu nasz pomysł.

„Nic nie ryzykujemy — powiedzieliśmy — nasz »Xingu« jest starą łajbą, która miała prawo zatonać podczas takiego sztormu. Powiemy więc armatorom, że burza wytrąciła nas z kursu i statek zdany na łaskę fal stracił cztery dni, nim naprawiliśmy uszkodzenia i mogliśmy ruszyć dalej w drogę. Nie mamy przecież świadków. Kapitan i starszy oficer nie żyją. Reszta załogi będzie trzymała język za zębami”.

Drugi oficer był człowiekiem młodym, ale na swój wiek doświadczonym. Aczkolwiek widział już przedtem naszą tarragońską mapę i słyszał, co o niej mówił kapitan, nie chciał się zgodzić na to przedsięwzięcie.

„Chętnie popłynąłbym z wami na Antyle — powiedział. — Nudno pętać się wciąż po tym samym kursie, ale nie mogę narażać się armatorom. Takie zboczenie z kursu jest bardzo surowo karane. Straciłbym pracę i nikt by mnie nie przyjął na żaden statek. A teraz — mówił — po śmierci kapitana i starszego oficera, jeśli uda mi się doprowadzić samodzielnie »Xingu« do celu podróży, z pewnością dostanę awans na pierwszego oficera, a może nawet od razu na kapitana”.

Tak mówił ten spryciarz Alvarez, ale my czuliśmy, że ma wielką ochotę na zboczenie z kursu.

„Kto się może dowiedzieć, że pan zboczył umyślnie z kursu — kusiliśmy go — wszyscy na pokładzie przysięgną, że to cyklon i śmierć kapitana opóźniły nasz kurs”.

Ale on kręcił głową.

„Nie można wierzyć tym ludziom — mówił. — Gdyby na wyspie Resplandor nie odnaleźli skarbów, byłiby z pewnością wściekli i każdy z nich sprzedałby mnie armatorom za jednego peseta. A przecież małe są szanse na to, że znajdziemy te skarby. Nie mogę zgodzić się na takie ryzyko”.

Miał głowę na karku ten Alvarez i znał się na ludziach, chociaż był taki młody.

Nie wiedzieliśmy, jak go przekonać, i wtedy kucharz Diego wpadł na pomysł.

„Niech pan się niczego nie boi. Nie będzie pan za nic odpowiadał. Urządzimy to tak: udamy, żeśmy się zbuntowali i że zmusiliśmy pana do zmiany kursu. Załoga będzie przekonana, że pan płynie pod przymusem, i nikt pana nie będzie mógł wydać”.

Alvarez zgodził się po namyśle, zastrzegł sobie tylko podwójny udział w łupach.

Natychmiast więc „zorganizowaliśmy bunt na statku”. I wkrótce załoga zobaczyła, jak prowadzimy Alvareza z podniesionymi do góry rękami na mostek kapitański.

„Czy zgadza, się pan zmienić kurs?!” — wołaliśmy, klując go na niby pistoletem.

„Nie zgadzam się i biorę was wszystkich na świadków — krzyknął Alvarez do załogi — że tu popełniają gwałt na mojej osobie!”

„Jeśli pan nie zrobi tego, zapłaci pan życiem!” — krzyknęliśmy.

„Biorę was wszystkich na świadków, że działałam pod przymusem” — powiedział

uroczyście Alvarez i wydał sternikowi rozkaz, żeby zmienił kurs o osiem rumbów. I tak popłynęliśmy na wyspę Resplandor...



Bosman przerwał opowiadanie. Zawsze z nim tak było. Przerzywał w najciekawszym miejscu, zupełnie niespodziewanie, i popadał w ponure zamyślenie.

Zenon podetkał mu dzban z wodą, myśląc, że może zaschło mu w ustach, i jak się napije, będzie opowiadał dalej, ale on łyknął tylko jeden haust i skrzywił się z niesmakiem.

— Woda — mruknął z pogardą. — Czy ja kiedyś mogłem się spodziewać, że będę pił wodę uwięziony w łóżku, w miasteczku, zwanym Nieklaj? Ja, który piłem xeres i malagę na wszystkich morzach świata... Nawet kiedy płynąłem na wyspę Resplandor.

To wspomnienie musiało go szczególnie rozdrażnić i wprowadzić w ponury nastrój, bo usiadł na łóżku i począł drapać się w wytatuowaną pierś, na której nieznany artysta uwiecznił scenę corridy, czyli walki byków.

— Co za życie! Wy nie rozumiecie, co to dla mnie za ohydne życie. Nieklaj. Dzisiaj znów przyjdzie Otrębus i każe mi dawać kaszkę. A wdowa będzie płakać nade mną. Brr! — otrząsnął się z obrzydzeniem.

Potem zapatrzył się w okno. Myślał nad czymś. Wreszcie obrócił się do chłopców i rzekł sapiąc:

— Powiedziałbym wam o skrzyniach Szwajsa, gdybyście... gdybyście zrobili dla mnie jedną rzecz. Tylko to tajemnica...

Chłopcy wstrzymali oddech. Ileż to dni czekali na tę chwilę! Nachylili się ciekawie nad Bosmanem.

— Nie powiecie nikomu, o czym tu będzie mowa?

— Przyrzekamy — wykrztusili pośpiesznie.

— A więc słuchajcie... — Bosman ściszył poufnie głos.

Świątek Dauer zajrzał jeszcze raz do notesu. Pociąg do Gdyni odchodzi dopiero o dwudziestej pierwszej czterdzieści siedem, ale Świątek postanowił się wziąć do pakowania. Tak czas szybciej zejdzie. Zresztą woli już czekać na stacji. Stacja to już jakby nie Nieklaj, to już inny świat. A on chce jak najszybciej wydostać się z Nieklaja.

Z zaciśniętymi zębami wspiął się na krzeselko, wyjął z górnej szafy walizkę.

Oczywiście, weźmie z sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Żadnych zabawek i fatalaszków.

Modeli też nie zabierze. Zostawi je tym smarkaczom z bloku na pamiątkę. Zawsze mu zazdrościli tych modeli, to niech mają. Świątkowi już są niepotrzebne do szczęścia. Nie na wycieczkę jedzie, nie na zabawę, ale do pracy. Będzie pracował u starego Gustawa na kutrze... Na kutrze nie puszcza się modeli... Będzie mieszkał w maleńkim kubryku pod pokładem. Takim maleńkim, że jak się wyciągnie ręce, można dotknąć obu ścian naraz...

Stary Gustaw dawno już namawiał Świątko na tę pracę. Tak, Świątek ma u niego miejsce zagwarantowane. Ile razy odwiedzał go z ojcem, szyper zawsze kładł ciężką rękę na ramionach Świątko i mówił do ojca:

— No, inżynierze, kiedy oddacie mi Świątko na praktykę?

— Niech zmężnieje — mówił ojciec. — Co byście robili, szyprze, z takim chuchrem?

— Nie szkodzi — chrypiał Gustaw. — Na morzu nabierze siły... to dzielny chłopiec.

Świątek wspomina teraz słowa starego szypra z ulgą. Tak, nie ma się czego obawiać, szyper Gustaw przyjmie go z otwartymi rękoma. Szyper zna się na ludziach i on jeden poznał się na Świątku. Świątek nie potrzebuje łaski Zenona ani tych przemądrzałych dziewczyn, ani nikogo. Da sobie radę bez nich, a szyper Gustaw wystarczy mu za trzech Bosmanów. To prawda, że nie ma takiego wyglądu, jak Bosman, ani tatuaży, ani wielkiego wzrostu, ani nie pływał po morzach południowych... Szyper Gustaw jest mały, krępy, całą twarz ma zarośniętą kędzierzawą brodą, która sięga mu aż pod oczy, i gdyby nie fajka,

która mu sterczy z ust, w ogóle trudno by się domyślić, w którym miejscu ma usta. Pływał tylko po morzach północnych, ale zna za to wszystkie tajemnice łowisk, a kiedy był młody, ścigał raz prawdziwego wieloryba w okolicach Spitsbergenu i polował na krze na białe niedźwiedzie... A raz jego statek został uwięziony przez lód i dryfował z lodem aż do wiosny. A raz wyłowił z morza butelkę, w której była wiadomość o zatopionej fregacie...

Tak, nie ma czego specjalnie żałować. Przy takim szyprze, jak Gustaw, można przeżyć niejedną przygodę... I to przygodę najprawdziwszą pod słońcem. A najważniejsze, że szyper Gustaw jest na chodzie, nie tak jak Bosman. Bo cóż znaczy przy żywym szyprze nawet najwspanialszy bosman, który jest jedną nogą w grobie i nie popłynie już w żaden rejs.

Świątek uśmiechnął się pogardliwie i zabrał się do pakowania odzieży. Odrzucił ze wstrętem jedwabne koszulki, białe ubranko marynarskie z krótkimi majtkami i sandaalki. Szyper by go wyśmiał, gdyby się przed nim pokazał w czymś takim. Weźmie tylko samą grubą odzież, swetry, flanelowe koszule i gumowe buty. No i przydałaby się jakaś peleryna od deszczu. Na wybrzeżu wciąż leje... Szkoda, że swoją przeźroczystą pelerynę z folii pokrajał na pokrycie modeli, przydałaby się teraz, chociaż była już mocno dziurawa... Trudno, pożyczycy sobie w takim razie pelerynę ojca. Czy tylko nie będzie za długa? Zdjął ją z wieszaka w szafie i właśnie przymierzał przed dużym lustrem w przedpokoju, gdy nagle rozległy się szybkie kroki na schodach i ktoś pchnął drzwi (z tego wszystkiego Świątek zapomniał zamknąć je na klucz).

— Czy jest Światopelk Dauer? — zapytał jakiś skrzeczący głos.

Świątek zamrugnął oczami. W lustrze zobaczył Długiego Tomka o szyderyczym spojrzeniu, a po jego bokach asystę, obu Odjemków, Większego i Mniejszego.

Szyderyczy uśmiech Długiego Tomka, grobowe miny Odjemków i w ogóle „ogólny

widok” Piratów do tego stopnia przeraził Światka, że w pierwszej chwili nie mógł słowa wykrztusić i stał jak sparaliżowany, nie odwracając się... Piraci... Piraci w jego domu... Na pewno przyszli mu coś zrobić. To przecież ten długi zepchnął go wtedy z okna u Bosmana i skarżył o szpiegostwo. Teraz przyszli dokończyć go... Tak, przyszli go dokończyć. Że też się dał zaskoczyć tak głupio.

Co robić? Nie, nie da się im tak łatwo. Zabarykaduje się w pokoju.

Chciał uciekać, ale nogi zaplątały mu się w nieszczęsną pelerynę i rąbnął jak długi na podłogę.

Tomek i Odjemkowie podeszli bliżej i pochylili się nad nim ciekawie.

— To ty? Nie poznaliśmy cię w tej pelerynie — zdziwił się Tomek, kiedy zobaczył, grzebiącego się w obfitych faldach peleryny, Światka. — Co ty wyrabiasz... po co to przebranie?

— Ja... nic... ba... bawię się tylko... w ducha...

Czerwony z upokorzenia i wstydu Świątek gramolił się na nogi, po czym stanął przed nimi podobny do trąbki w pokrowcu. Tomek i Odjemkowie wymienili spojrzenia pełne wstrętu i pogardy.

— Dosyć tych błazeństw — powiedział Tomek — zabieraj się. Idziemy.

— Dokąd? — struchlał Świątek.

— Do Zenona.

— Do Zenona... — wykrztusił Świątek. — Ani mi się śni.

Cofnął się przerażony i złapał za pompkę od roweru. Niech spróbują go brać.

— On naprawdę zbzikował — powiedział Tomek do braci Odjemków. — Przestań mi wymachiwać tą pompką przed nosem. Muchy będziesz straszyć potem, a teraz zdejmuj tę powłokę i ubierz się normalnie.

— Powiedziałem, że nigdzie nie idę.

— Nie bądź głupi — rzekł zniecierpliwiony Tomek — Zenon czeka na ciebie.

Będziesz przyjęty do sprzysiężenia.

Świątek nie rozumiał w pierwszej chwili.

— Co powiedziałeś? — wyjąkał.

— Oj, mówię przecież. Będziesz przyjęty do sprzysiężenia i zostaniesz Piratem — powtórzył znudzonym głosem Tomek.

— Żartujesz. Ja będę przyjęty?

Tomek wzruszył pogardliwie ramionami.

— Wiem, że to cię dziwi — mruknął niechętnie. — Ale w niektórych wypadkach przyjmujemy także i knotów.

— No, tylko nie knotów — rzekł urażony Świątek. — Zenon mnie przyjął... bo... przyniosłem wiadomość o napadzie Kolonistów na Ogród, dlatego mnie przyjął. Przekonał się, że mówilem prawdę... że może na mnie polegać, dlatego mnie przyjął...

— Wątpię — skrzywił się szyderczo Tomek. — Bardzo wątpię, czy z tego powodu jesteś przyjęty.

— Więc z jakiego?

— Nie wiem... zapytaj się Zenona. — Tomek gapił się na chude kończyny Świątka.

— Może Zenon chce założyć pluton komarów i dlatego... Aha, byłbym zapomniał, Zenon pyta się, czy jesteś oszczędny. Ostatnio postanowiliśmy przyjmować tylko Piratów oszczędnych.

— Jestem oszczędny... — wyjąkał zdziwiony Świątek. — Mam nawet książeczkę PKO.

— Pokaż — rzekł Tomek.

Świątek wyjął z kieszeni w spodniach książeczkę w plastikowym czerwonym futerale i wręczył Tomkowi. Na książeczce miał dwieście dwadzieścia pięć złotych, które składał na kajak.

Kwota zrobiła widać silne wrażenie na Tomku, bo przestał się uśmiechać szyderczo i powiedział:

— Dobra, idziemy...

W drzwiach zapytał jeszcze:

— Czy masz przy sobie trochę drobnych?...

— Mam — odparł Świątek. — Tatuś mówi, że zawsze trzeba mieć na wszelki wypadek...

— Masz mądrego ojca — powiedział Tomek.

\* \* \*

Przez całą drogę Świątek obserwował podejrzliwie trzech Piratów. Nie bardzo mu się to wszystko podobało. Te uśmieszki Tomka, grobowe milczenie obu Odjemków, no i to, że za bardzo interesują się jego forszą... Tak, stanowczo za bardzo. Trzeba się mieć na baczności. Tym bardziej, że go jak pod strażą prowadzą. Tomek z przodu, a obaj Odjemkowie z tyłu... Pewnie, żeby nie uciekł, tak go prowadzą. Coraz większy strach ogarniał Świątkę, wreszcie stanowczo oznajmił:

— Jeśli do domu Bosmana, to ja nie idę.

— Nie bój się, idziemy do Brylla — rzekł Tomek.

Ale Świątek odetchnął dopiero wtedy, kiedy istotnie zatrzymali się przed lodziarnią Brylla.

Tomek zajrzał do środka, po chwili wrócił i skinął na Świątkę.

— Wejdz. Zenon już czeka na ciebie w kącie pod fortepianem.

Szef Piratów siedział wygodnie rozparty na miękkiej kanapce, czytał „Sztandar Młodych” i zjadał lody z Dużej Miseczki Firmowej. Obok na stoliku stały dokładnie opróżnione trzy takie Miseczki.

Kiedy Świątek podszedł bliżej, zauważył, że Zenon ma w gazecie dwie małe dziurki, przez które obserwuje całą kawiarnię, udając, że jest zajęty czytaniem.

— Siadaj — powiedział do Świątka, nie odrywając oczu od gazety, po czym przytknął palcami na lodziarza, zupełnie tak samo, jak robią to starsi klienci.

Bryll przybiegł natychmiast z ołówkiem za uchem.

— Pan sobie życzy?

— Cztery Duże Miseczki Firmowe, a dla tego kolegi — pokazał na Świątka — Extra Miseczka z kremem.

Świątek pocił się mile polechtany tym wyróżnieniem i w ogóle hojnością Zenona, i że mu Zenon Dużą Extra Miseczkę Firmową z kremem funduje. I pomyślał, że Zenon nie jest taki zły, jak sądził. Uśmiechnął się więc do Zenona nieśmiało, ale oblicze szefa Piratów pozostało nieprzeniknione. Milczał jeszcze przez chwilę zapatrzony w gazetę, a potem zaczął z godnością oglądać sobie paznokcie.

— Pewnie jesteś zaskoczony, że cię wezwałem — rzekł, nie patrząc na Świątka.

— No... właściwie... to tak — bąknął zmieszany Świątek. — Po tym, jak mnie przyjęliście u Bosmana...

— Byłeś poddawany próbie — wycedził Zenon nie podnosząc głowy.

— Próbie?

— Tak, musieliśmy cię poddać różnym próbom... złożyłeś przecież podanie o przyjęcie.... Pamiętasz chyba.

— O, tak — bąknął Świątek, przypominając sobie pierwszą niefortunną próbę

wstąpienia do sprzysiężenia, kiedy to Piraci objedli się bezczelnie lodami na jego koszt i wystawili go do wiatru. Do końca życia będzie pamiętał.

— No, więc — chrząknął Zenon — od tamtego czasu byleś poddawany próbie.

Także i dzisiaj u Bosmana. Bardzo się na nas gniewasz, co?

— Nie... skąd — zaprzeczył Światek.

— Rozumiesz przecież... — chrząknął Zenon — że nie możemy przyjmować byle kogo...

— Rozumiem... — mruknął Światek.

— No, więc właśnie... — rzekł Zenon. — Masz ochotę jeszcze na loda? — zapytał

Światka i nie czekając zamówił u Brylla jeszcze dwie porcje — dla Światka i dla siebie. —

No, więc właśnie... — powtórzył. — Przepisy o przyjmowaniu do sprzysiężenia są surowe, musimy dbać o poziom i moralność chłopców. Ty pewnie nie wiesz nawet, co to jest moralność... Chłopiec musi być odważny, wytrwały, znosić mężnie niesprawiedliwość, musi być miły dla drugich, skromny, spokojny, szczery, dobry dla słabszych, staranny, czysty... no i w ogóle, rozumiesz chyba... Czemu tak patrzysz. Jedz lody, bo wystygną. — Zenon oczyścił sobie scyzorykiem żalobę za paznokciami.

Światek odwrócił oczy ze wstrętem... Ładna mi czystość! Stracił cały apetyt na lody.

— Czy wszyscy u was byli poddawani takim próbom? — spytał.

Zenon przerwał czyszczenie paznokci i spojrzał na Światka.

— A bo co? — zapytał ostro.

— Nic, nic — zląkł się Światek.

— Zdaje się, że coś miałeś na myśli?

— Nie... to znaczy... dziwię się...

— Czemu się dziwisz?



— Skąd się u was biorą w takim razie... no... ci różni chłopcy.

— Jacy?

— No... nieprzyjemni.

— Nieprzyjemni chłopcy? — Zenon przymrużył oczy. — Ej ty, Adenauer, czy nie za dużo sobie pozwalasz?... Kogo ty masz na myśli?

„Na przykład ciebie” — chciał powiedzieć Świątek, ale znów się zląkł i powiedział tylko:

— Mam na myśli... mam na myśli, no, na przykład Susuła.

— Och... — wzruszył ramionami Zenon — on jest po prostu niewyszkolony. A poza tym masz rację... znalazło się u nas trochę patalachów, ale to nie moja wina — powiedział.

— Oni już byli, zanim ja zostałem admirałem i zaprowadziłem nowe porządki, ale nie bój się, kiedy przyjdzie godzina próby, oni odpadną...

Zenon zrobił poważną minę i popatrzył w dal.

— Odpadną jak suche liście z drzewa, kiedy wiatr powieje... A godzina wiatru i godzina próby już jest blisko — powtórzył cicho, jakby do siebie.

Świątek patrzył na niego zdumiony. Nie przypuszczał, że Zenon potrafi mówić w ten sposób. Zupełnie jak bohaterowie w książkach... I tak przejmująco. Nie... źle chyba sądził Zenona. Zenon jest nieprzyjemny, ale to wielki wódz!

Zenon otrząsnął się tymczasem ze swojej chwilowej zadumy i powiedział:

— Ale załatwmy najpierw twoje wstąpienie do sprzysiężenia...

— Czy jeszcze coś trzeba załatwiać?

— No, pewnie — powiedział Zenon — a co ty myślałeś, że to zabawa w berka?

Długi! — zawołał na Tomka. — Siadaj tu i notuj: składka za kwartał po pięć złotych miesięcznie — piętnaście złotych... A może, Dauer, wolałbyś zapłacić od razu za rok, żeby

mieć spokój?

— Dobrze... — powiedział Świątek — może być za rok.

Zenon skinął zadowolony głową.

— Zapisz, Długi: składka za rok — sześćdziesiąt złotych. Rękawiczki białe do przysięgi...

— Za rękawiczki też trzeba płacić? — stropił się Świątek.

— Nie za rękawiczki — powiedział Zenon. — Rękawiczki mamy służbowe, należą do majątku przysiężenia, zapłacisz tylko za upranie... To dlatego, że macie brudne ręce... po jednej przysiędze rękawiczki są już nie do użytku. Ale teraz z brudnymi rękoma nie będę nikogo dopuszczał.

Świątek schował z tyłu ręce i pomyślał, że będzie je musiał wyszorować specjalnie do przysięgi.

— Więc zapisz — ciągnął Zenon. — Za rękawiczki do przysięgi — dziesięć złotych.

Kaucja, czyli zastaw za uzbrojenie — dwadzieścia pięć złotych. Co wolisz, luk czy procę?

— Wolalbym broń palną... — bąknął Świątek. — Na przykład pistolet.

— To niemożliwe. Szeregowcy nie mają pistoletów.

— Czy... czy koniecznie muszę zaczynać od szeregowca?

— A jak ty myślisz?

— Ale... ale może jest jakaś szkoła oficerska — wykrztusił zaczerwieniony Świątek

— to mógłbym zostać przynajmniej podchorążym. W szkole oficerskiej nazywają żołnierzy podchorążymi, to zawsze lepiej jakoś brzmi.

Zenon chrząknął zaskoczony.

— O... owszem — rzekł nie patrząc na Świątkę — mamy szkołę oficerską, ale... ale tam są opłaty.

Tomek wytrzeszczył oczy i spojrział ze zdumieniem na Zenona. Pierwszy raz słyszał o szkole oficerskiej. Tymczasem Zenon tłumaczył dalej:

— Tam są opłaty... — powtórzył pewniejszym już głosem. — Kto zostaje podchorążym, musi płacić za specjalne ćwiczenia oficerskie... nie wiem, czy cię stać na zapłacenie dziesięciu złotych i dwudziestu groszy.

— Zapłacę... — zasapał Światek — mogę zapłacić dziesięć złotych.

— Zapisz, Długi — powiedział Zenon. — Poza tym fundusz dożywiania specjalnego

— sześć złotych co drugi dzień, czyli — dziewięćdziesiąt złotych miesięcznie.

— Dożywiania! — jęknął Światek. To mu się już zupełnie nie podobało.

— Jesteś anemiczny — powiedział Zenon. — Wszyscy anemiczni Piraci dostają u nas do jedzenia tatar z jajkiem.

— Na surowo?...

— A co myślisz?

— Nie... ja nie mogę — powiedział Światek — ja się brzydzę...

— Nic na to nie poradzimy — powiedział Zenon — musisz się przezwyciężyć...

Oprócz tego będziesz pił mleko, ale mleko nic nie kosztuje, bo krowy mamy na pokładzie.

— Mleko... to już za dużo! Ja nie znoszę mleka! — krzyknął z przerażeniem

Światek.

— Wszyscy Piraci muszą pić mleko... — rzekł Zenon. — A co do tataru, to możesz być zwolniony od niego po miesiącu, o ile nabierzesz ciała i mięśni.

— No pewno nabiorę ciała... już jutro nabiorę ciała — zapewniał Światek.

— To pokaże waga — rzekł Zenon. — W każdym razie uprzedzam cię, że póki nie osiągniesz wagi czterdziestu kilo, nie ma mowy, żebyś został promowany na oficera.

Rozumiesz?

— Tak jest.

— Długi, podlicz teraz, ile wypadło razem.

— Sto dziewięćdziesiąt pięć złotych i dwadzieścia groszy — odparł Tomek.

Świątek westchnął i pomyślał, że być Piratem to jednak kosztowna rzecz. Ale trudno, zapłaci, podejmie z książeczki PKO i zapłaci. Najważniejsze, że będzie przyjęty. Że nie będzie już pętał się sam ani zazdrościł dziewczynkom. Nie będzie musiał być niczym szpiegiem, znosić przezwiska i upokorzenia. To wszystko się skończy, kiedy będzie normalnym, zwyczajnym Piratem.

— Najlepiej byłoby, żebyś to uiścił od razu — rzekł Zenon.

— Dobrze... tylko że nie mam tyle przy sobie — powiedział Świątek — muszę podjąć z książeczki PKO.

— No, to chodźmy. — Zenon wstał z miejsca. — Szefie, ile płacimy? Było dwie Małe i osiem Dużych Miseczek Firmowych. Plus jedna Miseczka Extra z kremem.

Bryll podszedł uśmiechnięty z ołówkiem za uchem i skłonił się grzecznie.

— Czterdzieści jeden złotych — oświadczył po obliczeniu.

— Czterdzieści jeden złotych... — powtórzył Zenon. — Zdaje się, że chciałeś zapłacić

— zwrócił się do Świątka.

— Ja?

— Tak mi się zdawało — rzekł Zenon. — Czy wam też się tak nie zdawało? —

obrótł się do pozostałych Piratów.

— Nam się też zdawało — rzekł Tomek.

— I nam — rzekli obaj Odjemkowie. I wszyscy utkwili ciężki wzrok w Dauerze.

Świątek westchnął i wyciągnął portfel. Nadzwyczajna hojność Zenona, a także jego apetyt stały się nagle zupełnie zrozumiałe dla Świątka, ale niech tam. Niech się napchają

**tymi lodami, łobuzy...**

**Ostatni raz pozwoli się naciągnąć. Ale niech tylko zostanie Piratem..**

**Pobiegli na pocztę.**

**— Idź, załatw sam — powiedział Zenon, popychając Światka do drzwi poczty — my tu zaczekamy.**

**Świątek wypełnił druczek na sto dziewięćdziesiąt pięć złotych i z ciężkim sercem wręczył siwej pani z okienka. Zdawało mu się, że wszyscy ludzie w ogonku patrzą na niego z potępieniem.**

**— Ho, ho, na cóż ci tyle pieniędzy? — mruknęła urzędniczka, patrząc na Światka badawczo.**

**Świątek zaczerwienił się i milczał. Nie mógł przecież powiedzieć, że chce zostać Piratem.**

**— Zdaje się, że oszczędzałeś na kajak — pokręciła głową siwa urzędniczka. Musiała zapamiętać Światka, jak co tydzień przynosił po pięć złotych oszczędzonych z „kieszonkowego”, i dlatego tak pokręciła głową.**

**Świątek zmieszał się jeszcze bardziej. Dorośli nie rozumieją, że są rzeczy, dla których trzeba poświęcić i kajak.**

**Na szczęście urzędniczka nie pytała go o nic więcej, lecz zapisała wypłatę i położyła książeczkę z pieniędzmi na okienku.**

**Świątek porwał pieniądze i jak zmyty dał nogę z poczty. Na ulicy z bijącym sercem wręczył pieniądze Zenonowi. Zenon porwał je z łapczywością, która z pewnością nie uchodziła admirałowi, lecz wszyscy wielcy wodzowie, którym brak gotówki podcinał orle skrzydła, z pewnością zrozumieliby Zenona.**

**— Ale... ale napiszesz mi pokwitowanie — powiedział Świątek.**

— Się rozumie — odparł podniecony Zenon. — Długi, napisz, co trzeba.

Tomek wyrwał pięć kartek z notesu, sprawnie sporządził rachunki i wręczył je Zenonowi. Zenon złożył na nich specjalny, bardzo zawikłany, niemożliwy do podrobienia podpis. Po czym wydobył z kieszeni pieczętkę, chuchnął na nią i odcisnął na pokwitowaniach znak trupiej czaszki i piszczeli. Świątek obserwował z zapartym oddechem tę czynność, a potem pospiesznie schował dokumenty do kieszeni. No, teraz już jest naprawdę Piratem i nikt temu nie zaprzeczy.

Do chłopców dopadł zadyszany Marian. Jego rybie oczy były jeszcze bardziej wypukłe niż zwykle.

— Zenon... szybko... Bosman zaraz będzie gotów.

— Dobra. Już lecę! — wykrzyknął Zenon.

— No tak, ale w kasie nie mamy ani grosza.

— Nie jest tak źle — powiedział Zenon.

— Zdobyłeś jakąś forszę?

— Tak jakby...

— Od kogo?

— Od Adenauera.

— Nabrałeś fafla?

— Nabrałem? Co też ty! Czy ja kogo nabrałem w życiu?! — Zenon oburzył się. — Ja go wcale nie nabrałem. Ja go przyjąłem.

— Przyjąłeś go? — wytrzeszczył oczy Marian.

— Tak, a bo co?

— No wiesz... — zaśmiał się Marian — taki szczeniak... — Patrzył rozbawiony na szczuple ramionka, pająkowate odnóża i odstające uszy Świątka. — Ładny mi Pirat!

— On tylko ma taki wygląd — powiedział Zenon.

— Ale to przecież Adenauer... — śmiał się Marian.

Świątek poczerwieniał i zasapał wojowniczo. Rzucił się w stronę Mariana, ale Zenon powstrzymał go i zapytał spokojnie:

— To co, że Adenauer?

— No, to... no, to śmieszne... — przestał się śmiać Marian.

— Co jest śmieszne?

— Że ty... ty właśnie... Adenauera...

— Ty mnie jeszcze nie znasz — powiedział Zenon — wy mnie w ogóle nie znacie, ja mam czule serce.

Marian wzruszył ramionami.

— Nie wygłupiaj się, sam mówiłeś, że Piraci nie mają serca, tylko twardą skorupę.

Zenon chrząknął.

— Istotnie. Piraci mają w piersi twardą skorupę, ale pod taką skorupą mają serce.

Ty to odczuleś, Dauer. No, nie? — zapytał Świątko. A potem położył mu rękę na ramieniu i objął przyjacielsko.

Świątek spojrział na niego oszłomiony. Zupełnie już nie wiedział, co myśleć o

Zenonie. To okropnie skomplikowana sprawa. Czy mówi poważnie, czy robi sobie żarty? I jaki jest naprawdę? Tymczasem Zenon przyglądał mu się uważnie, gryząc paznokcie.

— Słuchaj no ty — powiedział nagle — ty masz strasznie głupie imię. Świątek! Co to jest właściwie?

— To od Światopelka.

— Do diabła z takim imieniem. To nie pirackie imię. Będziesz się nazywał... będziesz się nazywał... już wiem: Krótki Joe. A teraz pędzimy na stację.

— Dlaczego na stację? — zdziwił się Świątek.

— Zobaczyć rozkład jazdy.

— Po co?

— Nie bądź taki ciekawy — rzekł ostro Marian. — Niech ci wystarczy, że zostałeś przyjęty, a teraz najlepiej będzie, jak spłyniesz.

Świątek przygryzł wargi.

— No, słyszałeś, co mówię!

— Zostaw go... — powiedział Zenon. — Jak chce, niech idzie z nami.

— Zwariowałeś, chcesz go wtajemniczyć? Przecież to mikrus. Może wszystko wypaplać i co wtedy.

— Nic nie wypaple, prawda, Krótki?

— Pewnie, że nic nie wypaplam — zasapał urażony Świątek. — Mnie możecie wszystko powiedzieć... A jeśli chodzi o rozkład jazdy... to ja znam wszystkie pociągi. O który pociąg chodzi?

— Chodzi o pociąg do Gdyni.

— Do Gdyni? — powtórzył zdziwiony Świątek. — Wy też chcecie jechać do Gdyni?

— Nie my, tylko Bosman, ale nie mów nikomu — mruknął Zenon.

— Bosman wyjeżdża? — wykrztusił Świątek.

— Tak... nie może dłużej wytrzymać w Nieklaju. Rozumiesz, co to dla niego za życie.

Każdego marynarza ciągnie do morza, nie?

Świątek patrzył na nich ze zdziwieniem.

— Jak to... i wy go puszczacie?

Chłopcy spojrzeli po sobie zakłopotani.

— Nie puścilibyśmy go nigdy, ale... widzisz... on z nami się umówił, że jak mu



pomożemy uciec do Gdyni, to on nam powie, gdzie są schowane skrzynie Szwajsa.

— Skrzynie Szwajsa! — wykrzyknął Świątek.

— Tak — mruknął Zenon. — Więc widzisz sam, jak to jest... Ja wiem, że to ciężkie warunki — westchnął — ale inaczej nie dałoby się nic od niego wydobyć, rozumiesz chyba...

— Rozumiem, ale przecież on jest chory.

— To nic... on mówi, że tam wyzdrowieje, a tutaj to się z samych nudów wykończy...

Tam ma znajomych kolegów. Ale ja myślę, że najbardziej przestraszył się Otrębusa.

Otrębus nie dość, że mu dopiekł dietą i zastrzykami, to teraz chce go na dobitkę zabrać na obserwację do szpitala. Więc Bosman postanowił dać nogę.

— Czy już wyznał wszystko o tych skrzyniach? — pytał przejęty Świątek.

— Jeszcze nie, umówiliśmy się z nim, że powie nam na stacji...

— To macie czas — rzekł Świątek. — Pociąg odchodzi o dwudziestą pierwszą czterdzieści siedem...

— Skąd wiesz?

— Bo... bo ja sam chciałem nim wyjechać.

— Ty?

— A co myśleliście. Och, ja rozumiem Bosmana, ja też nie cierpiałem Nieklaja... Jak ja go nie cierpiałem... Mnie tu było jeszcze gorzej niż Bosmanowi, bo Bosman miał przynajmniej was, a ja... — Świątek zacisnął wargi.

Chłopcy spojrzeli po sobie zdziwieni. Nie mogli uwierzyć, że ktoś mógł nie cierpieć takiego wspaniałego miejsca na ziemi jak Nieklaj.

— On naprawdę chciał wyjechać... — mruknął Tomek. — Pakował się, jak przyszliśmy do niego.

Chłopcy spuścili głowy.

— Nie bój się, Ade... — zaczął Zenon, ale ugryzł się w język. — Nie bój się, Krótki — poprawił się szybko i uściśnął Świątkowi rękę. — Tu jest zupełnie morowo. Ja ci mówię. Zobaczysz zresztą sam. Teraz już będziesz z nami...

— Grunt to forsa — zadrwił cicho Długi Tomek, kiedy ruszyli w kierunku domu Bosmana. — Przyjąłbyś nawet przedszkolaka, jakby zapłacił.

— Zaniknij paszczę — syknął przez zęby Zenon. — Ja wcale nie dlatego... — dodał cicho — zupełnie nie dlatego... to... to tylko tak się złożyło... ale ja zupełnie nie dlatego. Długi Tomek skrzywił się. Trudno mu było jakoś uwierzyć w bezinteresowność Zenona.

## Rozdział X

Kiedy Zenon z kolegami i z nowo przyjętym Piratem, Świątkiem Dauerem, czyli Krótkim Joe, przybył do domu pani Biegańskiej, zastał już gorączkowe przygotowania do podróży.

Piraci prasowali Bosmanowi spodnie, zamaszyście czyścili eleganckie półbuty, które, jak twierdził marynarz, pochodziły z Buenos Aires i zostały przez niego wygrane w pokera od byłego prezydenta Argentyny, Perona, w jednej ze spelunek Panamy, gdzie dyktator koczował po ucieczce z kraju, jeszcze inni pakowali Bosmanowi bieliznę do walizy oraz krajali salceson i przygotowywali mu kanapki na drogę.

Wśród bielizny zwracały uwagę niesamowite koszule, jedne w najróżniejsze malowidła, inne w tradycyjne marynarskie poprzeczne pasy, niebieskie i czerwone. Świątek patrzył na te koszule jak urzeczony. Od razu przypomniały mu opowiadania o wilkach morskich i piratach. A w ogóle sam Bosman... Świątek rozumiał Tubylców. Wystarczyło być przy Bosmanie, a od razu ogarniał człowieka powiew wielkiej przygody.

Świątek po raz pierwszy widział go z tak bliska. Bosman, uwolniony przez Piratów

od pakowania i przygotowań do podróży, poddawał się cierpliwie zabiegowi golenia. Sapiąc ciężko, siedział w koszulce gimnastycznej na krześle, rozstawiwszy szeroko potężne odnóża, z białą namydloną twarzą, a Tadzik Myszka jedną ręką trzymał go za nos, tak jak robią fryzjerzy, a drugą golił zamaszyście jego bujny, rdzawy zarost.

W pierwszej chwili zaskoczyła Światka ta sprawność Myszki, ale zaraz przypomniał sobie, że ojciec Myszki jest przecież fryzjerem i że Tadzik często w sobotę pomaga ojcu w zakładzie golić robotników.

— No, to byłoby gotowe — powiedział wreszcie Myszka, ściągnął Bosmanowi ręcznik z szyi, otarł mu twarz, odskoczył na dwa kroki w tył, przyjrzał się krytycznie swemu dziełu i pokręcił z niezadowoleniem głową. — Ech, z zarostem było panu lepiej do twarzy — westchnął, podsuwając marynarzowi lusterko.

Ale Bosman odsunął je zniecierpliwiony i wstał ciężko z krzesła. Nogi uginały się pod nim, musiał się oprzeć o stół.

— No, chłopaki — zasapał — zabieramy się...

Świątek patrzył na chwiejące się nogi Bosmana.

— Pan jest przecież chory — powiedział — pan nie powinien wstawać.

Bosman zmarszczył brwi i spojrzał gniewnie na Światka.

— Co to za bęben? — zapytał.

Chłopcy milczeli.

— Co to za bęben? — powtórzył Bosman. — Skąd wytrzasnęliście tego wyplosza?

— To jest nowy Pirat — powiedział Zenon. — On bardzo pana lubi i dlatego boi się o pana zdrowie.

Bosman zaśmiał się chrapliwie, wyciągnął do Światka wytatuowaną rękę i poklepał go po plecach.

— Nie jestem taki chory, jak ci się zdaje, smyku. Nogi mam wprawdzie jak z waty, ale to dlatego, że za długo leżałem. Jak się za długo leży, to nogi wiotczeją, proszę was... wiotczeją i stają się ciężkie jak ołów... To wszystko przez tego Otrębusa. Ten konował strumnie jakimiś proszkami... On mnie chce wykończyć, proszę was. Nigdy w życiu nie dawałem się macać konowałam i czułem się doskonale... Teraz też jeszcze się wykaraskam. Niech tylko poczuję wiatr morski... Zaraz się rozruszam... — Skrzywił się nagle boleśnie i złapał za bok. — Prędeej... na litość boską! Bierzcie walizkę, chłopcy.

— Mamy jeszcze czas — rzekł pobladły Zenon — pan się źle czuje, niech pan odsapnie. Pociąg odchodzi dopiero o dwudziestą pierwszą czterdzieści siedem.

— Nie... nie... — zaprotestował Bosman — musimy wyruszyć natychmiast. Mówiłem już, że Otrębus chce mnie wziąć do szpitala na obserwację. Wydaje mu się dziwne, że tyję. Cha! Cha! — zaśmiał się. — Zabiliśmy ćwieka temu przemądrzałemu lapiduchowi... w głowę się stuka, skąd ja tyję...

— Myśli pan, że to już dzisiaj? — zaniepokoił się Zenon.

— Boję się, że nie będą zwlekać. Wiecie, że krzyczałem w nocy po baleronie. Poza tym wdowa usłyszała wczoraj, jak rozmawiałem z tobą, i jest przekonana, że mówię do siebie w gorączce. Cha! Cha! — Bosman zaśmiał się znowu serdecznie. — A w ogóle jest przekonana, że tu się dzieją czary... Nie przyszło jej do głowy, że to wy możecie karmić jej inwentarz, sprzętać podwórko i doić krowę. Na pewno przyjadą tu z karetką pogotowia i z sanitariuszami. Otrębus się boi, że będę stawiał opór. I ma rację. On wie dobrze, że nie dałbym mu się żywcem uwięzić w szpitalu. Nigdy w życiu nie leżałem w szpitalu i nie będę.

— Czasami trzeba — odparł Świątek. — Ja miałem wycinaną ślepą kizkę i jakbym nie miał wyciętej, to bym już pewnie nie żył.

Bosman znów spojrział na niego groźnie, ale zamiast mu odpowiedzieć, krzyknął

tylko na chłopców:

— No, szybko, wychodzimy! — ruszył gwałtownie do drzwi, ale o mało co nie upadł.

Zachwiał się i musiał podeprzeć o ścianę.

— Weźmiemy taksówkę — rzekł Zenon. — Tomek, biegaj!

— Tylko nie to... tylko nie to, chłopaki — zatrzymał ich gwałtownie Bosman.

— Jak to — zamrugał oczyma Tomek — więc czym pan pojedzie?

— W każdym razie nie taksówką — zasapał Bosman. — W tej dziurze jest tylko trzech taksówkarzy i każdy z nich zna mnie doskonale. Póki miałem forszę, bardzo chętnie wozili mnie po mieście.

— Boi się pan, że doktor Otrębus mógł ich uprzedzić, żeby uważali na pana?

Bosman, chociaż skrzywiony z bólu, znów się roześmiał szeroko.

— Ach, nie... cóż ich może obchodzić Otrębus. Ci poczciwcy wywieźliby mnie stąd na koniec świata, gdybym im zapłacił za kurs...

— Więc dlaczego?

— Boję się, że spotkanie z nimi mogłoby się dla nas skończyć poważną awarią cielesną. Jak wam powiedziałem, jestem człowiekiem ruchliwym i kiedy choroba uwiązała mnie do łóżka, zbyt często korzystałem z usług tych zmotoryzowanych poczciwców, niestety, także na kredyt, którego wdowa nie chciała uwzględnić w naszych rozrachunkach.

Nie wszyscy chłopcy od razu zrozumieli, o co chodzi, ale Zenon połapał się natychmiast i zapytał rzeczowo:

— Ile jest im pan winien?

— Chyba z pół patyka, mój chłopcze.

— Pięćset złotych?

— Coś koło tego. Spłacę ich powoli z renty. Zawsze spłacałem moje długi, chłopcze.

**Na razie jednak rozumiesz, że nie ma sensu włączyć im na oczy.**

**— Rozumiem, proszę pana — rzekł Zenon — ja też mieszkam kłopoty finansowe.**

**Prowadzenie Związku Piratów to kosztowna historia.**

**— Wierzę ci — rzekł Bosman.**

**— A swoją drogą — Zenon spojrział na niego bystro i zawahał się — dawno chciałem pana zapytać o jedno... wciąż mi to nie daje spokoju...**

**— Co? — zmarszczył brwi Bosman.**

**— Dlaczego pan sam nie wydobyl tych skrzyń Szwajsa.**

**Bosman zmieszal się.**

**— A co mi po nich — odparł po chwili.**

**— Jak to, co? Przecież pan nie ma pieniędzy — zdziwił się Zenon. — Tyle ludzi wciąż szuka tego skarbu na chybił trafił, grzebią w Ogrodzie, a pan... pan, który zna miejsce, pan, który mógłby odnaleźć skrzynie Szwajsa, pan od nich ucieka.**

**Bosman uśmiechnął się jakoś cierpko.**

**— Myślisz, że każdemu zależy na skarbach i pieniądzech?**

**— Panu nie zależy?**

**— Nie — odparł ponuro Bosman.**

**— Dziwny z pana człowiek — mruknął Zenon. — Czy naprawdę nigdy pana nie koczyło dobrać się do tych skrzyń?**

**Bosman pokręcił głową zamyślony.**

**— I nigdy od tamtej pory nie zajrzał pan do Ogrodu?**

**— Nigdy.**

**— To... to może tych skrzyń w ogóle nie ma? — zapytał z nagłym niepokojem**

**Tadzik.**

— Nie, one są. Mówilem wam, że widziałem na własne oczy, jak je Niemcy chowali.

— Więc dlaczego?

Bosman zdenerwował się.

— One nie są mi potrzebne do szczęścia. Co mi po nich — dodał ostro.

Chłopcy przyglądali mu się z niedowierzaniem.

— Jak to „co”? — zasapał podniecony Odjemek Mniejszy. — Mógłby sobie pan kupić motorower simson.

— I telewizor aladyn — dodał Odjemek Większy.

— Głupcy — wzruszył ramionami Zenon — czy wy zdajecie sobie sprawę, co to są skrzynie Szwajsa? Za to, co jest w tych skrzyniach, można by kupić wszystko.

— Nawet SHL-kę — rzekł Tomek. — No, nie, Zenon?

— Nawet.

— Nawet junaka.

— Nawet. I syrenę, i warszawę.

— I mógłby pan sobie kupić aparat pletwonurka — zauważył Tadzik gryząc pestkę dyni.

— I aparat do kręcenia zdjęć filmowych — dodał Tomek.

— I cały dom z fortepianem i meblami, i jeszcze by zostało — rzekł Zenon.

— I mógłby pan zwiedzić cały świat, od deski do deski. I polować w Afryce na nosorożce — zapalił się Marian.

Bosman zaśmiał się.

— Eee, co mi tam. Dom mi niepotrzebny, bo w domu siedzieć nie lubię. Zwierzaki wolę oglądać żywe i karmić z ręki, zamiast do nich strzelać. Świat zwiedziłem bez pieniędzy, a zamiast jeździć samochodem, wolę pływać.

— To mógłby pan sobie kupić okręt i zostać kapitanem — zauważył rozsądnie

Świątek.

— To prawda, mógłbym kupić okręt — zgodził się zaskoczony Bosman.

— I sprzęt pletwonurka — przypomniał Tadzik, wypluwając pestkę.

— Co to, to nie — otrząśł się Bosman — marynarze i rybacy przeważnie nie lubią się moczyć.

— Ale statek... prawdziwy statek — podchwycił Zenon.

— Nie... kapitan ma za dużo kłopotów. Wolę być bosmanem.

— Woli pan być bosmanem? — zdziwili się chłopcy.

— Tak... poza tym kapitanowi nie wolno robić różnych rzeczy, które może robić bosman.

— Jakich?

— No — Bosman chrząknął zmieszany — no... na przykład śpiewać na całe gardło na pokładzie. Kapitan musi dbać o powagę. To wielki człowiek. Widziałem tylko jednego kapitana, który śpiewał, ale on miał bardzo ładny głos. Żeby kapitan mógł śpiewać, musi mieć bardzo ładny głos — dodał z przekonaniem — nie może być śmieszny. Tak samo, jak nie może chodzić po porcie w koszuli, i w ogóle... gdybym został kapitanem, straciłbym wszystkich starych kumpli. Nie, nie chcę być kapitanem. I nie chcę mieć własnego okrętu. Nawet okrętu — mruknął ponuro. — Za bogactwo się płaci. Za dużo się płaci. Żadne skarby nie są tego warte. Wy jeszcze nie wiecie, jak się płaci za bogactwo... Przeklęte złoto... Ech, mówię wam, pluńcie na te skarby. Zobaczycie jeszcze, co z wami zrobią pieniądze.

— Nic nam się nie stanie — mruknął Zenon. — My zresztą nie dla siebie chcemy zdobyć te skarby. My mamy, proszę pana, ogólne cele.

Bosman zaśmiał się szyderczo.



— Tak teraz mówicie... ale, gdy tylko poczujecie w rękach pieniądze, inaczej  
zaczniecie śpiewać.

— Tak czy owak — chrząknął Zenon — pan się zgodził... pan zawarł z nami umowę.  
Pan się chyba nie wykręci?...

Bosman zaśmiał się wzgardliwie.

— Nie bójcie się... dałem wam marynarskie słowo. Możecie sobie odszukać te  
skrzynie. Ja tylko tak... po przyjacielsku chciałem was ostrzec i powiedzieć, że  
prawdziwemu żeglarzowi przeszkadzają skarby. Ale wy nie jesteście przecież żeglarzami.  
Od razu wiedziałem, że was nie powstrzymam... więc wam powiem, powiem wam... ale  
przypomnicie sobie jeszcze moje słowa...

— To... to może pan by nam teraz od razu powiedział — zaproponował niecierpliwie  
Tomek.

— Tak wam się spieszy?

— No... na taką wiadomość trudno czekać cierpliwie, proszę pana.

— Nie, nie powiem wam teraz. Dopiero na stacji. Tak jak się umówiliśmy.

— Co panu szkodzi?

— Nie chcę was brać na sumienie... Teraz już jest wieczór. A wy... wy, jak was znam,  
pobieglibyście tam zaraz, a to duża wyprawa. Zeszłaby wam cała noc. A wasi rodzice? Czy  
pomyśleliście o waszych rodzicach?... Widzicie. Już was zaczyna zaślepiać to złoto... Gotowi  
jesteście przyprawić ich o zmartwienie i śmiertelny niepokój. Już zapomnieliście o nich.

Chłopcy spuścili głowy zmieszani.

— Nie, najpierw musicie mi przyrzec, że pójdziecie tam dopiero jutro, w biały dzień,  
i że nikomu nie powiecie, kto wam zdradził tajemnicę. Nie chcę być w to wmieszany. Nie  
chcę mieć z tym nic wspólnego, rozumiecie?

— Rozumiemy.

— Więc jak rozumiecie, to przyrzeknijcie.

— Przyrzekamy, ale niech pan nam powie — napraszali się natrętnie, ale Bosman był nieugięty.

— Nie mamy czasu, wdowa i Otrębus mogą nas nakryć w każdej chwili. Smarujemy na stację.

— Ale jak? — Zenon spojrział z zakłopotaniem na potężną figurę Bosmana. — Skoro pan nie chce taksówki... Będziemy chyba musieli pana zanieść.

— Czekajcie, mam pomysł — powiedział nagle Tadzik. — Zawieziemy Bosmana na wózku Gabrysia.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Gabryś był dość znaną osobą w Nieklaju. Od wielu lat trudnił się skupem, „odpadków użytkowych”, „surowców wtórnych” i wszelkiej innej starzyzny. Codziennie objeżdżał ulice Nieklaja swoim dwukołowym wózkiem, krzycząc: „Butelki, złom wszelki, spodnie, marynarki, jak leci, bez przymiarki kupuję. Tudzież szmaty i makulaturę, aby podnieść w Nieklaju kulturę!” Ale czy taka osobistość, jak Gabryś, pożyczy im wózek?

— Spokojna głowa — uciszył ich Tadzik. — Mnie Gabryś na pewno pożyczy. Już nieraz mi pożyczał. Wozilem w tym wózku ziemniaki dla mamy, a raz nawet węgiel.

— Bujasz...

— Słowo daję. Gabryś mieszka na naszej ulicy... więc mu czasem pomagam, bo on choruje na reumatyzm i przed każdą zmianą pogody łamie go w kościach, więc wtedy ja mu pomagam wypychać wózek z naszej ulicy, bo na naszej ulicy są okropne doły i jak Gabrysia łamie w kościach, to nie może sam poradzić sobie z wózkiem. I dlatego, ile razy potrzebuję, on mi pożycza tego wózka...

— No, to jazda — zawołał Zenon — dawaj ten wózek!

— Dajcie spokój — zaniepokoił się Bosman — co też wam wpadło do głowy. Ja mam jechać w wózku Gabrysia przez miasto?

— Nie przez miasto — powiedział Zenon — pojedziemy przez ulicę Zapłotkową. To trochę dalej, ale za to nikt nie będzie wydziwiał. To spokojna uliczka. Pan wie, tam mieszkają sami emeryci.

— Nie... nie, bez żartów, chłopaki, jak ja będę wyglądał na takim wózku. Przecież to śmieszne.

— Niech się pan nie boi. Nic pana nie będzie widać. Wymościmy dno sianem i słomą, a z wierzchu przykryjemy pana peleryną. Pojedzie pan na leżąco.

— Peleryna nie zakryje całego ciała — wtrącił Tadzik. — Mam lepszy pomysł. Okryjemy pana gazetami... A jak się ktoś będzie pytał, ułożymy baśń.

— Tak, jakąś baśń trzeba by ułożyć. Na wszelki wypadek — przytaknął Zenon.

— Powiemy, że wieziemy makulaturę — wtrącił Tomek.

— Nie, lepiej, że złom. To robi lepsze wrażenie. Wstawimy stare wiadro, jakieś popękane rury — zaproponował Zenon. — Nikt wtedy nie będzie podejrzewać. Będą myśleli, że wieziemy złom.

— Mam jechać jako złom? — zdrygnął się Bosman. — Nie... to byłaby zła wróżba, wyjechać z Nieklāja w charakterze złomu. Tego jeszcze brakowało...

Zenon westchnął ciężko. Bosman jak większość marynarzy miał swoje różne przesady.

— Przecież nikt nie mówi, że pan pojedzie jako złom. Chodzi tylko o to, żeby tak wyglądało — usiłował tłumaczyć.

— Nie... nie... to okropny pomysł, brr! — protestował Bosman. — Jak wy mogliście

**wpaść na taki pomysł!**

**Zenon przygryzł wargi.**

**— W takim razie pojedzie pan taksówką.**

**— Nie, tylko nie taksówką — przestraszył się Bosman — już wolę jechać jako surowiec wtórny. Mówcie, że wieziecie surowiec wtórny, byle tylko nie złom.**

**— No, dobra — Zenon otarł czoło, spocił się z tej dyskusji. — Biegnij, Tadzik, po wózek.**

## **Rozdział XI**

**Wybór ulicy Zapłotkowej na trasę przejazdu Bosmana wydawał się ze wszystkich miar słuszny. Co jak co, ale ulica Zapłotkowa powinna gwarantować bezpieczeństwo przejazdu. Nie dlatego, iż jest to ulica mało ważna. Oburzyliby się na taką opinię zapłotczanie i należy się z nimi zgodzić. Ulica Zapłotkowa jest ważna. Każdy mieszkaniec Niekłaja musi chociaż raz przejechać tą ulicą. Prowadzi ona bowiem na miejsce wiecznego spoczynku, czyli na cmentarz.**

**Ale i to prawda, że jest to ulica ostatnia, zabudowana jedynie małymi domkami w małych ogródkach. Biegnie samym krańcem Niekłaja, z daleka od gwaru i ruchu. Zamieszkują tu emeryci, ludzie biedni i pozbawieni rozrywek, a ciszę panującą tu wszechwładnie zakłócają jedynie pogrzeby. Przeciągają one zazwyczaj z orkiestrą fabryczną, gdyż Niekłajanie są ludźmi szerokiego gestu i nie szczędzą swoim zmarłym uciechy. Jest to zarazem jedyna rozrywka dla mieszkańców ulicy Zapłotkowej. Ale ludzie w Niekłaju umierają rzadko, przeważnie raz na dwa tygodnie, i pogrzeby odbywają się tylko w niedzielę.**

**Na co dzień pozostaje więc tylko emerytom żalosne beczenie miejscowych, wiecznie głodnych kóz, które wałęsają się po ulicy i wyskubują spod płotów i spomiędzy kamieni**

brukowych resztki wątych traw, a niekiedy w rozpacz zabierają się do obgryzania słupów telegraficznych.

Taka jest ulica Zapłotkowa i dlatego pojawienie się na niej czeready zziających chłopców, pchających z poświęceniem wózek Gabryśia, wzbudziło sensację.

Przeraźliwy turkot wywabił z domków emerytów. Stawali na progach, podchodzili do płotków i z ciekawością obserwowali niecodzienne zjawisko.

Zenon spoglądał na nich zaskoczony. Tego nie przewidział. Z niepokojem popędził kolegów.

— Prędeż, bo mogą być komplikacje. Ci panowie za bardzo nam się przyglądają.

Chłopcy przyspieszyli biegu. Lecz pośpiech ten miał fatalne następstwa. W zdenerwowaniu nie zauważyli zdradzieckiej dziury w bruku i jedno z kół wózka wpadło do niej. Wózek zatrzymał się gwałtownie, a spod gazet rozległ się jęk nieszczęsnego Bosmana.

Wilk morski próbował się podnieść, ale Zenon siłą ułożył go z powrotem.

— Co pan wyrabia? Nakryją nas. Niech pan się nie rusza! — krzyknął zrozpaczony.

— Dalej, chłopaki, cóż to, sił wam zabrakło? Naprzód!

Chłopcy natężyli siły, ale wózek ani drgnął.

— Do tyłu — komenderował Zenon — najpierw do tyłu, a potem całą parą naprzód.

Ale i ten manewr nie dał rezultatów. Na domiar złego do akcji włączyły się kozy.

Zapach siana i słomy, którą wymoszczony był wózek, zwabił wygłodzone zwierzęta. Z radosnym bekiem obskoczyły wózek i zachłannie poczęły wyskubywać siano i słomę spod Bosmana, który opędział się bezskutecznie. Bardziej zachłanne nie gardziły i gazetami i pałaszowały całe arkusze. Żarłoczność ich była tak wielka, iż chłopcy obawiali się, że gotowe są spożyć nawet Bosmana z kośćcami.

Nie było innej rady, musieli przerwać pchanie wózka i zabrać się do odpędzania

zwierząt. Niestety, ani krzyki, ani straszenie, ani wymachiwanie rękami i poszturchiwania nie zdały się na nic. Kozy pożerały wszystko, aż im się brody trzęsły. Na domiar złego zwabione radosnym beczeniem kóz przywlokły się skądś dwie, przeraźliwie chude, emeryckie krowy i zatarasowały zupełnie drogę.

— Panowie — krzyczał zrozpaczony Zenon — weźcie się jakoś z życiem za te kozy!

— Co robić, kiedy nie chcą odejść i niczego się nie boją — jęczeli Piraci.

— Za rogi je... za ogony... przecież nas zjedzą z kretesem! — krzyczał zachryply

Zenon, ciągnąc za rogi jakiegoś kozła. — Niech pan się nie podnosi — błagał Bosmana,

który z przerażeniem wystawił głowę spod gazet — niech pan to jakoś zniesie.

Tymczasem na ulicy powstało zamieszanie i harmider nie do opisania. Spoceni,

zadyszani Piraci mocowali się na śmierć i życie z kozami. Jedni ciągnęli je z ogony, inni za

brody, odważniejsi chwyтали za rogi. Kozy beczwały przeraźliwie, zapierały się kopytami o

bruk, bodły, podnosząc rozpaczliwy protest przeciwko odrywaniu ich od wspaniałego jada,

które los zesłał im na ulicę Zapłotkową. Piraci nie dawali za wygraną i ciągnęli je co sił w

rękach, ale ledwie odciągnęli jedną i zabierali się do drugiej, natrętne stworzenie wracało i

jak gdyby nigdy nic znów dobierało się do słomy. W zamieszaniu zdarzały się też przykre i

dezorganizujące akcję pomyłki i niedopatrzienia. Na przykład tę samą kozę jeden ciągnął za

ogon, drugi za brodę — oczywiście w przeciwne strony. Nieszczęsne zwierzę skarżyło się

żałosnym bekiem i chyba miało rację. Tak było z Tadzikiem i Tomkiem. A Odjemkom

przydarzyło się jeszcze gorzej. W zamieszaniu, jakie powstało, oślepiiony pyłem, jaki unosił

się z siana, Odjemek Większy chwycił za czuprynę Odjemka Mniejszego i był przekonany,

że ciągnie kozę. W rezultacie obaj bracia poturbowali się dotkliwie, co im się zdarzyło

pierwszy raz w życiu.

Wreszcie wszyscy potracili głowy. Nie wiadomo już było, kto kogo ciągnie. W

potwornej kotłowaninie migaly tylko przemieszane z sobą kozie brody i czupryny chłopaków, rogi i kolana, ogony i ręce, kopyta i nogi.

Emeryci obserwowali oszołomieni zza płotów to niecodzienne zjawisko. Wreszcie oprzytomnieli. Najodważniejszy z nich, mały emeryt z brodą, wybiegł z ogródka i grożąc laską, krzyknął na chłopaków:

— Przestańcie, jak wam nie wstyd męczyć bezbronne zwierzęta!

— Tak, bezbronne — jęknął ze łzami w oczach Zenon trzymając się za siedzenie dotkliwie poszkodowane na skutek szarży jakiegoś wojowniczego kozła.

— One pierwsze zaczęły — dyszał płaczliwie Tomek.

— To wyście zaczęli.

— My? — oburzyli się chłopcy.

— Nie trzeba było ich szarpać.

— Kiedy one jadły...

— To są biedne, głodne zwierzęta — powiedział emeryt — nie powinniście im żalować trochę starej słomy i papieru.

— Kiedy... kiedy wszystko na tym wózku jest potrzebne — wyjąkał Zenon, odpędzając upartego kozła, który znów chciał ściągnąć bezczelnie gazetę zakrywającą Bosmana.

Sytuacja wydawała się rozpaczliwa, gdyż korzystając z interwencji emeryta z brodą, kozy rzuciły się do nowego ataku. Na szczęście w decydującej chwili uratował Piratów Świątek. Dzielny chłopiec przypomniał sobie, że ma w kieszeni kanapki, które przygotował sobie na podróż do Gdyni, wyjął więc je czym prędzej i podsunął najbardziej zachłannemu kozłowi pod nos. Zwierzę poniechało natychmiast skubania jałowych gazet i rzuciło się do treściwego jadła. W jego ślady poszły pozostałe kozy. Świątek mając zwierzęta

kanapkami, cofał się krok za krokiem i odciągał je od wózka. Pozostali chłopcy skorzystali z tego i spiesznie utworzyli wokół wózka ochronny szyk.

Niestety, wyłoniła się nowa przeszkoda. Na drogę wybiegli bowiem gromadnie żądni sensacji emeryci i z ciekawością obiegli wózek.

— Zdaje się, że to wózek Gabrysia — zauważył podejrzliwie jakiś emeryt w kolejarskiej czapce.

— Tak... bo... bo my właśnie... ten wózek od Gabrysia — wykrztusił Zenon.

— Skupujecie odpadki użytkowe? — pytał emeryt.

— Właśnie.

— W zastępstwie Gabrysia?

— Tak — odparł nieopatrznie Zenon. I to kłamstwo miało jak najbardziej fatalne następstwa.

— To doskonale się składa! — ucieszyli się emeryci.

— Naprawdę? — wyjąkał niespokojnie Zenon.

— Tak, bo widzicie... ten łobuz Gabryś od dawna już nie zagląda na naszą ulicę — wyjaśnił emeryt w czapce kolejarskiej.

— Nie podobają mu się nasze odpadki i surowce wtórne — dodał ponuro emeryt z brodą.

— Za mało pijemy wódki — dorzucił trzeci emeryt — za mało pijemy wódki i nie mamy butelek na sprzedaż.

— A Gabryś najbardziej leci na butelki.

— I nie wyrzucamy starych garnków, ale je lutujemy.

— I nie niszczyliśmy ubrań ani butów.

— I za mało czytamy gazet.



- Ale dzisiaj chcielibyśmy coś wam sprzedać.
- Uzbierało się trochę różnych rzeczy.
- Mamy stare podkowy — westchnął emeryt z brodą — zbieraliśmy je na szczęście, ale teraz oddamy je na złom.
- Mamy stare garnki i rondle — westchnęła jakaś zaszuszone emerytka — chcieliśmy je schować na pamiątkę... bardzo trudno rozstać się z garnkami i rondlami, z których jadło się przez całe życie... ale teraz je sprzedamy na złom.
- Zresztą myśleliśmy, że przyjdą wędrowni lutownicy zalutować je...
- Ale nie przyszedł żaden lutownik...
- Coraz mniej ludzi przychodzi już na ulicę Zapłotkową...
- Mamy stare samowary...
- Liczyliśmy na to, że jeszcze pójdą w cenę i staną się modne.
- Ale one już nie będą chyba modne.
- Nikt już nie pija herbaty z samowarów.
- Mamy czarne meloniki.
- I sztywne kołnierzyki.
- I wielkie stare kapelusze z pękami sztucznych kwiatów.
- I kwity... Mamy dużo starych kwitów i podań.
- I stare gramofony z wielką tubą, którym popękały sprężyny...
- Myśleliśmy, że dokupimy do nich kiedyś nowe sprężyny.
- Ale już nie robią sprężyn do starych gramofonów z wielką tubą.
- Sprzedamy wam także żelazne piecyki.
- I przepalone ruszty.
- Do zimy jeszcze daleko.

— A my jesteśmy już starzy.

— I chorzy.

— Może nie będą nam już potrzebne w zimie piecyki.

— Co też panowie opowiadają! — wykrztusił Zenon.

— Zaraz przyniesiemy wam te wszystkie rzeczy — zasapali emeryci i jeden po drugim zaczęli biec do domów.

— Tylko nie odjeżdżajcie...

— Zaraz przyniesiemy wszystko. Poczekajcie.

— Może... może innym razem — wyjąkał przerażony Zenon.

— Jak będziemy wracać — dodał Tadzik.

— Teraz nam się bardzo spieszy.

— Nie, teraz — odparli niecierpliwi emeryci — długo czekaliśmy na wózek Gabrysia.

Chłopcy popatrzyli po sobie zakłopotani. Zrobiło im się jakoś smutno i strasznie ciężko na duszy.

— Prędszej! Popychajcie! — krzyczał Zenon. — Musimy wiać, bo wsiąknjemy bez reszty.

Ale chłopcy nie ruszyli się z miejsca.

— Co się wam stało? Czemuście się tak zamysłili? — złościł się Zenon.

— Będzie im przykro, jak odjedziemy — bąknął Marian.

— Może byśmy kupili od nich te rzeczy — rzekli Odjemkowie.

— Za co? — wykrzyknął Zenon. — Zwariowaliście, jak Boga!... Co się z wami dzieje? Za co my kupimy te rupiecie? Czy mamy forszę?

— To prawda — westchnął Tadzik — przecież nie mamy forsy.

— Później pomyślimy, co zrobić z emerytami — rzekł łagodniej Zenon. — A teraz

odjazd! Z rozmachem, panowie. Ciągnijcie do tyłu ten przeklęty wózek. Jak wjechał, to i wyjedzie.

Chłopcy westchnęli i zabrali się do roboty... ale było już za późno.

Z domków wracali obładowani rupieciami emeryci. Biegli zadyszani, każdy chciał być pierwszy, jakby się bali, że chłopcom może zabraknąć pieniędzy i nie zakupią wszystkiego. Dźwigali podkowy, pamiątkowe rondle i samowary, niemodne kapelusze i kołnierzyki, rury do żelaznych piecyków i przepalone ruszty. Tuby od gramofonów i stosy kwitów.

— No, to już koniec — jęknął Zenon — przepadliśmy z kretesem. Mówilem, żeby się pośpieszyć. Co my teraz z nimi zrobimy?

Pierwszy dopadł wózka zziajany emeryt z brodą. Dźwigał pęk sztywnych kołnierzyków i podkowę.

— Ustawić się w kolejce. Ja jestem pierwszy — zasapał do nadbiegających sąsiadów.

— Proszę się nie tłoczyć. Porządek musi być.

Nagle znieruchomiał. Coś na wózku przykuło jego uwagę. Chłopcy powędrowali za jego wzrokiem... i zdrętwieli. Spod gazety wystawały... buty. Nowe, żółte, wypucowane na „najwyższy połysk” półbuty Bosmana. W czasie szarpaniny z kozami gazeta musiała się trochę zsunąć i nikt tego nie zauważył.

— Co to? — wybelkotał emeryt, nie dowierzając oczom. Spojrzał na swoje popękane, zniszczone obuwie i nagle zdjął je pośpiesznie.

— Co pan robi? — krzyknął Zenon.

— Zamienię się — zasapał staruszek. — Dawno chciałem mieć takie buty... zawsze marzyłem o takich butach... To skandal, że ludzie wyrzucają takie buty... zupełnie nowe

buty — rzekł z goryczą. — Zgodzisz się na to, prawda, chłopcze? Dodam ci podkowę i kołnierzyki... Tobie chyba wszystko jedno, a ja będę mieć nowe buty.

Nie czekając na zgodę Zenona, wetknął mu swoje stare obuwie i nim mu ktoś zdołał przeszkodzić, chwycił za buty Bosmana. — Co to? — szarpnął je zdziwiony raz i drugi.

— Niech pan zostawi — doskoczył do niego Zenon, ale było już za późno... Emeryt ściągnął półbuty z nóg Bosmana i oniemiał.

— Nogi... — wybelkotal — czyjeś nogi w czarnych skarpetkach.

— Co się stało? — cisnęli się dookoła zaciekawieni emeryci.

— Trup... trup w makulaturze — wyszeptał brodac. — Patrzcie!

Pokazywał palcem na sterczące spod gazet nogi Bosmana i cofał się tyłem, patrząc ze zgrozą na chłopców. A potem rzucił się do ucieczki, gubiąc po drodze buty.

Wśród emerytów wybuchł popłoch.

Zenon błyskawicznie wykorzystał tę szansę. Porwał upuszczone półbuty Bosmana, rzucił na drogę obuwie emeryta i krzyknął do chłopców:

— Prędeż! Uciekajmy, póki nie oprzytomnieją!

Szarpnęli mocno wózek. Najpierw w tył. Wyskoczył z dziury. Skręcili w bok i ruszyli co sił naprzód.

\* \* \*

Z przeraźliwym turkotem przejechali ulicę Zapłotkową, nie oglądając się za siebie.

Zatrzymali się dopiero pod stacją. Byli ledwie żywi. Koszule lepiły im się do pleców. Otarli spocone twarze.

— Aleś nas urządził z tą ulicą Zapłotkową! — wykrztusił, łapiąc z trudem powietrze,

Tadzik.

— Trzeba było jechać normalnie, przez miasto — zadyszał Marian.

— Pewnie, tam by nikt na nas nie zwrócił uwagi.

— Kto mógł wiedzieć — bronił się wściekły Zenon. — Czy ja wiedziałem, że tak wyjdzie z tymi emerytami? Czy ja znalazłem emerytów?

— Nie wściekaj się.

Zenon wzruszył ramionami.

— Trudno być w dobrym humorze — powiedział.

— To nic, grunt, żeśmy dojechali, a te przygody...

— Ty myślisz, że ja się wściekam z powodu emerytów? — uśmiechnął się smutno

Zenon. — To biedni, starzy ludzie. Ja... ja... rozumiecie... to mnie właśnie wścieka, że z nimi tak wyszło. Tak głupio... tak okropnie... że... że musieliśmy uciekać.

— Tak, to było okropne.

— Oni teraz myślą o nas najgorsze rzeczy. I jest im jeszcze smutniej.

— Tak, teraz musi im być okropnie smutno.

— Ale przecież nie mogliśmy inaczej — mruknął Zenon. — No, przecież nie mogliśmy inaczej.

— To prawda — rzekli pochmurnie chłopcy.

— Że to się akurat z nimi musiało nam zdarzyć...

— Są tacy starzy i słabi.

— I nie mają pieniędzy.

— I nie mają nawet gdzie wyjechać, tak jak Bosman — powiedział Świątek. — Oni chcieliby też wyjechać, prawda, Zenon? — zapytał.

Zenon zapatrzył się ponuro w ziemię.

— Tak — odparł pomału — ale nie ma już tego kraju, gdzie chcieliby wyjechać.

Chłopcy spojrzeli na niego zaskoczeni. Nie bardzo zrozumieli, co chciał powiedzieć.

**Od strony wózka dobiegł ich szelest gazet i gruby pomruk.**

**— Raju, zapomnieliśmy o Bosmanie! — zerwał się Zenon.**

**Rzeczywiście. Zapomnieli. Jak mogli zapomnieć!**

**Dopadli do Bosmana i pomogli mu się wygramolić z wózka.**

**— Ja... jak pan się czuje? — zapytał niespokojnie Zenon.**

**Bosman rozcierał sobie poobijane boki.**

**— Trzymajcie mnie, bo upadnę — szepnął. — Kręci mi się w głowie... Piekielna**

**jazda... Czy odebraliście temu brodaczowi moje buty?**

**— Tak... oczywiście, proszę pana. — Zenon dopiero teraz zorientował się, że Bosman jest jeszcze bez butów.**

**Załóżyl mu je szybko na nogi.**

**— Chodźmy teraz na dworzec.**

**— Tylko nie całą paczką — zadyszał Bosman — ludzie się na nas patrzą. Nie róbmym przedstawienia.**

**Istotnie, coraz więcej gapiów gromadziło się w pobliżu i ciekawie przyglądało rosłemu mężczyźnie, który wyszedł z wózka i któremu banda chłopców wkładała na nogi buty.**

**— No... na co czekacie? — sapał Bosman. — Mówię, spływajcie do domów.**

**— Jak to, a tajemnica? Pan miał nam na stacji zdradzić tajemnicę — zaniepokoił się Tadziki.**

**Czyżby Bosman chciał ich wykiwać? Nie, to niemożliwe.**

**— Nie bójcie się — rzekł Bosman — pójdzie ze mną Zenon. On jeden wystarczy.**

**Trzymajcie się, chłopaki — wyciągnął do nich rękę.**

**Chłopcy stali nieporuszeni.**

— No, co jest z wami, dawajcie łapy.

Chłopcy podali mu ręce. Czuli, że powinni coś powiedzieć, życzyć szczęśliwej drogi i podziękować za to, że był z nimi, ale żadne słowo nie mogło im przejść przez ściśnięte gardło.

Jakoś dotąd nie zdawali sobie sprawy z tego, co to znaczy, że Bosman od nich odjeżdża. Dopiero teraz zrozumieli i ogarnął ich dziwny niepokój. Jakby nie tylko Bosmana tracili, ale dużo, dużo więcej.

Odeszli spiesznie.

Zenon zawołał za nimi:

— Poczekajcie!

Nie obejrzel się nawet.

Zenon dopadł do nich zziajany.

— Coście tak szybko nawiali. Mam do was jeszcze sprawę. Pójdziecie do domu

Bosmana i jakby wdowa bardzo się niepokoiła, co się stało z jej bratem, powiecie, że widzieliście go pod kinem, że czuje się dobrze i że wybrał się na seans wieczorny. Tylko nie pętajcie się nachalnie koło domu, żeby się nie połapała, że to jakaś lipa. Najlepiej czekajcie w pobliżu domu w krzakach przy drodze. I udajcie przed wdową, że spotykacie ją przypadkowo.

— Ojej, znów to kręcenie! — wybuchnął Marian. — Mam tego wszystkiego dosyć.

— Obrzydło nam już to wszystko — dodał Tadzik. — Ledwie trzymamy się na nogach.

Zenon przygryzł wargi.

— Ale skrzynie Szwajsa chcielibyście mieć, co? Bogactwo nie przychodzi za darmo.

Musicie to zrobić, co mówię. Jutro będziemy mieli skrzynie. Od jutra przestaniemy kręcić,

**bując i nabierać.**

**Chłopcy spuścili głowy. Nie bardzo byli o tym przekonani, ale ruszyli w stronę domu Bosmana.**

**— A ty — zatrzymał Zenon Światka — dokąd?**

**— Ja?... No, ze wszystkimi do domu Bosmana.**

**— Nie. Pójdiesz do swojego domu — rozkazał Zenon. — Zobacz, która godzina.**

**Nie chcę mieć później do czynienia z twoim tatą. On wygląda bardzo groźnie.**

**— Kiedy... ja...**

**— Dosyć — przerwał mu Zenon — jesteś podchorążym. Dla podchorążych u nas taki regulamin.**

**Świątek przygryzł wargi, ale posłusznie, choć ze zwieszoną głową, ruszył w stronę Nowego Osiedla.**

**\* \* \***

**Kiedy chłopcy dotarli do domu wdowy Biegańskiej, słońce pochyliło się już mocno ku zachodowi. Długie cienie drzew kładły się na drodze, chałupa Bosmana pogrążona była w posępny półmrok. Dookoła panowała cisza jak w umarłym domu, tylko gdzieś niedaleko miauczał żałośnie kot.**

**Chłopcy patrzyli na stary dom w milczeniu. Zupełnie jakby się obudzili z ogromnego snu. Więc to jest ta dumna fregata „Resplendor”, na której żeglowali przez wiele tygodni. Więc to jest ten zamek piracki na strasznej wyspie Matarratos. Nie rozumieli zupełnie, jak mogło coś podobnego przyjść im do głowy. Przecież to tylko stara, drewniana chałupa. Nędzna buda z Nieklāja, kryta gontami i łatana papą. Zwyczajna i brzydka.**

**Czy to dlatego, że Bosmana już nie ma? Nie wiedzieli. Czuli tylko jedno: już nigdy nie przyjdą tu się bawić. Już nigdy nie potrafią sobie wyobrazić różnych nadzwyczajnych**



rzeczy. Żegnaj, fregato „Resplandor”.

— Wszystko przepadło — rzekł nagle Tadzik.

Spuścili głowy. Tak, już wszystko przepadło. Wszystko się skończyło. Pozostała tylko stara chałupa. Taka jak tyle innych w Nieklaju.

Zrobiło im się obco, zimno i smutno. Na domiar złego jakiś czarny gawron usiadł na antenie na dachu i krakał wstrętne, jakby z nich szydził, że sprzedali Bosmana za skrzynie Szwajsa.

Tomek pogroził mu pięścią. Ptaszysko umilkło i ociężale zerwało się do lotu, machając skrzydłami jak czarną flagą.

— Ech, głupio było załatwione z Bosmanem — westchnął ponuro Tadzik.

— Pewnie, że głupio — przytaknął Marian. — Pójść na taką umowę. Mnie od początku nie podobała się ta umowa.

— No, przecież chodziło o skarby — zauważył nieśmiało Tomek — inaczej nie mielibyśmy skrzyń Szwajsa.

— Kto ci powiedział, że nie mielibyśmy — wzruszył ramionami Marian. — Przecież Bosman obiecał, że złoży wyznania przedśmiertne. Zresztą nawet wcześniej powiedziałby.

— Trzeba było tylko poczekać — dodał Tomek.

— To przez Zenona — mruknął ze złością Tadzik. — Zenon nie miał cierpliwości.

— Nawet jakby Bosman nie powiedział, znaleźlibyśmy sami, no nie? Wystarczyło tylko dobrze szukać w Ogrodzie.

— Ech, powiedziałby. Ja wam mówię, że powiedziałby w końcu.

Zapanowało przez moment milczenie. Wreszcie Marian zdenerwował się:

— No, co tak sterczycie? Trzeba zająć pozycje. Wdowa i Otrębus mogą nadejść w każdej chwili.

— Która godzina? — zapytał Tadzik.

Okazało się, że nikt nie ma zegarka.

— Słońce już niedługo zajdzie — zauważył Marian.

— O której jest teraz zachód?

— O dwudziestej pięćdziesiąt cztery, według czasu letniego.

— To pewnie jest teraz jakiś kwadrans po ósmej.

— Czyli, że powinni już nadejść.

— Tak, o godzinie dziewiętej Otrębus ma obchód w szpitalu i będzie chciał załatwić tę wizytę przed obchodem.

Wybiegli na drogę i ukryli się w zaroślach, przy rowie. Ale choć upływały minuty, nikt nie pojawiał się na drodze.

## Rozdział XII

Zenon podprowadził Bosmana w kątek poczekalni. Stary marynarz ledwie się trzymał na nogach. Trudy podróży w charakterze „surowca wtórnego” na wózku Gabrysia mocno musiały mu się dać we znaki, bo opierał się ciężko na ramieniu Zenona, sapał jak wysłużony parowóz. Oddech miał krótki, nierówny. Musiała go też trawić gorączka, bo na twarzy pojawiły mu się czerwone wypieki, a oczy błyszczały niezdrowo.

— Duszno tutaj — wymamrotał. — Jeśli możesz, przynieś mi coś do picia. — Usiadł przy małym stoliku i podparł ciężką głowę.

Zenon poszedł do bufetu i przyniósł Bosmanowi wody sodowej z sokiem malinowym.

Stary marynarz skrzywił się, ale wypił jednym łykiem. To go nieco otrzeźwiło. Spojrzał przytomniej na Zenona.

— No, to może pan już powie — rzekł niecierpliwie Zenon — a ja zaraz kupię bilet dla pana.

— **Znów mnie zaczynasz męczyć — zamruczał Bosman.**

— **Przecież pan obiecał, że na stacji.**

— **Tak, ale jeszcze nie teraz. Która godzina? — zapytał.**

— **Ósma — odparł Zenon.**

— **Powiem ci dopiero o dziewiątej.**

— **Dlaczego o dziewiątej? — zdenerwował się Zenon.**

— **Bo dopiero wtedy będę wiedział, że wyjadę...**

— **Jak to?**

— **Bitwa jeszcze nie wygrana, mój chłopcze. Nasz manewr był skuteczny, ale nie zdajesz sobie sprawy z zawziętości naszego wroga. Wdowa nie da tak łatwo za wygraną. To uparta kobieta. Jeśli sprzymierzy się z Otrębusem, marne mamy szanse, kolego.**

— **Myśli pan, że Otrębusek może pana szukać? Że będzie mu się chciało?**

— **Och, to okropny człowiek. Nie spotkałem jeszcze w życiu podobnie upartego doktora. Zawział się, że mnie wyleczy. — Bosman zaśmiał się szyderczo. — Nie wiem, skąd u niego taka zawziętość. Widocznie znajduje przyjemność w dręczeniu mnie. Dlatego dopiero o dziewiątej będę wiedział na pewno, że wyjadę.**

— **Dlaczego o dziewiątej?**

— **Bo o tej godzinie ma już zajęcia w szpitalu.**

— **Myśli pan, że to go powstrzyma?**

— **O, na pewno. To bardzo obowiązkowy i punktualny człowiek — powiedział Bosman z przekonaniem.**

— **A parni Biegańska?**

— **Wdowa? Och, wdowy się bałem tylko w domu, mój chłopcze, bo tam mogła mnie zamknąć na klucz i ze złości przez tydzień karmić kaszką manną na mleku, podejrzewam,**

że kozim w dodatku, gdyż ta genialna niewiasta doszła do przekonania, że tylko kozie mleko może wrócić mi zdrowie. Więc się jej bałem, przyjacielu. Ale tutaj? Tu jest publiczne miejsce. Nie potrafi mnie ruszyć z poczekalni. Nie jestem dzieckiem... nie jestem dzieckiem, przyjacielu. Czy myślisz, że stałem się dzieckiem?

— Oczywiście, że nie — bąknął Zenon.

— A zatem czekaj cierpliwie i nie dręcz mnie — rzekł słabym głosem — i zastanów się raz ostatni, czy dobrze robisz, przyjacielu.

— Och, znów pan zaczyna.

— Po co ci te skrzynie? Masz młode ręce, zdrowie i głowę na karku. Co ci potrzeba więcej? Złoto to fatalny magnes... nie zbliżaj się do złota, bo zboczysz z kursu i nie dopłyniesz nigdzie. Zboczysz z kursu, mój chłopcze.

Zenon zakręcił się niespokojnie na krześle.

— Pan tak mówi — powiedział rozdrażniony — a przecież pan sam zboczył z kursu. Pan sam zboczył z kursu i popłynął szukać skarbów na wyspie Resplandor. Sam pan opowiadał...

— Tak, opowiadałem, ale nie dokończyłem mojego opowiadania. Czy wiesz, jaki był dalszy ciąg tej historii? — zasapał Bosman.

— No, nie wiem.

— A chcesz posłuchać?

Zenon spojrzał na niego ciekawie.

— Też pytanie. Pewnie, że chcę.

— No, to posłuchaj.

Dalszy ciąg opowiadania bosmana Henryka Rei

z podróży na wyspę RESPLANDOR

Płynęliśmy dwie doby, i wreszcie trzeciego dnia na horyzoncie ujrzeliśmy mały dymek. Niektórzy z nas zaniepokoiili się tym poważnie. Nie chcieliśmy, by ktokolwiek zobaczył nas w tej części Morza Karaibskiego, gdyż nasze nieprzewidziane rozkładem jazdy zboczenie z kursu mogło mieć dla nas przykre konsekwencje. Alvarez uspokoił nas jednak i powiedział, że jest to prawdopodobnie wulkan, jeden z wielu na Małych Antylach.

Nieszczęsne te wyspy nawiedzane są stale przez trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, co powoduje, że wiele z nich nie jest w ogóle zamieszkanych.

Drugi oficer miał rację. Wkrótce z morza wylonily się kontury wysepki, otoczonej pierścieniem zastygłej lawy. Z lewej strony wyspy wznosił się krzywy stożek wulkanu przysłonięty w połowie dymem i oparami. Część lawy spływała po jego zboczu wprost do morza i stąd te niesamowite mgły w samo południe w podzwrotnikowym słońcu.

Wydaliśmy okrzyk radości. A więc było to owe Islas Fumosas, o których mówiła tarragońska mapa. Płynąc teraz na północny wschód, powinniśmy osiągnąć niebawem ów łańcuch wysp pirackich, między którymi znajdował się cel naszej eskapady — wyspa Resplandor.

Posuwaliśmy się naprzód powoli. Mapy nawigacyjne określały ten obszar jako szczególnie niebezpieczny i dla większych statków w ogóle niedostępny z powodu licznych skał podwodnych.

Pod wieczór osiągnęliśmy pierwszą z wysp pirackich — Larga Taciturnidad. Pomiar głębokości wskazywał, że jesteśmy na stale zwiększającej się płyźźnie, nie ryzykowaliśmy więc rejsu nocnego i zarzuciliśmy kotwicę.

Prawdę powiedziawszy, to nikt nie spał tej nocy. Wszyscy byli przekonani, że najdalej jutro skarby Miguela Calvo staną się naszą własnością. Urządziliśmy więc niesamowitą ucztę i, mimo protestów kucharza Diego, wypiliśmy resztę wina znajdującego

się na statku. Snuliśmy plany, co zrobimy z fortuną. I muszę ci powiedzieć, że podobni w tym byliśmy zupełnie do ciebie i twoich kolegów. Też chcieliśmy kupować domy, samochody i statki.

Skoro świt podnieśliśmy kotwicę i popłynęliśmy ostrożnie wzdłuż łańcucha wysepek.

Wschodzące słońce oświetlało je różowo, wylaniały się jedna po drugiej, zapomniane już dziś, małe, pirackie wysepki o dźwięcznych hiszpańskich nazwach: Todas Frutas...

Escondidos... Siete Ladrones... Matarratos.

Nagle usłyszałem okrzyk: „Statek po lewej burcie!”

Znów ogarnął nas niepokój. Naprawdę nie chcieliśmy mieć świadków naszej awanturniczej wyprawy. Wkrótce jednak stwierdziliśmy z ulgą, że był to tylko wrak statku.

Przechylony mocno na lewą burtę, z uniesioną do góry rufą tkwił nieruchomo, wciśnięty między skały przybrzeżne. Zastanawialiśmy się, co robić, ciekawość jednak przemogła.

Podpłynęliśmy ostrożnie bliżej.

Nieszczęsny statek był średniej wielkości motorowcem pasażerskim o nazwie „Manitoba”, co wskazywałoby, iż jest statkiem kanadyjskim. Manitoba jest bowiem jedną z prowincji Kanady. Sięgnęliśmy do rejestru statków Lloyda. Istotnie, statek tej nazwy figurował w spisie. Według rejestru kursował na linii Georgetown-Halifax, czyli między Gujaną brytyjską a Kanadą. Co robił w tych stronach? Wytłumaczenie mogło być tylko jedno. Cyklon, którego ofiarą o mało co nie padliśmy, musiał uszkodzić urządzenia sterownicze i zepchnął „Manitobę” na Małe Antyle, gdzie nadziała się na skały podwodne. Lecz co się stało z załogą i pasażerami? Uratowali się na szalupach? Wyłowił ich jakiś ratunkowy statek? Czy też zginęli? Wszelkie sygnały, jakie nadaliśmy z pokładu, pozostały bez odpowiedzi.

Część naszej załogi chciała natychmiast odpłynąć, lecz ja zdołałem ich przekonać, że

dla spokoju sumienia powinniśmy zbadać, czy na wraku nie znajduje się ktoś potrzebujący pomocy. Spuściliśmy więc szalupę, do której załadowało się czterech ochotników: zawsze ciekawy mechanik, Murzyn Pedro, mój przyjaciel, Japończyk Okito, kucharz Diego i ja. Podpłynęliśmy do wraku. Jedna jego burta była rozdarta. Pozrywane anteny, połamane maszty, potłuczone urządzenia nawigacyjne świadczyły, że statek musiał się dostać w najgorszą strefę cyklonu. Z wielkim trudem, za pomocą lin wdrapaliśmy się na pokład. Wszędzie obraz straszliwego zniszczenia i nieporządku. Wszystkie kajuty pod wodą z wyjątkiem paru na górnym pokładzie, przy rufie, która, jak wspomniałem, była wyniesiona przez skały do góry. W jednej z kajut znaleźliśmy przy łóżku trupa mężczyzny w starszym wieku, z raną na czole. Wstrząs, któremu towarzyszyło zderzenie się ze skałą musiał go rzucić na kant stołu i spowodować śmierć. Poza tym nieszczęśliwcem nie natrafiliśmy na nikogo żywego ni umarłego, jeśli nie liczyć tłustego kota, który uganiał się za szczurami buszującymi po nadwodnej części statku. Chcieliśmy zabrać kota, ale ten syty i oszołomiony mnogością „łownej zwierzyny” nie dał się schwytać i jeżył groźnie sierść, gdy próbowaliśmy go zwabić. Jeszcze jeden z tych głupców zaślepionych chwilowym uśmiechem losu, mój chłopcze. Gdyby wiedział, co go czeka, gdy pożre ostatnią mysz, ostatniego szczura na pokładzie...

W ponurym nastroju opuściliśmy wrak. Już mieliśmy powrócić na nasz statek, kiedy Pedro, rozglądając się po okolicznych skałach, zauważył przez szkła lornetki coś, co go zelektryzowało.

„Patrzcie — krzyknął — tam muszą być ludzie!”

Porwałem lornetkę i spojrzałem w kierunku, który pokazywał. Może z pół mili od nas na maleńkiej, skalistej wysepce zauważyłem coś podobnego do chwiejącej się na wietrze chorągiewki.

**Nie namyślając się chwyciłem za wiosła.**

**Kiedy podplynęliśmy bliżej, zauważyliśmy na skale pięć leżących nieruchomo postaci ludzkich. Obok nich na zatkniętym w szczelinie wiosle uwiązana była potargana koszula.**

**Dobiliśmy do skały. Na nasz widok rozbitkowie poruszyli się, próbowali się podnieść.**

**Na szczęście wszyscy żyli, byli co prawda w oplakany stan, chudzi jak szkielety, ale żyli, mój chłopcze. Nakarmiliśmy ich i napoiiliśmy. Plakali ze szczęścia, mówili coś po angielsku.**

**Okito, który znał nieco ten język, przetłumaczył nam ich słowa. Opowiadali, że w czasie sztormu nastąpiła awaria w maszynowni. Zdany na łaskę fal i wiatru statek został zagnany**

**na te okropne wyspy i rozbił się o skały. Pasażerowie i załoga próbowali ratować się na szalupach, ale prawdopodobnie wszyscy poszli na dno. Tylko ich pięciu, najlepszych**

**plywaków, gdy fala strzaskała im łódź ratunkową, zdołało dopłynąć do brzegu. Potem, gdy burza minęła, przekonali się, że statek utrzymał się nadziany na skałę. Żalowali nawet, że**

**go porzucili. Na statku były zapasy żywności. Ale teraz, pokaleczeni i wycieńczeni,**

**straciwszy szalupę, nie odważyli się przepłynąć z powrotem, tym bardziej, że morze dookoła roilo się od rekinów.**

**Chcieliśmy ich natychmiast zabrać na nasz statek, ale jeden z nich, ledwie jako tako**

**przyszedł do siebie, rzucił się do nas i zaczął coś tłumaczyć, gwałtownie pokazując na**

**rozbitą „Manitobę”. Oczy miał obląkane, ręce mu drżały. „My shares... moje akcje...” —**

**powtarzał bez przerwy i bełkotał coś po angielsku. Myśleliśmy, że oszalał. Dopiero Okito**

**przetłumaczył nam, o co chodzi. Ten człowiek w podartych lachmanach, pokryty strupami i**

**zarośnięty jak ostatni żebrak, był jednym z najbogatszych ludzi w Gujanie. Na wraku**

**został jego pakiet akcji jakiegoś towarzystwa akcyjnego eksportującego kakao i trzcinę**

**cukrową z Gujany, wartości, jak powiadał, stu osiemdziesięciu tysięcy dolarów**



kanadyjskich. Błagał nas, abysmy wydobyli te akcje, gdyż w każdej godzinie wrak może pójść na dno. Wkrótce rozpocznie się przyływ i wysoka fala może zepchnąć „Manitobę” ze skały, a wtedy nie będzie już żadnego ratunku dla znajdującego się na niej majątku.

Nie bardzo chcieliśmy mu wierzyć, więc pokazał nam dokumenty, z których istotnie wynikało, że człowiek ten, nazwiskiem Simpson, był dyrektorem i poważnym udziałowcem tego gujańsko-kanadyjskiego towarzystwa.

Obiecaliśmy mu pomoc, zabraliśmy rozbitków na szalupę i podpłynęliśmy do wraku.

Simpson określił nam dokładnie położenie kajuty, gdzie została teczka z akcjami. Okazało się, że znajduje się ona pod wodą. Żeby się do niej dostać, należało nurkować... i to szybko, gdyż przyływ już się zaczynał.

Patrzyliśmy na wyrwę w burcie. Tędy należało się spuścić. Odeszła nas odwaga.

Ostre, pogiete blachy odsłaniały czarną, mroczną czeluść, w której tłukły się z głuchym lomotem fale. Poza tym pamiętaliśmy o rekinach, które kręciły się wokół statku. Nie można było gwarantować, że nie żerują i wewnątrz.

Pokręciliśmy przecząco głowami i chcieliśmy odjechać.

Wtedy Simpson zaczął znów rozpaczać i błagać nas na przemian. Ofiarowywał nagrodę dla tego, kto wydobędzie mu teczkę: dwa procent uratowanych akcji lub równowartość w gotówce.

„Nie — powiedziałem — tego nie zrobi żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. To jest robota dla zawodowego nurka. A my nie mamy żadnego sprzętu”.

„Dam pięć” — wykrzyknął Simpson.

„Nie — odparłem — tam są rekiny. To pewna śmierć”.

— Dziesięć procent — zachrypiał Simpson wpatrując się w nas z napięciem.

Spojrzeliliśmy po sobie. Dziesięć procent to była suma nie do pogardzenia. Za taką

sumę można było żyć w dobrobycie przez wiele lat, leżąc do góry brzuchem.

Pierwszy zdecydował się Pedro. Uwiązaliśmy go na mocnej linie i spuściliśmy do dziury. Pedro był najlepszym pływakiem z nas i miał największe szanse. Popuszczaliśmy mu pomału linki i liczyliśmy sekundy. Umówiliśmy się przedtem, że gdy upłynie dziewięćdziesiąt sekund, a on się nie pojawi, wyciągniemy linkę. Ale ledwie doliczyliśmy do pięćdziesięciu, linka nagle zwiotczała. Sądziliśmy, że zrezygnował i wraca. Czekaliśmy jeszcze czterdzieści sekund, ale on nie pojawił się w otworze. Zaczęliśmy ciągnąć linkę. Wyszła bez najmniejszego oporu... Była ucięta przy końcu.

Milczeliśmy.

„Dwadzieścia procent” — powiedział ten człowiek.

Japończyk Okito, o którym wiedziałem, że ma pięcioro dzieci i że od dziesięciu lat ciuła pieniądze, żeby powrócić do rodzinnej Jokohamy, opasał się drżącą ręką sznurem i wręczył mi jego koniec. Nim zdołałem wykrztusić z osłupienia słowo, już znikł w czeluści. Wrócił po minucie. Ale bez niczego. Wtedy zaryzykowałem ja.

Wydobyto mnie półprzytomnego, ale w zaciśniętych kurczowo palcach trzymałem tę przeklętą teczkę.

Na pokładzie naszej łajby przyjęto rozbitków z kwaśnymi minami. Na próżno Simpson obiecywał im złote góry, byle tylko odstawili go do Georgetown lub do innego najbliższego portu. Oświadczyli, że nie zmienią kursu i że mogą najwyżej wziąć rozbitków na pokład. Dwa tysiące dolarów, które Simpson obiecywał na głowę, nie zrobiły na nich żadnego wrażenia. Byli pewni, że na wyspie Resplandor czekają na nich miliony. Wreszcie udało nam się przekupić Alvareza i ten zgodził się nadać radiotelegram do Georgetown, że znalazł przy wyspie Matarratos rozbitków, którzy nie chcieli się załadować na jego statek i czekają na pomoc.

Nazwisko Simpsona miało magiczny urok w Georgetown. Wiedzano tam już o katastrofie i trwały poszukiwania. Odebraliśmy natychmiast odpowiedź, że statek ratowniczy w ciągu dwudziestu czterech godzin przybędzie na miejsce.

Załoga odstąpiła Simpsonowi trochę żywności i z powrotem przewieźliśmy go razem z towarzyszami na wyspę, gdzie miał czekać na statek. Simpson namawiał mnie, że bym pozostał razem z nim. Zastanawiałem się, co robić. Stosunki między mną a załogą były już popsute i atmosfera na statku stała się nie do wytrzymania. Odkąd powróciłem z majątkiem w kieszeni, koledzy patrzyli na mnie wilkiem i szeptali po kątach. Kucharz Diego rozpowiadał wszystkim otwarcie, że należy mu się połowa nagrody Simpsona, ponieważ on mnie trzymał na sznurze i wyratował. Żądanie to było zupełną bezczelnością, ponieważ nie on ryzykował życie, a zresztą za swoją pomoc otrzymał od Simpsona sto dolarów. Wreszcie Diego zażądał otwarcie, bym mu dał połowę.

Kiedy mu odmówiłem, podburzył pozostałą załogę. I ci dranie powiedzieli, że albo podzielę nagrodę po równo między wszystkich, albo wysadzą mnie na skałę razem z Simpsonem. Wyśmiałem ich i kazałem iść do wszystkich diabłów. Miałem w kieszeni majątek i gwizdałem na ich skarb na wyspie Resplendor. Chciałem teraz jak najszybciej wrócić do domu i zamienić akcje na pieniądze.

Zostawili mnie więc na wyspie razem z pięcioma rozbitkami i odплыnęli.

Nazajutrz rano przybył po nas statek ratowniczy. Byliśmy ocaleni. W Georgetown sprzedałem akcje i z trzydziestoma sześcioma tysiącami dolarów powróciłem do żony do Brazylii.

Wspomniałem już wam o małym, białym domku na wysokim brzegu koło Santos, który można było widzieć w pogodne dni, kiedy dopływałem do portu. Patrzyłem teraz na niego wzruszony i szczęśliwy. Cieszyłem się, że zrobię taką niespodziankę mojej żonie. Nie

wiedziałem jeszcze, jak krótko trwać będzie moje szczęście. Cóż ja wiedziałem wtedy o bogactwie, mój chłopcze? Nic. Tak jak ty nie wiesz. Przeklęte pieniądze! One każą ci zmienić twoje życie i biada ci, jeśli się będziesz opierał. One każą ci przestać być sobą i zmuszą, byś stał się obcy sobie, inny. Ja nie chciałem być inny, ale moja żona posłuchała ich rozkazu. Od razu przestał jej się podobać nasz biały domek na wysokim brzegu koło Santos i zapragnęła się przenieść do Rio. Ciągnęło ją inne życie i od razu poczęła się nudzić.

Chciała, bym rzucił morze. „Po co masz pływać — mówiła — skoro jesteś bogaty? Nie musisz już przecież harować na tych okropnych statkach”.

Moja żona, chłopcze, nie miała żeglarskiego ducha. Nie wiedziała, że żeglarz musi żeglować aż do śmierci. Nie winię jej za to. Trudno być żoną żeglarza.

Ale nie zgadzaliśmy się odtąd. Kiedy wracałem z rejsu, nie czekała już na mnie w oknie białego domku na wysokim brzegu. Nastaly dla mnie ponure dni. Przestałem być szczęśliwy. Odtąd zamiast mojego białego domku odwiedzałem portowe knajpy. Aż wreszcie kiedyś zastałem drzwi zamknięte. Nie było już mojej żony w białym domku na wysokim brzegu. I nie zobaczyłem jej więcej.

Wtedy przekląłem sewilskie mapy i szaleństwo, które mnie zagnało na nieznane szlaki, i zrozumiałem, że żeglarzowi nie wolno nigdy zbaczać z kursu na wyspę Resplandor. Bosman dyszał ciężko. Oczy błyszczały mu gorączkowo. Długie opowiadanie mocno go wyczerpało.

— A co z tamtymi pana kolegami? — zapytał podniecony Zenon. — Co z tą lajbą „Xingu”?

— Nikt nie zobaczył ich więcej.

— Zatonęli?

— Nie wiadomo. Nie znaleziono żadnego szczątku statku. Znawcy tamtych stron

mówili mi, że mógł go pochłonąć wybuch podwodnego wulkanu. To nadzwyczaj niebezpieczny zakątek kuli ziemskiej. Może zresztą zdążyli wyjść na brzeg i tam z jakiegoś powodu zginęli.

— Trzęsienie ziemi? — zapytał Zenon.

— Być może.

— No, to teraz niech mi pan powie, gdzie szukać skrzyń Szwajca — rzekł Zenon.

Bosman zmierzył go ponurym spojrzeniem.

— Widzę, że nie zdołałem cię odwieść od tego zamiaru. Na nic strzępiłem język przez bite pół godziny. Niczego nie zrozumiałeś.

— Przepraszam, zrozumiałem, dlaczego ma pan wstręt do nurkowania.

— Ach, ty galganie! — zasapał Bosman.

— Pan zapomniał, że ja nadstawiłem ucho — powiedział Zenon — dziewiąta już się zbliża. Umowa gra czy nie?

— Widzę, że nie mam innej rady — westchnął Bosman — ale Bóg mi świadkiem: chciałem cię powstrzymać. Posłuchaj więc...

Zenon natężył słuch.

### Rozdział XIII

Bosman miał rację, że Otrębus zawział się na niego, ale mimo wszystko nie doceniał doktora. Alarmująca wizyta wdowy Biegańskiej sprawiła, że Otrębus zmienił swój rozkład zajęć. Postanowił przyspieszyć obchód w szpitalu i najpierw załatwić się z chorymi szpitalnymi, a resztę dnia poświęcić na gruntowne zbadanie Bosmana.

Dlatego dopiero koło godziny dziewiątej chłopcy, ukryci w zaroślach, ujrzeli na drodze dzielnego doktora.

Biegł szybko z walizką w ręku w towarzystwie wdowy Biegańskiej.

— Czy są jeszcze jakieś inne objawy u brata? — pytał zaniepokojony.

— Tak, niemożliwie utył.

— Utył? — zdziwił się doktor Otrębus.

— Tak, upaśł się, panie doktorze. Wszystko bym zrozumiała, ale tego jednego nie mogę w żaden sposób. Tyje z dnia na dzień, w oczach grubieje. Chociaż głodzę go, jak pan doktor przepisał, i daję mu tylko kaszkę na wodzie, sucharki i owoce. On nawet tego nie zjada, a tyje. Ja wiedziałam, że on nam jakiś kawał robi, to do niego podobne. Zawsze z nim były kłopoty.

— Może się sam dokarmia...

— Skądże, pan doktor wie, że trzech kroków nie robi o własnych siłach. Zresztą zamykam go na klucz, jak wychodzę.

— Muszę go wziąć do szpitala... Tak, koniecznie muszę go wziąć do szpitala — zamruczał podniecony Otrębus — to jakiś wyjątkowy wypadek kliniczny. Dawno już mówiłem, że należy go zabrać do szpitala.

— Jego do szpitala! — wdowa zaśmiała się gorzko. — Niech pan tego nie robi, bo tylko pan sobie biedy napyta, doktorze. Niech pan mu nawet o tym nie wspomina, bo może być nieszczęście. On by nie wytrzymał w szpitalu ani jednego dnia. Zawsze był taki odmieniec... — przyspieszyła kroku.

— Niechże pani tak nie pędzi... — doktor powstrzymywał wdowę. — Zadyszala się pani.

— To z nerwów, panie doktorze. Wykończy mnie to Bosmanisko... Czuję, że mnie wykończy ten łobuz, Bosman.

Doktor Otrębus uśmiechał się za okularami.

— Pani do brata też mówi „Bosman”?

— A tak, żeby pan wiedział. Do takiego chłopca, jak on, to najlepiej pasuje: Bosman.

Czasem to aż mi się nie chce wierzyć, że to mój brat. Mówię panu doktorowi, że zawsze z nim były kłopoty. Mamusia i tatuś, nasi rodzice nieboszczykowie, też zdrowie przez niego stracili. Ile on pasów od nieboszczyka tatusia dostał! Nic nie pomagało. Hultaj był od urodzenia... Stale z domu uciekał, figle mu tylko były w głowie. Aż wreszcie wziął i uciekł na dobre, panie doktorze. Gdynia wtedy była modna u chłopaków i, jak się potem okazało, do tej Gdyni uciekł. Najpierw pracował przy budowie portu, a potem na jakiś statek się zaciągnął. Zanim się tatuś nasz, nieboszczyk, dowiedział, gdzie on jest, i do tej Gdyni pojechał, to on już hultaj, wypłynął w świat. Tatuś przyjeżdża, a tam mówią: „Owszem był taki, ale teraz to szukaj go pan w Ameryce”. Tatusia zatkało. Pyta, kiedy statek wróci. „Za sześć tygodni” — mówią. Więc tatuś za sześć tygodni znów jedzie do Gdyni i z paskiem w ręce na brzegu czeka. Jak tylko Henryk się ukazał na takiej desce, po której marynarze schodzą na ląd, to tatuś od razu do niego na tę deskę i do skóry mu się dobiera. Ale stracił równowagę i wpadł do morza, i byłby pewnie utonął nasz tatuś, gdyby Henryk za nim do wody nie skoczył i nie uratował go z topieli. Szybką orientację to on ma, Bosmanisko. Ale ten wypadek tatusia naszego, nieboszczyka, jeszcze bardziej rozsierdził, poszedł do kapitana i odebrał Henryka. Henryk się opierał, ale okazało się, że jest nieletni, więc kapitan musiał go zwolnić i oddać naszemu tatusiowi. Tatuś przywiózł go więc z powrotem do Nieklāja i stolarki chciał uczyć... Ale gdzie tam, po tygodniu chłopaczysko znów uciekło nam z domu.

Więc rodzice pomyśleli, że ma być zły stolarz, to niech już będzie marynarz, i tak zostało... Był nawet podobno dobrym marynarzem, ale potem się rozpił. Mówi, że miał jakieś okropne przejścia na wyspach Żółwich czy Szczurzych, czy innych Diabelskich, kto by tam spamiętał, i wtedy koledzy nauczyli go pić. Ale ja myślę, że on nie od tego się rozpił,

tylko od zmartwienia, bo, widzi pan doktor, źle się ożenił. W Brazylii, proszę pana, żenić mu się zachciało i z tą żoną miał kłopoty, i dlatego się rozpił, a nie z powodu tego, że był na tych Wyspach Diabelskich, nie, Dymnych, bo on na Dymnych Wyspach miał te przejścia, przypomniało mi się. Dość, że się rozpił. I ta wódka odebrała mu zdrowie.

— Tak... — powiedział doktor Otrębus — wątroba i serce nadszarpnięte przez wódkę, ale my go jeszcze postawimy na nogi. Postawimy na nogi tego wilka morskiego.

— Żeby tylko wytrzymał tę kurację. Bo to niespokojny duch. Tak się boję... Mówię panu, jak tylko wrócił, zupełnie jakby diabła z sobą przywiózł.

— Diabła?! Co też pani opowiada? — skrzywił się doktor Otrębus.

— Wiem, co mówię — powiedziała wdowa Biegańska. — Odkąd wrócił, w tym domu dzieją się różne rzeczy, panie doktorze.

— Cóż on może robić, kiedy leży w łóżku?

— To nic, że w łóżku, ale diabła do domu wpuścił... Już byłam u księdza, żeby przyszedł z kropidłem na wyświęcenie domu... Cały dom będziemy kropić wodą święconą.

Doktor Otrębus spojrział z troską na zmartwioną wdowę.

— Będę musiał panią zbadać — powiedział. — Boję się, że pani ma chore nerwy.

— Każdy by dostał choroby nerwowej, panie doktorze. Ja panu mówię, tu się dzieją niezwykle rzeczy — zniżyła głos i szepnęła tajemniczo: — Nie tylko Bosman utył, ale wszystko u mnie w domu tyje...

— Wszystko w domu?

— Ogólne zjawisko tycia się zrobiło, tylko ja jedna na wadze tracę — otarła oczy chusteczką — chociaż piję śmietanę i jem ser, i biorę zastrzyki wątrobowe, panie doktorze. Ale za to, żeby pan widział moją Łysulę i owce, i świnię, i gęsi, i kury. Wszystkie otłuszczenia dostały, a najwięcej to kot Barnaba.



— Nie rozumiem, dlaczego się pani martwi, to chyba dobrze, że pani zwierzęta gospodarskie dobrze wyglądają i tłusto — rzekł zakłopotany Otrębus.

— Tak... ale dlaczego. Właśnie, jak o tym pomyślę, strach mnie bierze. Gdybym to ja im jeść dobrze dawała. Ale w tym roku z powodu Bosmana u mnie ciężko i paszy nie kupuję, a one tyją. To musi być nieczysta sprawa. Taka Łysula, panie doktorze, jeszcze parę tygodni temu skóra i kości, a teraz... Sam weterynarz osłupiał, panie doktorze. Nie chciał wierzyć, że ona skubie tylko tę nędzną trawę w okólniku. A kiedy go przekonałam, powiedział, że się objawiła w mojej Łysuli nadzwyczajna rasa, i zaraz potem przyszli jacyś urzędnicy, i kolczyk Łysuli przypięli do ucha, pytam się, dlaczego, a oni mówią, że to dlatego, że to taka nadzwyczajna rasa... A potem, jak im wyznałam, że u mnie tak wszystko tyje, jeszcze bardziej się zdziwili i powiedzieli, że to może promieniowanie z tych atomów, pan wie, więc przyjadą do mnie z aparatem zbadać, czy u mnie nie ma jakiegoś promieniowania... z tych atomów, co to promieniują, proszę pana.

Doktor Otrębus otarł pot z czoła. Wszystko to wydawało mu się w najwyższym stopniu niedorzeczne.

— Co też pani opowiada! — próbował się bronić.

Ale nieszczęśliwa kobiecina rozgadała się już na dobre.

— Pan myśli, że na tym koniec? — Nachyliła się do ucha Otrębusa i rzekła poufnym tonem: — Mojej Łysuli ktoś pomieszał we łbie.

— Choroba umysłowa u krowy, pierwszy raz słyszę — zdziwił się doktor.

— Pan doktor wie, ile razy dziennie doi się krowę? — zapytała wdowa.

Doktor Otrębus chrząknął.

— Nie... nie bardzo...

— Tak też pomyślałam. Ludzie uczeni nie znają się na takich sprawach, chociaż

mleko to by pili... Otóż wszystkie normalne krowy trzy razy dają mleko. Taki jest porządek u krów, panie doktorze. Tak też było z moją Łysulą. Dawala trzy razy, skapo bo skapo, ale dawala, jak przystało na grzeczną krowę, po dwa litry za każdym dojeniem, a teraz coś się z nią zrobiło.

— Nie daje mleka?

— Daje, nawet pięć litrów za każdym razem...

— No więc, o co chodzi?

— O to, że daje, ale tylko rano i wieczorem, a w południe ani kropli i kopie, jak ją doić.

— Kopie... — jęknął Otrębus — to przykre.

— To jeszcze nie koniec.

— Jeszcze nie koniec! — doktor Otrębus poczuł, że nogi uginają się pod nim.

— Od Zielonych Świąt nie sprzątam podwórka — wyznała zawstydzona — palcem nie ruszyłam...

— Hm... — chrząknął Otrębus — to nie bardzo ładnie i higienicznie. Dlaczego pani nie sprząta?

— Bo wciąż wysprzątane. Takie, jakie je ostatnio zostawiłam. Czyste, zagrabione, wymiecione i posypane świeżym piaskiem. Samo się sprząta.

— Samo się sprząta... — powtórzył doktor Otrębus i spojrzał na wdowę z troską. — Jednak koniecznie będę musiał panią zbadać. Pani się musi leczyć.

Wdowa Biegańska znów otarła oczy.

— Wiem, że będę musiała się leczyć — szepnęła.

\* \* \*

Do poczekalni kolejowej wpadł wzburzony Michał, ciągnąc za sobą opierającego się

Światka.

— Daj spokój, ja nie chcę — błagał wystraszony malec.

— Musisz — powiedział ostro Michał — to przecież ohydna historia. Jak mogłeś tak się dać nabrać Zenonowi!

— On wcale mnie nie nabrał, on mnie naprawdę przyjął.

— A te pieniądze, które mu dałeś?... Co to było? Łapówka. Chciałeś go przekupić czy on zażądał?

— On sam, ale ja ci przecież tłumaczyłem...

Nagle umilkli, bo zobaczyli Zenona, który pędził do nich jak szalony. Na policzkach miał czerwone wypieki. Oczy mu błyszczały nienormalnie.

— Wiem... wiem już wszystko — zasapał przejęty — Bosman powiedział mi wszystko. Boże, kto by się domyślił, że to w takim miejscu!

— Powiedział ci o skarbie! — wykrzyknął Światek.

— Cicho, bo jeszcze kto usłyszy — obejrzał się trwożliwie Zenon.

— Powiedział ci?... Nie, bujasz. — Michał spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— No mówię ci — dyszał Zenon — wszystko wiem...

— Więc co ci powiedział, gdzie ten skarb? — niecierpliwie dopytywał ściszym głosem Światek.

— Nie... nic nie powiem. Obiecałem Bosmanowi, że dopiero jutro wam powiem i urządzimy akcję. Ale co wy tutaj właściwie robicie? — zorientował się nagle.

— Spotkałem tego smyka pod domem, wiesz, mieszkamy przecież koło siebie. Od razu się pochwalił, żeś go przyjął do związku. Nie chciałem wierzyć. Powiedz, czy to prawda?

— Tak, a bo co?

— Jak ci nie wstyd, Zenon.

— Jak Boga, nie rozumiem. O co ci chodzi?

— Coś ty za kombinacje robił z tym małym?

— Jakie kombinacje, przecież mówię. Po prostu go przyjąłem.

— Tak, naprawdę po prostu.

— Jak kocham myć nogi!

— Łzesz. Kazałeś sobie zapłacić.

— Nic podobnego.

— Zapierasz się. Wyludzileś od Adenauera sto dziewięćdziesiąt pięć złotych i dwadzieścia groszy. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego się łakomiłeś na te dwadzieścia groszy.

— Więc tak, bracie Piracie — zmarszczył brwi Zenon i spojrzał groźnie na Światka

— poleciałeś na skargę. Za to, że cię przyjąłem.

— Nie... ja nic... to Michał. Ja mu tylko powiedziałem, że zostałem przyjęty, a on nie chciał wierzyć i od razu, czym cię przekupiłem, i wyciągnął mi przemocą książeczkę PKO z kieszeni, no i sam się domyślił.

— Widzisz — powiedział z dumą Zenon do Michała — on się nie skarżył. My jesteśmy przyjacieli, co, Krótki? A Krótki Joe wie doskonale, że sto dziewięćdziesiąt pięć złotych i dwadzieścia groszy to jest kwota, którą się pobiera od nowo wstępującego.

— Na co?

— Zapytaj się Krótkiego. On ma kwity.

— Od kiedy pompujesz forszę od nowicjuszy?

— Od dzisiaj.

— Nie rób ze mnie idioty. Ten numer nie przejdzie. Nie pobieramy żadnych opłat i

**nie będziemy pobierać — rzekł Michał.**

**— Będziemy.**

**— Piraci się na to nie zgodzą.**

**— Zobaczymy. Zresztą, być może, kiedy odkopimy skarb, żadne opłaty nie będą już potrzebne — rzekł Zenon — wtedy zwrócę także pieniądze Krótkiemu.**

**— Zwrócisz teraz.**

**Zenon uśmiechnął się pogardliwie.**

**— Jesteś śmieszny. Wydaje ci się, że jesteś obrońcą uciśnionych, i myślisz, że ja te pieniądze dla siebie... Mnie... mnie osobiście wcale ta forsa nie jest potrzebna, a żeby ci udowodnić, oddam ją Krótkiemu. Zaraz mu ją oddam.**

**— Oddasz? — Michał spojrzał na niego podejrzliwie.**

**— Proszę, tu jest sto dziewięćdziesiąt pięć złotych, a tu jest dwadzieścia groszy — wyciągnął Zenon pieniądze i chciał dać Świątkowi.**

**— Nie chcę, wcale nie chcę tych pieniędzy — bronił się Świątek.**

**— Bierz — powiedział Michał, a widząc, że Świątek schował ręce, odebrał sam pieniądze od Zenona.**

**— No, jesteś zadowolony? — uśmiechnął się Zenon. — Ciekaw jestem tylko, co powie na to Bosman, i jak będziemy wyglądali teraz w jego oczach. To były przecież pieniądze na jego bilet do Gdyni. Taka była umowa. On nam zdradza tajemnicę skrzyń Szwajsa, a my go ekspedujemy do Gdyni i kupujemy mu bilet.**

**Michał przygryzł wargi.**

**— Ładnie zaplątałeś wszystko — powiedział.**

**— Zaplątałem, nie zaplątałem, ale teraz wyjdziemy na oszustów.**

**Michał wręczył pieniądze Świątkowi.**

— No bierz, to twoje.

— Bierz — powiedział Zenon — no, nie bój się.

— A... a będę mógł być w związku, nie wyrzucisz mnie?

— Pewnie, że będziesz mógł. Ty jesteś morowy chłopak, dlatego będziesz. Ja ci się przyznam, że przedtem to mnie chodziło o pieniądze i dlatego cię tak szybko przyjąłem, ale teraz poznałem cię dobrze i przekonałem się, że jesteś morowy chłopak, i nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy.

— A co będzie z Bosmanem? — zapytał Świątek.

Zenon patrzył ponuro w podłogę.

— Zapytaj się Michała.

Michał chrząknął zmieszany.

— Nie gniewaj się, Zenon — powiedział — ja wierzę, że ty nie dla siebie, ale przecież... nie wolno chłopakowi zabierać tych pieniędzy, czy ty tego nie rozumiesz? On by dał wszystko, żebyśmy go przyjęli, ale czy to ładnie go wykorzystywać? Honor Piratów przede wszystkim.

— Tere-fere, nie usprawiedliwiał się, teraz będziesz miał honor. Idź i wytłumacz wszystko Bosmanowi.

Michał spojrzał na Bosmana siedzącego w kącie, z walizką przy nogach. Paskudna historia. No, bo jak wytłumaczyć Bosmanowi że został nabrany?

Świątek stał z pieniędzmi w garści i patrzył niespokojnie to na kolegów, to na Bosmana. Nagle rzucił się do kasy biletowej.

— Proszę o bilet normalny do Gdyni — powiedział zadyszany.

— Co robisz — dopadł do niego Michał — zwariowałaś? — odciągnął go od kasy.

— Nie, ale ja wiem... ja wiem, co to znaczy, jak morze ciągnie człowieka — rzekł

**poważnie.**

**— Nie bądź śmieszny.**

**— Bosman musi pojechać... Zresztą obiecaliśmy. To są moje pieniądze i jak chcę, to mu kupię bilet, a tobie nic do tego.**

**Zenon uśmiechnął się zwycięsko i ścisnął Światka za rękę.**

**— Jesteś równy chłopak, Krótki — powiedział. — Wiedziałem, że nas nie zostawisz na lodzie i zadbasz o honor Piratów. Nie bój się nic. Przyrzekam ci, że dostaniesz z powrotem te pieniądze. To tylko pożyczka.**

**— Nie... — potrząsnął głową Świątek — te pieniądze należą do Piratów. Przecież ja dałem na koszty. Mam kwity. I nic nie chcę więcej... mam przecież kwity — powtarzał. — Tylko jak możesz i chcesz coś zrobić dla mnie, to zwolnij mnie od dożywiania. Ja strasznie nie lubię jeść. Dobra, Zenon?**

**— Potem o tym pomówimy, a teraz kupuj bilet, bo ta kasjerka patrzy na nas podejrzliwie.**

**Świątek znów doskoczył do okienka i poprosił o bilet do Gdyni.**

**Kasjerka wysunęła przez okienko głowę i przyjrzała się mu z bliska krótkowzrocznymi oczyma.**

**— Dzieciom nie sprzedajemy biletów nad morze i w góry — powiedziała.**

**— Dlaczego?**

**— Takie jest zarządzenie. W zeszłym roku dwu malców wybrało się bez wiedzy rodziców do Gdyni, w zimie znów cała czwórka z nartami uciekła nam do Zakopanego.**

**Dlatego nie sprzedajemy dzieciom.**

**— Ale ja nie dla siebie, ja dla jednego pana — tłumaczył zaczerwieniony Świątek.**

**— To niech ten pan sam tu przyjdzie.**

— A mnie pani też nie sprzeda? — Zenon wspiął się na palce i zrobił minę jak najbardziej „dorosłego”.

Kasjerka popatrzyła na niego i na Michała.

— Och, ciebie to ja znam — pogroziła palcem Zenonowi — i tego drugiego też. Ty jesteś wstrętny chłopak. Biegasz po błoniach i hałdach w czarnej chustce na głowie i krzyczysz. Na spacer nie można wyjść, odpocząć nie można, wszędzie pełnego waszego wrzasku. A poza tym postraszyłeś moją córkę trupa czaszką na chustce i piszczelami.

Obrzydliwy jesteś, chłopcze.

Zenon nie wiedział, co z sobą zrobić. Kto by pomyślał, że jest tak znany w Nieklaju.

Cofnął się jak niepyszny.

— Więc młodziej młodziej — chrząknął Michał — nigdzie się nie sprzedaje biletów? Przecież widziałem, jak kupowali.

— Sprzedaje się tylko do Końskich, do Skarżyska i do Opoczna — powiedziała kasjerka i zatrzasnęła okienko.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Zrobiło im się smutno. Zacisnęli wargi. Och, to straszne być dzieckiem. Dokąd jeszcze będą tymi dziećmi! Żeby jak najprędzej skończyć te czternaście lat.

Podeszli do Bosmana zakłopotani.

Świątek wetknął pieniądze Zenonowi, ale Zenon zwrócił mu je pośpiesznie.

— Sam wręczysz Bosmanowi, bo znów powiedzą, że cię nabieram — rzekł z goryczą i spojrzął na Michała.

Świątek położył pieniądze przed Bosmanem.

— Musi pan sam kupić bilet, bo nam nie chcą sprzedać.

Bosman spojrzął na nich zdziwiony, chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie do



poczekalni wszedł milicjant w towarzystwie niedużego, starszego człowieka, w którym chłopcy rozpoznali emeryta z ulicy Zapłotkowej.

— Niech się pan zasłoni — szepnął do Bosmana Zenon — to pewno po nas.

Bosman zasłonił się gazetą, a Zenon porwał Światka za rękę i, kryjąc się za ludźmi, wybiegł z poczekalni.

Michał został sam pośrodku poczekalni. Nie wiedział, o co chodzi. Tymczasem wśród pasażerów rósł niepokój i podniecenie. Ludzie szeptali coś do siebie, pokazując na milicjanta i emeryta.

— Co się stało? — zapytał Michał jednego z podróżnych.

— Znaleźli trupa w odpadkach użytkowych — wyjaśnił podróżny.

— Nie, to na ulicy Zapłotkowej przejechał pędem trup w wózku — wyjaśniła jakaś kobieta.

— Trup w wózku? — wytrzeszczył oczy Michał.

— Tak, w wózku Gabrysia.

— Przykryty był gazetami.

— Tylko noga sterczała — wyjaśniła przejęta kobieta. — Tak, proszę państwa, taka cicha była ulica, a tu się okazało, że mordują.

— Ja nie miałam nigdy zaufania do emerytów — powiedziała druga.

— I... i Gabryś go wywoził? — wyjąkał Michał.

— Nie, tylko jacyś chłopcy.

Michałowi coś zaczęło świtać w głowie, ale w tym momencie poczuł na swoim ramieniu dłoń milicjanta.

— Czy to ten? — zapytał przedstawiciel władzy emeryta.

Emeryt obejrzał uważnie przerażonego Michała.

— Nie, to nie ten — odparł — tamci wyglądali inaczej.

— A może się panu tylko zdawało, że to były zwłoki? — zapytał zniecierpliwiony milicjant.

— Nie, przecież mówię, tą ręką go dotknąłem.

— O Jezu, i nie bał się pan? — krzyknęła jakaś podróżna.

— Nie wiedziałem, że to zwłoki, przecież były przykryte gazetami.

— Hm — mruknął rozczarowany milicjant — więc nie odsłaniał pan w ogóle tych gazet?

— Nie miałem odwagi, panie sierzancie.

— Szkoda. Żeby pan chociaż zatrzymał tych chłopców.

— Jestem stary — rozłożył ręce emeryt — jestem bardzo stary — dodał smutno.

\* \* \*

Zenon biegł ze Światkiem ulicą Kolejową. Na rogu obejrzeli się. Nikt ich nie ścigał.

Odetchnęli z ulgą.

— No, to smaruj do domu — powiedział Zenon — jak na jeden dzień i tak miałeś dosyć przeżyć. Twój ojciec już cię pewnie szuka. Nie chcę cię mieć na sumieniu. Och... Za dużo już rzeczy mam dzisiaj na sumieniu. Co za dzień!

— O której jutro zbiórka?

— Jaka zbiórka?

— No, przecież idziemy po skrzynie Szwajsa.

— Prawda — Zenon przejechał ręką po czole — z tego wszystkiego już tracę pamięć.

Ech, nawarzyliśmy sobie piwa.

— No, więc kiedy wyruszamy?

— Nie wiem... nie wiem... mogę być przecież aresztowany — jęknął Zenon. — Ci

emerycy rozpuścili takie makabryczne plotki. Czekaj jutro w domu i nie wychylaj nosa. Jak wszystko się wyjaśni, to cię zawiadomimy.

Spojrzał na zegarek.

— Która godzina? — zapytał go Świątek.

— Pół do dziesiątej. Bosman już jest pewnie na peronie — mruknął Zenon i zamyślił się ponuro.

— Pół do dziesiątej — powtórzył pobladły Świątek. Rzeczywiście, nigdy o tej porze nie wracał do domu. Co powie ojciec? Jak mu to wszystko wytłumaczyć?

— Cześć, Zenon! — wykrztusił i co sił pognął do domu.

#### Rozdział XIV

Złe przeczucia nie zawiodły pani Biegańskiej. Ledwie zadyszana stanęła na ganku, do uszu jej dobiegło żalosne miauczenie kota. Barnaba, który zwykle wylegiwał się leniwie na ganku, biegł nerwowo ze zjeżoną sierścią wokół domu. Na widok gospodyni dopadł do niej i zaczął ocierać się wystraszony o jej nogi.

— Co się stało Barnabie? — zapytał doktor Otrębus.

Zatrwożona wdowa wzięła kota na ręce i pogłaskała, rozglądając się niespokojnie dookoła.

— Musiał widzieć coś, co go przestraszyło. To mądry kot. Bardzo mądry kot. Boże, czuję, że stało się jakieś nieszczęście!

Roztrzęsiona otworzyła drzwi, a potem spieszenie zaczęła się wspinać po trzeszczących schodach na poddasze.

Doktor Otrębus szedł za nią.

Pod drzwiami pokoju na facjatce nieszczęsna wdowa przystanąła, przyłożyła ucho do dziurki od klucza i nadsluchiwała.

— Nic nie słyhać — szepnęła — zwykle wzdycha, proszę pana, i postępuje, a teraz cicho. Musi być bardzo chory. Jezu... żeby tylko nie jakieś nieszczęście...

— Niechże się pani uspokoi. Niechże pani śmiało otworzy drzwi.

Biegańska drżącą ręką włożyła klucz do zamka — odemknęła drzwi i wydała rozpaczliwy okrzyk. W pokoju nikogo nie było.

— Jezus Maria... uciekł! Ogolił się i uciekł, z walizką. — Wdowa Biegańska pokazywała na ślady po goleniu, resztki piany z mydła i pustą szafę. — Zostawił tylko brudny ręcznik.

— To niemożliwe, jak, którędy?

— Pewnie przez okno.

— Co też pani opowiada! — doktor Otrębus wyjrzał przez okno.

Drabina była zdjęta i oczom doktora ukazał się widok czyściutkiego podwórza.

— Nie mógł przecież wyskoczyć — powiedział — to człowiek obłożnie chory.

— Nie wiem... nic nie rozumiem. — Wdowa ciężko usiadła na łóżku i opuściła bezradnie ręce. — Mówiłam, że tu się dzieją rzeczy nieczyste.

Doktor Otrębus zaglądał pod łóżko i za szafę, ale znalazł tam tylko tuzin butelek po piwie. Otrzepał spodnie i pomyślał z goryczą, że dola lekarza w Nieklaju jest bardziej pożałowania godna, niż można było przypuszczać.

— Niech pani tak nie siedzi — rzekł do załamanej kobiety. — Niechże pani pomyśli, jak i gdzie mógł uciec.

— Nie wiem... może się spuścił po sznurze... — rzekła zrezygnowana. — Jak był mały i nasz tatuś nieboszczyk zamykał go tu za karę, zawsze na sznurze od bielizny się spuszczał. Dlatego później jako marynarz na „Darze Pomorza” zasłynął w chodzeniu po linach i drabinkach sznurowych...

— Dobrze, dobrze... — zdenerwował się doktor Otrębus — ale to nie wchodzi tutaj w grę. Niech pani pamięta, że to jest człowiek chory... nie mógłby zejść... chyba... żeby ktoś mu pomógł... Tak, oczywiście, tu uknuto spisek. Podejrzewam, że ktoś wykradł pani brata.

— Jezus Maria... co też pan doktor... któż go mógł wykraść?!

— Nie wiem — powiedział Otrębus. — Ale musi pani pamiętać, że w okolicy działają Piraci. — Uśmiechnął się gorzko na wspomnienie zasadzki w Ogrodzie.

— Piraci? Co też pan doktor? — przeraziła się wdowa.

— Spokojnie — powiedział doktor — czy Bosman miał jakieś pieniądze?

— Nie.

— A więc nie mógł przecież wyjechać. Niech pani będzie dobrej myśli. Odnajdziemy go.

— Ale jak... jak, panie doktorze?

— Muszę odszukać Piratów i przycisnąć ich do muru.

— Piratów?... Nie boi się pan?

— Nie.

— Pójdę z panem.

— Nie, niech pani zostanie. Sam to załatwię.

— Nie wysiedzę z nerwów, panie doktorze.

— Niech pani zażyje te krople, które pani dałem, i niech pani czeka cierpliwie. Jeśli to zrobili Piraci, to jeszcze dziś dostanie pani Bosmana z powrotem. Wpadnę za godzinę i powiem pani, jak sprawy stoją.

— Och, panie doktorze — otarła oczy wdowa — niech panu Bóg wynagrodzi, ze świecą nie znajdzie się drugiego takiego człowieka, jak pan.

Otrębus chrząknął pod nosem i sprężystym krokiem ruszył w stronę drzwi.

\* \* \*

— Chłopaki, ktoś wyszedł z domu wdowy — szarpnął drzemiących w zaroślach

Piratów Marian.

Chłopcy ciekawie rozchylili gałęzie.

— To Otrębus — szepnął Tadzik. — Ale się śpieszy!

— No, to na co czekacie — syknął Marian — musimy go zatrzymać. Do roboty.

Wychodzić na drogę!

Doktor Otrębus wzdrygnął się i przetaił szkła. Jeszcze przed chwilą zdawało się mu, że droga jest zupełnie pusta, a tu nagle wyrosła przed nim gromadka chłopaków. Czyżby z jego wzrokiem było już tak źle? Kurza ślepotą, czyli niedowidzenie w półmroku? Nie, przecież ich teraz rozpoznaje wyraźnie. To chłopcy z Ogrodu. Na jego widok uklonili się grzecznie.

— Co wy tutaj robicie? — zapytał podejrzliwie Otrębus.

— Chcieliśmy... — zamruczał Długi Tomek, ale utknął ze strachu.

— Chcieliśmy zapytać się o zdrowie pana bosmana Rei — dokończył za niego Tadzik.

Doktor Otrębus zasapał. Dałby sobie głowę uciąć, że ma przed sobą Piratów, którzy maczali palce w tej całej brudnej sprawie. W pierwszej chwili chciał wziąć ich ostro na spytki, pomyślał jednak, że to nie dałoby rezultatów, rzekł więc zimno, patrząc im w oczy:

— Bosman Reja został porwany.

— Porwany, o raju!... — wykrztusił Tadzik. — Przez kogo?

— Przypuszczam, że bosman Reja został porwany przez Piratów, którzy grasują w okolicy.

Chłopcy spojrzeli po sobie z niepokojem. Czyżby Otrębus dowiedział się już

**wszystkiego?**

**Tymczasem doktor ciągnął dalej, nie przestając patrzeć im w oczy:**

**— Jest to wypadek haniebny. Ci okrutni ludzie porwali Bosmana, nie licząc się zupełnie z jego stanem zdrowia. Porwali chorego człowieka, który musi być pod opieką lekarza, i wzięli na siebie straszną odpowiedzialność za jego życie.**

**— Czy... czy on był naprawdę chory na tę amebę?**

**— Na jaką amebę? — zmarszczył brwi doktor.**

**— Na amebę tropikalną, którą zaraził się na wyspach Galapagos.**

**— Nie na amebę, ale jest ciężko chory.**

**— I... i może umrzeć?**

**— Tak, może umrzeć — odparł poważnie lekarz.**

**Spojrzeli na niego ze strachem. Zapanowała chwila ciszy.**

**— To okropne... — powiedział wreszcie Tomek — ale... ale może ci Piraci nie wiedzieli, że on jest tak bardzo chory.**

**— Może nie wiedzieli — zgodził się Otrębus — ale porywanie jest szkodliwe dla zdrowia nawet ludzi silnych.**

**— Ale przecież... przecież Bosman mógł sam namówić do tego Piratów. Może... może... ich wynajął...**

**— Albo... albo przekupił... — dodał Tadzik. — Piraci mogli nie być nawet tacy... tacy źli, panie doktorze — wyjąkał.**

**— Z pewnością. Wierzę w to — rzekł doktor. — Ale to była czarnorynkowa transakcja.**

**— Czarnorynkowa transakcja?**

**— Tak... bardzo mętna i ciemna...**

— Może... może oni mieli ważny powód... bardzo ważny. A poza tym nam się zdaje, że oni teraz żałują.

— Żałują? — Otrębus spojrział na nich nieufnie. — Już żałują, to prędko. —

Przygryzł wargi. — Czyżby ruszyło ich sumienie?

— Sumienie... też... ale... ale... poza tym im się zdaje, że zrobili zły interes.

— Zły interes? A to dlaczego?

— Bo bez Bosmana nie ma tutaj życia...

— Tak, nie ma życia.

— I w ogóle mydło, panie doktorze...

— Co? — zdumiał się doktor.

— Mydło.

Otrębus machnął ręką.

— Pan rozumie — dodał z westchnieniem Tomek i zdziwił się, że Tadzik kuksnął go w bok i daje mu jakieś ostrzegawcze znaki.

— Rozumiem... — przygryzł wargi Otrębus i zrobiło mu się nagle smutno. Nie, to jakaś głupia historia. Czyżby naprawdę zazdrościł Bosmanowi?

Zdjął okulary i przetarł oczy. Poczul się zmęczony. Bardzo zmęczony tym wszystkim.

— Niech pan się nie martwi — powiedział Tomek. — My znajdziemy Bosmana.

Myśmy postanowili go odnaleźć i sprowadzić z powrotem.

Otrębus spuścił wzrok. Przychwycił się na myśli, że wcale nie byłby zmartwiony, gdyby Bosman pojechał sobie stąd na koniec świata, ale szybko odtrącił tę myśl i powiedział głośno:

— O której godzinie będziecie z powrotem?



— Za pół godziny — odparli.

— Dobrze... Wobec tego wierzę wam i nie będę urządzał alarmu.

— A która jest teraz godzina? — zapytał Tadek.

— Za dwadzieścia dziesiąta.

— O Boże! — wykrzyknęli, — Nie mamy chwali do stracenia.

I rzucili się biegiem.

Otrębus patrzył za nimi zdumiony.

\* \* \*

— Aleś się wyglupił z tym mydłem i że życia nie ma — zasapał Tadzik, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od Otrębusa.

— Dlaczego? — zdziwił się Tomek.

— No, przecież Otrębus organizuje chłopcom te „ćwierć-kolonie” i wszyscy go za to chwalą, a ty: „życia nie ma, mydło”. Mówię ci, jakby w niego piorun uderzył, od razu humor stracił.

— Myślisz, że będzie się teraz mścił? — zapytał stropiony Tomek.

— No, a co myślisz. I na Bosmanie sobie na pewno odbije.

Chłopcy pograżyli się w ponurych rozważaniach na temat konsekwencji, jakie może spowodować niefortunne wyznanie Tomka.

\* \* \*

Gwizd lokomotywy i dudnienie stalowych kół po szynach wyrwało ich z tej dyskusji.

— To pociąg do Gdyni — powiedział z niepokojem Tadzik.

— Co ty mówisz? Odjechał — zmartwiało Tomek.

— Nie, dopiero nadjeżdża ze Skarżyska, ale przecież wiesz, że u nas pociągi zatrzymują się tylko na jedną minutę.

**Przerażeni przyspieszyli biegu.**

**— Nie zdążymy już chyba — zadyszał Odjemek Większy.**

**— Na pewno nie zdążymy — powtórzył rozpaczliwie Odjemek Mniejszy.**

**Byli już niedaleko. Przed nimi w wykopie migotały czerwone, fioletowe i zielone światełka na torach.**

**— Krótszą drogą — wykrztusił Tadzik — od razu na perony.**

**Przebiegli bocznice kolejowe, prowadzące do fabryki, i zziajani wpadli na opustoszały peron.**

**— Pociąg do Gdyni — wykrztusił Tomek do przechodzącego kolejarza z latarnią.**

**— Odjechał przed chwilą — odparł kolejarz.**

**— Odjechał — chłopcy spojrzeli na siebie z rozpaczą. Osowiali powlekli się do poczekalni. Opadli ciężko na ławkę, Wszystko na nic. A więc tak się skończyło. Koniec Wielkiej Zabawy. Co teraz powiedzą Otrębusowi? Jak się wytłumaczą przed wdową?**

**A potem obleciał ich strach. Co będzie, jak Bosman nie przetrzyma tej podróży?**

**Przecież Otrębus powiedział, że ta jazda może go wykończyć. To byłoby okropne. Jutro w gazetach napiszą: „W pociągu znaleziono zwłoki mężczyzny”. „Tajemnicza śmierć marynarza w wagonie”. „Kto ułatwił ucieczkę Henrykowi Rei?”. A może nawet nie uwierzą, że Bosman wszedł żywy do pociągu, bo przecież ci emeryci pewnie już narobili plotek, że chłopcy wieźli trupa w wózku. Tak, z tego może być straszna historia. Nie powinni siedzieć w tej poczekalni. Może ich już szukają. Lepiej od razu schować się w jakąś dziurę. Zerwali się z ławki... ale było już za późno.**

**— To oni! — krzyknął ktoś przeraźliwie.**

**Chłopcy zdrętwieli. Poznali emeryta z brodą. Wybiegł właśnie zza skrzydeł wielkiego obrotowego rozkładu jazdy, widocznie stamtąd śledził podróżnych na sali.**

**Jednocześnie w drzwiach stanął jak na złość milicjant.**

**— Znów pan zaczyna — mruknął do emeryta.**

**— To oni. Tym razem nie może być pomyłki, panie sierżancie. Poznają ich wszystkich — dyszał podniecony emeryt. — Ten długi — pokazał na Tomka — ciągnął moją kozę za ogon, a tamci bronili dostępu do zwłok. Tak jest, panie sierżancie, bronili dostępu do zwłok i udawali, że kupują starzyznę.**

**Milicjant spojrział groźnie na chłopców.**

**— Czy to prawda? — zapytał.**

**— Nie. My nie wieźliśmy zwłok.**

**— Nie wieźliście! — wykrzyknął emeryt. — Sam za nogę nieboszczyka złapałem.**

**— To nie był nieboszczyk — odparł przestraszony Tadzik.**

**— Więc co to było?**

**— To było... to było... — chłopcy jękali się przestraszeni. Nie chcieli zdradzić Bosmana.**

**— Nie zaprzeczycie przecież, że tam była noga — powiedział emeryt.**

**— No tak... noga była — wyjąkał Tomek.**

**— A więc było i ciało.**

**— No, tak było ciało... ale... ale...**

**— Ale żywe ciało — dodał Tadzik.**

**— Żywe ciało? — zdumiał się milicjant. — Czyje?**

**Chłopcy znów spojrzeli po sobie. Czuli, że już się nie wykręcą.**

**— To było... to było ciało Bosmana, panie sierżancie — wyjąkał Tadzik.**

**— Jakiego bosmana? — zmarszczył brwi milicjant.**

**— Pana Henryka Rei.**

— Zaraz — przypomniał sobie milicjant — to ten stary marynarz?

— Właśnie.

— Więc przyznajecie, że wieźliście marynarza Henryka Reję?

— Tak, proszę pana.

— Wieźliście go na wózku przykrytego gazetami?

— Tak.

— I na leżąco?

— Tak.

Milicjant zdjął czapkę, potarł sobie czoło i westchnął:

— Niesamowita historia. Może mi z łaski swojej powiecie, co to wszystko znaczy.

Chłopcy wiercili się niespokojnie. Uciekali z oczami.

— No, odpowiadajcie — powtórzył groźnie milicjant.

— Panu Rei było zimno — wyjąkał Tadzik — i dlatego...

— Dlatego przykryliście gazetami?

— Tak.

— Zdziwiająca troskliwość. I co za niezwykle pomysł. A dokąd go tak wieźliście?

— No... tak sobie... — bąknął Tomek.

— Na spacer — dodał Tadzik.

— Na spacer wieźliście marynarza. No, to bardzo ładnie z waszej strony — wycedził milicjant, a w oczach jego zamigotały wesołe ogniki. — A można wiedzieć, dokąd go zawieźliście?

— No, tutaj. Ale...

— Ale co?

— Ale on chyba wyjechał do Gdyni.

— Ech, wy mi coś kręcicie — milicjant przyglądał się uważnie chłopcom — to jakaś podejrzana sprawa. Pójdziemy na komisariat.

Chłopcy zdrętwieli. Lecz w tym momencie emeryt z brodą zbladł i chwycił milicjanta za rękę.

— Co się panu stało? — zapytał niespokojnie milicjant.

— Tam... tam... — wybelkotał, pokazując gdzieś w kąt poczekalni — tam są zwłoki.

— Co pan? — wzdrygnął się milicjant.

— Te żółte buty... Poznałem je... — Emeryt pociągnął milicjanta w kąt poczekalni.

— Niech pan patrzy. Boże... to on.

Snop światła padał w mroczny kąt poczekalni i oświetlał rzeczywiście nieruchome, szeroko rozstawione nogi w żółtych butach. Buty opierały się obcasami o podłogę. Ich czuby były uniesione. Wydawało się, że ich właściciel leży na wznak. Ale nie było go widać.

Zasłaniali go jacyś mężczyźni siedzący przy stoliku plecami do poczekalni. Resztę krył głęboki cień.

Chłopcy patrzyli oniemiałi. Tak, nie było żadnej wątpliwości: to były buty Bosmana.

Milicjant wpatrzony w nie postąpił krok naprzód. Buty schowały się pod stolik.

Sierżant drgnął.

— Co mi pan opowiada?! — wykrzyknął zdenerwowany do emeryta z brodą. —

Przecież ten człowiek żyje. Proszę odsłonić — zwrócił się do ludzi przy stoliku.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy.

Nie, to nie było złudzenie. W mrocznym kącie za stolikiem zastawionym butelkami i zakąskami siedział bosman Reja we własnej osobie w towarzystwie dwu podchmielonych osobników. Na widok przedstawiciela władzy osobnicy wstali i dali pośpiesznie nogę.

— Czy pan jest Henrykiem Reją? — zapytał sierżant.

— Tak — wymamrotał Bosman.

— Czy to ci chłopcy przywieźli tutaj pana?

— Tak — rzekł zakłopotany Bosman — to dobrzy chłopcy, zabrali mnie na spacer.

— W wózku dwukołowym?

— Nie każdy może sobie pozwolić na taksówkę — chrząknął Bosman.

Milicjant chciał coś powiedzieć, ale tylko spojrzął z wyrzutem na emeryta z brodą, pokręcił głową i westchnął.

— Jestem już stary — rzekł z nieszczęśliwą miną emeryt — jestem już bardzo stary

— szepnął smutno.

— No, dobrze już, dobrze — mruknął milicjant i odszedł. Za nim, tłumacząc się, wybiegł emeryt z brodą.

\* \* \*

Chłopcy zostali sami z Bosmanem. Patrzyli na siebie — chłopcy na Bosmana, a Bosman na chłopców — w milczeniu.

— Pan nie wyjechał — wykrztusił wreszcie Tadzik.

Bosman chrząknął zakłopotany.

Chłopcy utkwili wzrok w butelce i przygryźli wargi.

— Przepił pieniądze na bilet — szepnął ponuro Marian.

— Po co pan to zrobił, Bosmanie? — zapytał zdławionym głosem Tadzik.

Bosman spuścił głowę. Miał spuchnięte powieki, nabrzmiałą twarz. Oddychał z trudem.

— Chciało mi się pić — zachrypił cicho — namówili mnie na jednego... gorąco było... miał być tylko jeden... jeden z wodą sodową... a potem wypiliśmy całą butelkę i już nie starczyło na bilet.

**Chłopcy nie wiedzieli, czy mają się cieszyć, czy smucić z takiego obrotu sprawy.**

**— No, to... no, to musi pan wracać — rzekł wreszcie Tadzik.**

**— Tak, muszę wracać — zgodził się Bosman.**

**Pomogli mu się podnieść. Oparł się ciężko rękami o stół i wyjął z kieszeni garść zmiętych banknotów i bilonu.**

**— Weźcie... — powiedział.**

**— Nie... to przecież pana. Była umowa.**

**— Zabierzcie — zasapał — widzicie, że mnie nie wolno dawać pieniędzy... przeklęte pieniądze! — rzucił je z jakąś złością.**

**Wzięli go pod ręce i wyprowadzili na dwór. Tory błyskały kolorowymi światełkami sygnałów. Ich kolorowe oczy jarzyły się kusząco i tajemniczo. Gdzieś daleko gwizdały pociągi. Bosman zatrzymał się. Popatrzył. Głowę spuścił na piersi. I wszystkim zrobiło się bardzo smutno.**

**Ulicą jechał wóz chłopski. Zatrzymali go.**

**— Podwiezie pan chorego? — zapytali woźnicę i pokazali mu monetę.**

**— Dokąd?**

**— Na Zapłocie.**

**— Wsiadajcie.**

**Załadowali Bosmana i pojechali.**

**Droga była wyboista. Marynarz pojękiwał na słomie. Mówił coś do siebie. Rzucił oderwane słowa. Jakieś rozkazy... zaklęcia.**

**— Dokąd mnie wieziecie? — patrzył na nich nieprzytomnie. — Złoto to fałszywy kompas. Nie zbaczajcie z kursu. Macie zdrowe ręce... młode głowy... po co wam... nie zbaczajcie z kursu.**

— Majaczy — mruknął ponuro Tadzik.

— Musi mieć dużą gorączkę — dodał Marian. — Biedny Bosman.

\* \* \*

Przed domem Bosmana ujrzeli poruszające się światło. To zrozpaczona wdowa nie mogła już, widać, usiedzieć z niepokojem o brata i wybrała się sama na poszukiwania z ogromną, staroświecką latarnią. Kiedy zobaczyła Bosmana, prowadzonego przez chłopców, nie chciała oczom wierzyć. Zupełnie zaniemówiła.

Chłopcy w milczeniu odprowadzili półprzytomnego marynarza do izdebki na poddaszu. Ułożyli go troskliwie na łóżku.

Wdowa patrzyła na nich coraz bardziej zdumiona.

— Jak to, to wy... — wykrztusiła wreszcie.

— To my.

— Skąd wiedzieliście, że Bosman... kto wam powiedział?

— Nikt... my... my sami...

— Kochane chłopaki! — szepnęła. — Jakże ja wam się odwdzięczę. Głodniście pewnie. Zaraz wam przyniosę mleka, sera i konfitur.

Chłopcy cofali się zawstydzeni. Gdyby ona wiedziała!

— Dziękujemy, już późno, proszę pani, bardzo późno...

— Poza tym... poza tym... — dodał Tadzik. — Pan Reja ma gorączkę. Musimy biec po doktora.

— Pan doktor Otrębus zaraz tu będzie. Powiedział, że po dziesiątej wróci.

— No, to... no, to my już pójdziemy — powiedzieli spłoszeni chłopcy. Nie mieli wcale ochoty spotkać się jeszcze raz z Otrębusem.

Wdowa odprowadziła ich aż na ganek, nie przestając dziękować.



— A nie zapomnijcie odwiedzać nas jak najczęściej — powiedziała na progu — ta choroba to dla Bosmana nieszczęście. Rozumiecie, uwięziony w łóżku. A on do innego życia przywykł. Całe życie był w ruchu, a teraz taka niewola. Bardzo mu się przykrzy. Więc odwiedzajcie go i pilnujcie. Bo on tu musi mieć jakichś złych kolegów, którzy mu przemycają zabronione jedzenie, a nawet piwo. Znaleźliśmy pełno pustych butelek. Podobnież jacyś piraci. Tak mówi pan doktor Otrębus, że jacyś piraci. Och, żebym ja tych gałganów w swoje ręce dostała. Przez złych kolegów i przez wódkę wszystko. Ta wódka go zgubiła... Nie taki przecież stary człowiek. Tylko, że życie miał ciężkie. Jeśli on teraz dla was przykry... bo to przykry człowiek i zgryźliwy, to z tych nieszczęść... Wielkie nieszczęścia go kiedyś spotkały. I dlatego taki się zrobił. Więc wy go pilnujcie, żeby doktora nie oszukiwał i nie jadł ani nie pił, czego mu nie wolno.

— Dobrze, proszę pani — rzekli przygnębieni chłopcy — myśmy to już sobie postanowili Będzie na... na ścisłej diecie. Choćby się na nas pogniewał.

Na ścieżce rozległ się chrzęst kroków.

— No i co nowego? — usłyszeli zadyszany głos Otrębusa.

Chcieli uciekać, ale Otrębus już ich zobaczył i świecił im w oczy latarką.

— Cóż to nosy takie zwieszane na kwintę? Nie znaleźliście zguby? — zapytał.

— Ale gdzie tam... panie doktorze — odezwała się wesoło wdowa. — Oni by czego nie znaleźli! To takie chłopaki, że tylko do serca przyłożyć.

— Hm — chrząknął doktor i pobiegł bez zwłoki na górę.

Chłopcy w pierwszej chwili chcieli się szybko ulotnić, ale niepokój o zdrowie Bosmana przeważył. Postanowili zostać i poczekać, co doktor powie. Z ciężkim sercem pomyśleli, że ostatecznie nic nie ryzykują. I tak już zostali rozpoznani przez doktora. I jeśli ma im wlepić paternoster i zdemaskować przed wdową, to niech to robi od razu.

Po kilku minutach Otrębus powrócił na ganek. Spojrzał na chłopców bystro.

— Gdzie go znaleźliście?

— Na stacji.

— Przy butelce?

Przygryźli wargi.

— Tego się właśnie obawiałem.

— Co z nim, panie doktorze?

— Teraz źle. Dostał parę solidnych zastrzyków. Jeśli weźmiemy się razem za niego — powiedział powoli, patrząc im w oczy — to może postawimy go jeszcze na nogi. No, więc jak? Pomożecie mi?

— Pomożemy.

— Słowo?

— Słowo, panie doktorze.

— Cóż pan doktor tak ich przyciska — oburzyła się wdowa — jakby pan doktor nie dowierzał... Przestraszył ich pan... Czemu pan się na nich tak patrzy?

— Niech pani spojrzy na ich gęby — uśmiechnął się doktor. — Czy można takim umorusanym gębom wierzyć? Czarna dusza przez nie wyziera.

— Co też pan doktor... co też pan — wdowa przytuliła macierzyńskim ruchem do piersi Odjemka Mniejszego, który stał najbliżej. — Ja też dawniej do nich serca nie miałam, bo tylko z krzykiem i kijami po polach biegali, ale teraz widzę, że to złote serca...

„Złote serca” stały z niewyraźnymi minami i patrzyły spode łba na doktora, przestępując z nogi na nogę. Żeby tylko ich nie wydał!

— Oni się wykrzyczą, wybiegają — ciągnęła wzruszona wdowa — ale biednemu człowiekowi pomogą... Pan doktor wie najlepiej. Pan doktor przecież ich odmienił. Znać

**rękę pana doktora. Cały Nieklaj o tym mówi.**

**Otrębus skrzywił się gorzko, chciał coś powiedzieć, ale tylko chrząknął.**

**— Jedno, co mnie dziwi — zakończyła wdowa — to jak oni dali sobie radę z tym**

**Bosmaniskiem i z tymi piratami, którzy mu pomagali... Nigdy bym nie pomyślała, że oni to potrafią.**

**— Tak — pokiwał głową Otrębus — ja bym też nie pomyślał. To było wspaniale**

**zrobione — mruknął patrząc znacząco na chłopców. — Ale, widzi pani, Piraci to bardzo**

**tajemniczy ludzie i jeśli ktoś zna ich w Nieklaju, to chyba tylko nasi chłopcy. I dlatego tylko im mogła się udać ta sztuka.**

**— Znacie piratów? — przestraszyła się wdowa.**

**— Trochę — wykrztusił Tadzik.**

**— Tak zupełnie... zupełnie niedużo — dodał Tomek cicho.**

**Wdowa popatrzyła na nich z podziwem, a Otrębus zaśmiał się szyderczo i chłopcy**

**zrozumieli, że się wszystkiego domyślił. Dlaczego więc nie powiedział wdowie? Czyżby**

**naprawdę porządny chłop był z tego Otrębusa?**

**Na wszelki wypadek wycofali się pośpiesznie.**

**\* \* \***

**Na szosie usłyszeli znajomy gwizd. To Zenon. Przyjechał na rowerze i czekał pod drzewem.**

**— Co wy tu jeszcze robicie? — pytał niespokojnie, patrząc w oświetlone okno**

**facjaty domu pani Biegańskiej. — Szukam was wszędzie.**

**Opowiedzieli mu całą historię.**

**— O, raj — Zenon wytrzeszczył oczy — a to heca! Więc Bosman nie pojechał! —**

**wykrzyknął rozradowany.**

— A co ze skarbem? — przypomniał sobie nagle Tadzik.

— To wy jeszcze nie wiecie? — uniósł do góry brwi Zenon. — Bosman wam nic nie mówił?

— Nie.

— Nie pytaliście go?

— Majaczył coś o złocie... ale był prawie nieprzytomny, jak mogliśmy go pytać w takiej sytuacji.

— Zresztą... zresztą — dodał Tomek — jakoś zapomnieliśmy z tego wszystkiego o skarbie.

— Zapomnieliście o skarbie? — zdziwił się Zenon.

— No, nie rób takiej miny — zdenerwował się Tadzik — i gadaj, czy się coś dowiedziałeś.

— Pewnie, że się dowiedziałem. Bosman wszystko zeznał.

— Zeznał? Opowiadaj. Więc ten skarb jest?

— Jest.

— Gdzie? — otoczyli go podnieceni. — No, mów.

— Bosman, jak wiecie, pracował podczas okupacji u starego Szwajsa, w Ogrodzie... I wtedy... na trzy dni przed wycofaniem się Niemców, widział... Ja mam to dokładnie zapisane... — potrząsnął kartką — widział, jak Szwajks kazał schować skrzynie do schronu w ogrodzie. Na własne oczy widział to.

— Do schronu! Jakiego schronu?

— Tam był dawniej podziemny, fabryczny, stary kanał, z różnymi odnogami, już dawno nieczynny. Podczas wojny Szwajks kazał go przerobić na schron przeciwlotniczy i tam właśnie kazał schować...

— Ale gdzie jest wejście do tego kanału?

— Pewnie gruzy je zasypały i zarosło, ale mam zapisane, gdzie go szukać... Chodźcie bliżej, to wam powiem...

Zaczął szeptać im coś długo na ucho.

## Rozdział XV

Andrzej Kszyk leżał w ubraniu na łóżku. Chociaż już dawno umilkła wieczorna syrena, z fabryki wciąż dochodziło głuche dudnienie mechanicznego młota. A więc kuźnia pracuje dzisiaj na trzy zmiany, to znaczy, że ojciec na pewno nie wróci już dziś do domu.

Będzie pracował do późna w nocy, a potem prześpi się parę godzin w laboratorium.

Normalnie to by Andrzeja zmartwiło, ale tym razem pomyślał z ulgą, że to dobrze — będzie sam w domu. Spojrzał na zegarek. Było pół do jedenastej. Doktor Otrębus pewnie jest na bridżu i też prędko nie wróci. A więc wszystko doskonale się składa.

Andrzej wyskoczył z łóżka i przejrzał się w lusterku. Nos wyglądał bez zmian. Wciąż kartofel. Za to oko znacznie lepiej. Zimne okłady pomogły i opuchlizna ustępowała. Guz na czole nabral piękny śliwkowy kształt i koloru.

„Ale się urządziłem — pomyślał wściekły. — No, niech ja tylko dostanę tego Michała w ręce. I z tą Anką osobno się porachuję. To naprawdę dzikusy”.

Ale teraz już czas. Poprawił leukoplasty na szczęce, poruszył nosem... Maska nie twarz. Całe szczęście, że ojciec go nie widzi w tym stanie. Andrzej wyobraża sobie, co by to było! Ojciec i tak ledwo toleruje jego zabawy z chłopakami. Zdaje mu się, że Andrzej wciąż jeszcze jest chorowitym i słabowitym chłopcem, takim, jakim był we wczesnym dzieciństwie, kiedy to ciężko chorował na dyfteryt.

Wciąż powtarza: „Tu się kręcą jakieś zakazane małoletnie gęby, uważaj, żeby cię nie skrzywdzili”. I co najbardziej zabawne, wcale nie wie, że właśnie on, Andrzej, jest hersztem

tych „zakazanych, małoletnich gęb”.

Ojciec w ogóle mało wie. Nie wie także na przykład, że on sani zrobił Andrzeja wodzem, bo tak długo doskwierał mu swą troskliwością, uwagami, tak wmawiał Andrzejowi, że jest delikatny, nieodporny i słaby, aż Andrzej zaczął uciekać z domu, ćwiczyć ciało i próbować swoich sił w zabawach z chłopakami. Tak, że wkrótce wszystkich prześcignął.

Ale Andrzej wybacza wszystko ojcu. Biedny tata, to po śmierci mamy stara się tak wynagrodzić mu brak matczynego serca, że aż przesadza z tą troskliwością. Andrzej zrozumiał to dawno. I dlatego nie chciałby ojcu robić przykrości skandalicznym wyglądem swojej twarzy. No nic, uszy do góry. Może do jutra wszystko skłębnie.

Ubrał się ciepło. Noc może być chłodna, włożył sweter, wiatrówkę, grube skarpety i buty gumowe.

Za pas wsunął pistolet-straszak, porwał latarkę elektryczną i popędził do drzwi.

Szarpnął je mocno...

Co za pech! W drzwiach, dosłownie w drzwiach, zderzył się z doktorem Otrębusem, a ściślej z różami, które doktor trzymał w ręku. Chciał swoim sposobem prześliznąć mu się pod pachą, ale był za mało szybki dla doktora. Otrębus miał błyskawiczny refleks. Złapał go za kołnier jak szczeniaka, wepchnął do pokoju i zatrzasnął drzwi. I wtedy na domiar złego — nieszczęścia chodzą parami — wypadł Andrzejowi straszak.

Otrębus podniósł go z podłogi ostrożnie, jakby się bał, że wystrzeli.

— Co to jest?

— Co? — Andrzej udał, że nie wie, o co chodzi.

— No, to! — Otrębus wyciągnął z rękojeści magazynek.

— A to... to jest straszak, no, taka zabawka.

Otrębus wyjął z magazynka nabój i przekonał się, że jest bez kuli.

— Rozumiem, wszystko rozumiem — wycedził powoli i zimno, patrząc na żalösne sińce, zadrapania i przylepce na obliczu Andrzeja. — Powiedz tylko, gdzie masz czarną chustę?

Widocznie sądził, że udało mu się zdemaskować Pirata.

— Jaką chustę?

— No tę, co zakładasz na głowę w czasie wybryków.

— Słowo daję, że nie mam. Nie jestem Piratem. Musiał pan się pomylić.

— A te znaki szczególne na twojej szlachetnej twarzy?

Andrzej zmieszał się.

— To... to — wybelkotal, a potem, jękając się, zaczął tłumaczyć pospiesznie. —

Wywalilem się z rowerem, proszę pana, słowo daję, prosto na gałęzie i pokrzywy, i na żwir.

— Nagle urwał, bo zląkł się, że Otrębus gotów jest mu zaaplikować jakieś zastrzyki. Więc dodał szybko: — Ale żwir był czysty, proszę pana, a ja się umyłem w wodzie utlenianej.

Całą twarz sobie umyłem. Strasznie mnie szczypało.

— Dobrze, dobrze — skrzywił się Otrębus. — Powiedz lepiej, gdzie chciałeś wyjść o tej porze?

— Nigdzie...

— No, przecież wychodziłeś.

— No, bo... bo... zdawało mi się, że... że ktoś chodzi po dachu — skłamał z ciężkim sercem.

— Po dachu? — Otrębus spojrział odruchowo do góry.

— Tak, po dachu, i chciałem sprawdzić.

— Kto by mógł chodzić po dachu?

— Nie wiem. Może złodzieje. Ojciec mówił, że niedawno nakryli w fabryce złodziei, co kradli stopy szlachetne, no to tu też mogą być złodzieje. W tym okropnym Nieklaju pełno jest złodziei — rzekł z przekonaniem.

— Idź spać. Jutro mamy przecież ostatnią i generalną próbę Bitwy Grunwaldzkiej

— doktor wstawił róże do wazonu i powąchał.

— To pewnie dla panny Bożeny, prawda?

Zamiast odpowiedzi, doktor rzekł ostro:

— Nogi!

Nie ma rady, Andrzej musi zdjąć buty, skarpetki i pokazać nogi.

Otrębus przy każdej okazji kontroluje czystość.

— Dobrze — szepnął zadowolony Otrębus — ostatnio zawsze masz czyste nogi. To bardzo dobrze. — Dla pewności zajrzał jeszcze Andrzejowi do uszu. — A teraz do łóżka.

I znów nie ma rady. Andrzej wchodzi do łóżka. Doktor Otrębus bada jeszcze szczoteczkę do zębów Andrzeja, czy była dziś w użyciu, i stopień wilgotności ręcznika.

Badanie wypadło widać zadowalająco, bo Otrębus zabiera się do własnych porządków i bojowo wkracza do łazienki, by wziąć dziesięciominutową kąpiel.

Kłęby pary, żywiczny zapach i bulgotanie dobywające się stamtąd, świadczą, że i dzisiaj przebiega wszystko zgodnie z planem.

Wreszcie doktor wychodzi, nucąc pod nosem „Kaczuszkę”, co wskazuje na jego dobry humor i całkowite zadowolenie z siebie.

Teraz otwiera okno, robi parę przysiadów z jednoczesnym wyrzuceniem ramion, by przewietrzyć płuca, z kolei sześć razy rozciąga sprężyny treningowe dla wzmocnienia mięśni, następnie dokonuje wpisu notatek do dziennika, gdyż od lat skrupulatnie prowadzi dziennik, potem jeszcze kilka razy staje na rękach pod ścianą, wreszcie nakręca zegarek,



kładzie się do łóżka zdrowy i pelen tężyzny, i w równe pięć minut potem usypia. Już taki jest dokładny.

Andrzej ma nieraz ciężkie życie z doktorem Otrębusem, ale podziwia go bez zastrzeżeń. Czytał kiedyś opowiadanie, jak ludzie będą wyglądać za sto lat, i doszedł do wniosku, że tak, jak doktor Otrębus. Będą tacy właśnie: zdyscyplinowani i podporządkowani wskazaniom nauki, rozsądni w każdym calu jak doktor Otrębus. Nie ulega wątpliwości, że doktor Otrębus jest człowiekiem jutra. Oczywiście, nie wszyscy to doceniają. Niedawno słyszał, jak ojciec rozmawiał z dyrektorem Ankwiczem na temat zdumiewającej osobowości doktora Otrębusa. Dyrektor Ankwicz rozkładał bezradnie ręce i mówił, że normalny doktor nie wytrzymałby w Nieklaju nawet pół dnia, trzeba więc znosić cierpliwie wysoki geniuszu Otrębusa. I tylko się pocieszał, że, być może, małżeństwo z panną Bożeną obniży nieco górny lot doktora.

Andrzej słuchał tego wszystkiego czerwony z oburzenia i wstydu za starszych. Że też oni nie rozumieją, że to właśnie doktor Otrębus jest wspaniały i wielki, a nie oni. Doktor Otrębus jest nowoczesny i doskonały. Wszystko, co robi, jest zaplanowane, pożyteczne, zdrowe i uzasadnione naukowo. Gdyby móc dorównać doktorowi! Andrzej nieraz marzy o tym i dlatego poddaje się zabiegom wychowawczym doktora, choć nieraz z ciężkim sercem, ale przecież bez szemrania.

I ciągle postanawia sobie, że od jutra będzie takim samym człowiekiem, jak doktor.

A teraz już nawet przysięgł sobie uroczyście, że to będzie jego ostatnia, niezaplanowana akcja. Zresztą na pewno wszyscy mu ją wybaczą. I na pewno po tej akcji doktor Otrębus spojrzy na Andrzeja z dumą. Bo to będzie wielka rzecz.

Gdyby tylko miał więcej pewności, powiedziałby o niej i ojcu, i doktorowi. Niestety, to nie jest pewność, zaledwie przypuszczenie... małe poszlaki, ale dzisiaj powinien jednak

**zdobyć pewność.**

**W każdym razie, skoro już ma takie podejrzania, jego obowiązkiem jest sprawdzić.**

**Któż to może zrobić za niego? Te szczeniaki, Tubylcy, zajęci beznadziejną, głupawą zabawą w Piratów? Andrzej gardzi wszystkimi zabawami na niby. Jest już dość dorosły, żeby robić prawdziwie wielkie rzeczy.**

**Ostrożnie wychylił głowę. Doktor spał w sposób zdrowy i racjonalny jak zawsze.**

**Andrzej okręcił walek od tapczanu w koldrę i położył na pościeli. To na wszelki wypadek, gdyby nie zdołał wrócić przed czasem. Doktor wstaje dość wcześnie i mógłby zauważyć jego nieobecność.**

**Ubrał się z powrotem i na palcach przemknął przez pokój. Doktor Otrębus gwizdał lekko na łóżku i uśmiechał się przy tym, co wskazywało, że śni jakiś przyjemny, z pewnością zaplanowany sen.**

**Nagle rozległ się łomot i gruchot. Andrzej zdrętwiał. Boże, ten pech go nie opuszcza!**

**Potrącił wazon z kwiatami i stłukł go.**

**Doktor Otrębus siadł na łóżku.**

**— Niech pani się nie obawia — wymamrotał — to tylko spadł astrobolid, osłonię panią ramieniem.**

**Andrzej odetchnął. Otrębus widocznie śnił tylko dalej swój bohaterski sen. Andrzej zebrał szybko skorupy z podłogi. Na szczęście wazon rozbił się na trzy duże części. Potem starł wodę. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z kwiatami, wreszcie włożył je do lodówki.**

**\* \* \***

**Spiesznie zbiegł po schodach... Brama, oczywiście, była zamknięta, lecz od dawna nie używał już bramy do przechodzenia. Od czego ostatecznie jest ta dziura w siatce**

**ogrodzenia, doskonale kryta zaroślami?**

**Przemknął się wzdłuż ogrodzenia aż do dziury. Przełożył głowę... Co jest, u diabła, czy mu się zdawało, czy dziura załatana jest drutem? Nie, to tylko jeden drut w poprzek.**

**Szarpnął go i zerwał łatwo. Prześliznął się przez ogrodzenie i pobiegł ścieżką w dół.**

**\* \* \***

**Michał drgnął gwałtownie. A więc jednak się zdrzemnął. Co za słaba wola! Ale dzwonek nie zawiódł. Fachowa robota. Przetarł gwałtownie oczy. Czy tylko rodzice się nie zbudzili? Nie powinni nic słyszeć, bo drzwi były zamknięte. Przez chwilę nasłuchiwał. Tak, zupełnie cicho, można iść.**

**Szybko zbiegł na dół. W kilkanaście sekund był już koło dziury w płocie i obejrzał zerwany drut. Co za brutal ten Andrzej! Zepsuł urządzenie. Ale nie było czasu na medytację. Daleko, w świetle księżyca, widać było znikającą postać. Michał puścił się za nią w pogoń. Więc jednak się nie mylił. Ten Kszyk ma swoją tajemnicę.**

**Biegli na przelaj przez haldę, potem Wielkim Kanionem. Minutę później Michał nie miał już wątpliwości, że Kszyk biegnie do Ogrodu. Kieruje się w stronę strumienia. Czyżby poznał już przejścia?... Przy Bagnie prześliznął się pod murem. Dokąd tak spieszy?**

**Naprawdę po skarb Szwajca? Ale dlaczego sam i bez narzędzi. A może już niepotrzebne?**

**Może już się dokopał i teraz chce się obłowić bez świadków?**

**Michał przyspieszył kroku, żeby nie stracić tropu. W Ogrodzie bardzo łatwo było zgubić ślad. Za to teraz, w miejscu osłoniętym, mógł się posuwać za Andrzejem w odległości paru kroków. Andrzej szedł bardzo ostrożnie i rozglądał się na boki. Czyżby i on się kogoś obawiał?**

**Zarośla były coraz gęstsze. Puszczyc hukał nieprzyjemnie.**

**Michałowi zrobiło się nieswojo. Pierwszy raz był o tej porze w Ogrodzie. Z trudem**

się orientował, gdzie idzie. Nagle z lewej strony usłyszał jakiś chrzęst. Jakby ktoś szybko szedł po suchym listowiu. Zwierz jakiś czy ludzie Kszyka, a może?...

Serce mu łomotało w piersi. W pierwszej chwili chciał zawracać. Ogród ma tyle jeszcze tajemnic. „Nie chodź do Ogrodu — mówiła mama — bo ci się jeszcze jakieś nieszczęście przytrafi. Ludzie źle mówią o tym Ogrodzie”. Ale co, ale dlaczego? — nie mógł się nigdy dokładnie dowiedzieć. I może właśnie dlatego chodził, dlatego wszyscy chłopcy chodzili i nawet Anka ze swoimi Jaszczurkami — tu była tajemnica.

Ale w dzień zupełnie co innego, a co innego w nocy. Cienie poruszają się jak żywe i nie wiadomo, czy to cienie drzew, czy ludzie. Nie, lepiej o tym nie myśleć. Odwagi! Przecież Andrzej też idzie i nie boi się.

„Nie trzeba tchórzyc — powtarzał sobie — za wszelką cenę trzeba zachować zimną krew”.

Porzucając tropienie Kszyka, skręcił w kierunku, skąd doszedł go szelest.

Wszedł do starodrzewu. Wiatr wzmagał się, chmury raz po raz zasłaniały księżyc.

Graby i wiązy opuszczały gałęzie aż do ziemi, jak ręce chciwe i niespokojne... Poznał, że zbliża się do Polany Ostów. Tak nazywali szerokie zbocze pagórka, z którego było źródło dające początek strumieniowi i gdzie ugrzązł wrak rozbitego niemieckiego czołgu. Niegdyś stały tu zabudowania gospodarcze folwarku, a niżej rozpościerał się ogród tarasowy. Dzisiaj pozostały po nim tylko zarośla dziczykałych malin i samosiejki warzyw, pełne ostów. Maliny i osty wspinały się coraz wyżej, zarastały gruzy, prawie już niewidoczne pod mackami zachłannej zieleni.

Miejsce było nieprzyjemne i ponure, rzadko odwiedzane przez chłopców.

Ostrożnie rozchylił gałęzie. Może właśnie jest na tropie największej tajemnicy?

W sinym świetle księżycyca wszystko teraz wyglądało jeszcze nieprzyjemniej niż w

dzień, ale można było odróżnić niemal każdy szczegół. Niestety, nie zauważył nic podejrzanego. Polana była martwa i pusta. Nagle powiał wiatr i nachylił na moment gałęzie malin. I wtedy nagle coś jakby zalsniło daleko między malinami. Czyżby rydel? Wytężył wzrok. Tak, to był rydel porzucony przez kogoś. Za każdym razem, gdy wiatr odsłaniał maliny, błyszczał sino. Nagle drgnął. Zdawało mu się, że koło niego ktoś jest. Byłby przysiągł, że poczuł czyjś głośny oddech. Włosy mu się zjeżyły. Gałązka znów trzasnęła. „Ratunku!” — chciał krzyknąć, ale w tej samej chwili ktoś zatkał mu ręką usta i pchnął go gwałtownie.

Poprzeczna gałąź podcięła mu nogi. Upadł twarzą na mech. Przyciśnięto go mocno do ziemi. Czuł, że wiążą go dookoła sznurem jak baleron. Jednocześnie czyjaś mocna dłoń wpychała mu do ust szmatę. Zbyteczna już doprawdy zapobiegliwość. Z samego strachu nie wykrztusiłby ani słowa.

Nagle usłyszał huk wystrzału. Ktoś strzelił bardzo blisko. Michał zamknął odruchowo oczy i oblał się zimnym potem. W pierwszej chwili zląkł się, że to do niego strzelili. Ale nie. Mimo strachu czuł się zupełnie w porządku, a nawet lepiej niż przed chwilą, gdyż łapy cisnące go do ziemi, puściły.

Otworzył oczy i z ulgą zauważył, że jego oprawcy zwiali. Widocznie strzał ich przeraził i spłoszył. Wtedy zrozumiał, że jest ocalony. Ale przez kogo? Posłyszał zbliżający się szelest. Od strony Polany, przez gałęzie, przedzierała się jakaś przygarbiona postać.

Wkrótce, ku swojemu zdumieniu, rozpoznał w niej Andrzeja Kszyka. Kolonista szedł ostrożnie, z pistoletem w ręce, drugą rękę opierał na fińskim nożu przy pasie.

Jeszcze chwila i znajoma, choć teraz oblepiona plastrami, gęba okularnika wyjrzała przez gałęzie.

Michał poczuł się, mówiąc delikatnie, nieswojo. Paskudne położenie. Zupełnie z

deszczu pod rynną. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać się w tej niewygodnej pozycji z uzbrojonym wodzem Kolonistów. No, teraz Andrzej odegra się za wszystko. Zemsta jest rozkoszą bogów, tak przynajmniej twierdzili starożytni. Mimo, że nie miał specjalnej pamięci do historii, to jedno zdanie jakoś mu się od razu przypomniało. Niewątpliwie taki ponury typ jak Kszyk nie odmówi sobie tej rozkoszy. Przypomniał sobie wszystko, co mówiono o okrucieństwie Kszyka. Trzeba mieć naprawdę szczęście, żeby właśnie teraz, po tym, co się zdarzyło dzisiejszego popołudnia, stanąć oko w oko z okularnikiem, spętany jak baleron sznurkiem, powalony na ziemię, jakby wprost przygotowany do tortur. To straszne być tak całkiem zdany na łaskę i niełaskę wroga. Przecież on nawet może zamordować Michała i powiedzieć, że to tamci zamordowali. Wszystko może zrobić z Michałem. Zadać mu każdą torturę, od laskotania pokrzywą aż do oskalpowania włącznie.

Lecz choć raz po raz przenikały go dreszcze, Michał postanowił wytrzymać mężnie każdą próbę i patrzeć nieustraszonym wzrokiem w twarz prześladowcy jak przypiekany Kmicic w „Potopie”. Ostatecznie, ma się tę tradycję.

Tak, teraz był już zupełnie spokojny. Być może zginie, ale zginie jak...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili błysło mu przed oczami astrze noża... Ale ciosu nie było. Nóż zawisł nad głową Michała.

Czuł na sobie spojrzenie Kszyka. Okularnik przyglądał mu się dziwnym wzrokiem.

Michał wytrzymał bez słowa spojrzenie. Tak patrzyli sobie w oczy przez chwilę, a potem Andrzej roześmiał się i jednym zamachem przeciął mu więzy.

— Nic ci się nie stało? — zapytał swobodnie.

— Nie... nic, ja... — poruszył prawie bezgłośnie ustami Michał. Czuł, że go coś ścisną w gardle.

— A to heca... — powiedział Andrzej.

— Tak, heca... — powtórzył przez łyż Michał. I znów milczeli, zakłopotani.

Wreszcie Andrzej chrząknął i poprawił okulary.

— Chyba już nie wrócą — powiedział.

— Ja też tak myślę.

— Prawdę mówiąc, nie chciałbym się z nimi jeszcze raz spotkać — uśmiechnął się

Andrzej.

A Michał zauważył, że ma bardzo przyjemny uśmiech i szczery, trochę śmieszny,

„koguci” głos. Poczul, że musi wszystko wyjaśnić, usprawiedliwić się.

— Słuchaj — powiedział — ja wiem, że ty masz do mnie żal za to, co się zdarzyło, że ja podczas rozejmu... ale nie gniewaj się, ja, słowo ci daję... nie wiedziałem o rozejmie. No, nie miałem zielonego pojęcia. Bo ja bym nigdy...

— Daj spokój, przestań, nie bądź dzieckiem, to przecież była tylko zabawa.

— No nie, musisz mi uwierzyć i przebaczyć. Zabawa, nie zabawa, ale to jest dla mnie ważne... nie miałbym spokoju... i... i... wcale nie dlatego mówię, że mnie uratowałeś.

— Wcale nie miałem tego zamiaru — uśmiechnął się Kszyk. — Przyznam ci się, że w gruncie rzeczy nie jestem odważny i strzeliłem ze strachu. Usłyszałem jakiś trzask i szamotanie, myślałem, że wpadłem, i strzeliłem. Ale oni też widać byli bojem podszyci... a to przecież tylko zabawka — pokazał Michałowi pistolet.

Zaśmiali się obaj i od razu poczuli się jak dobrzy starzy przyjaciele. Coraz bardziej podobał się Michałowi ten Kszyk. Nic dziwnego, że Koloniści tak go uwielbiają. A najbardziej mu się podobał dlatego, że był zupełnie zwyczajny, skromny i wcale nie chciał się chwalić, a przeciwnie.

— No, nie zalewaj, już ty nie zalewaj — powiedział Michał. — Jakbyś nie był odważny, to byś tu się nie zjawił sam w nocy i nie podszedł do mnie, kiedy byłem w opresji.

**Przecież nie wiedziałeś, że oni uciekli.**

**— Tylko nie mów o tym nikomu — mrugnął okiem Kszyk. — Bo jakby się moi chłopcy dowiedzieli, że ja tu tak z tobą... no, wiesz... to są szczeniaki i mało rozumieją.**

**Zauważyłeś, że im młodszy szczeniak, tym bardziej krwiożerczy? Nie masz pojęcia, jak oni was, Tubylców, nie cierpią. Zależliście im mocno za skórę. Ale... zapomniałem cię zapytać.**

**Skąd się tu właściwie wzięłeś?**

**Michał strasznie się zmieszał. W żadnym wypadku, za nic na świecie nie przyznałby się, że tropił swego wybawcę.**

**— A ty? — odpowiedział pytaniem.**

**Andrzej zaśmiał się.**

**— Mówię ci, ze mną to zupełnie głupia historia. Stale sobie obiecuję, że będę zdyscyplinowany i mądry, i rozsądny jak mąż stanu, a tymczasem zawsze trzymają się mnie takie głupstwa. Wyobraź sobie, doszedłem do wniosku, że jakieś typy muszą w nocy grasować po Ogrodzie, tak myślałem, uważasz, i postanowiłem sprawdzić.**

**— Tak pomyślałeś! — wykrzyknął Michał.**

**— Co ci się stało? — zapytał Andrzej.**

**— Nic, już nic... ale powiedz, dlaczego tak pomyślałeś? Miałeś jakieś dowody?**

**— Prawie żadnych, ale ja jestem cholernie ciekawy, to jest moja okropna wada, i nie miałbym spokoju, gdybym się nie przekonał.**

**— Czy dawno się już domyśliłeś, że ktoś tu grasuje?**

**— Dwa dni temu, w niedzielę, po raz pierwszy zauważyłem, że dużo ostów jest połamanych, a kamienie i gruz w niektórych miejscach są wzruszone. No i znalazłem tam niedopalek papierosa... jakiś dziwny, z korkowym ustnikiem, takich nikt u nas nie pali. A dzisiaj znów ta historia z jeżem. Zdenerwowaliście mnie porządnie. Nikt z nas przecież nie**



morduje zwierząt. Ręczę za każdego chłopaka, zresztą nikt nie oddalał się w tamtą stronę od grupy, a tu takie parszywe oskarżenie. Aż mnie zatkało. No i te oskardy. Wiesz, że nam ktoś zwędził dwa oskardy? Myślałem z początku, że to kawał tych Zielonych Jaszczurek, czy jak im tam, ale one się wypierają i to chyba naprawdę nie one... Więc połączyłem te wszystkie wypadki do kupy i pomyślałem sobie, że nic, tylko jacyś obcy pętają się w nocy, a nawet w dzień po Ogrodzie. I to źli obcy, skoro tak załatwili tego jeża. Postanowiłem ich wyśledzić, bo oni na pewno muszą mieć jakieś wredne zamiary i jakiś brzydki kawał szykują. A w ogóle tak ze mną dzisiaj postąpiliście, że potrzebowałem wstrząsu. Już taki jestem — zażartował mimochodem Andrzej. — A ty? Po co tu przyszedłeś? Przyznaj no się w końcu i nie bądź taki skromny. Też domyślałeś się, że ktoś tu w nocy rozrabia, co? — Nie... to znaczy... — wyjąkał Michał — właściwie to zgadłeś, ja... to znaczy my... mamy nawet teorię.

Opowiedział o wypadku we wzorcowni. O hipotezie, podkopie, o znalezionym pudelku po zapalkach.

— Masz rację. Nic, tylko to — Andrzej słuchał go coraz bardziej podniecony. — Świetnie to wykombinowałeś.

— To nie ja... — powiedział Michał — to inna osoba... jedna dziewczucha, ale morowa — dorzucił szybko — i bardzo dobry kumpel.

Spojrzał na Kszyka, jakie to na nim zrobiło wrażenie, ale Kszyk „strawił” dziewczuchę łatwo.

— Zresztą, znasz ją — dodał ośmielony. — To Anka, prowadziłeś z nią rozmowy rozejmowe.

Andrzeja aż wykrzywiło na wspomnienie tych „rozmów”, ale opanował się szybko i powiedział jak gdyby nigdy nic:

— A, to ta...

— Właśnie.

— Aha, i dlatego trzymaliście się razem podczas zwiedzania fabryki, i byliście w magazynie wzorcowni.

— Tak, zresztą to zwiedzanie ona właśnie specjalnie po to wymyśliła, wiesz...

— No, dobrze, ale... ale dlaczego nie zaalarmowaliście od razu fabryki... albo milicji.

— Mówilem ojcu, ale ojciec powiedział, że ten pomysł jest do luftu i w ogóle nieprawdopodobna historia. Bo komu by się chciało robić tyle ambarasu i podkopywać się po jedną, jedyną sztabkę stopu.

— I nie sprawdzili podłogi?

— Nie. W ogóle zlekceważyli, bracie. Może wydało im się to śmieszne.

— Ale przecież teraz to zupełnie inaczej wygląda! — wykrzyknął Andrzej.

— Dlaczego?

— No, pomyśl tylko, jeśli oni wciąż jeszcze pętają się po Ogrodzie, to znaczy, że nie zakończyli swojej rozróbki. Czyli że — zrobił efektowną pauzę — czyli, że planują jakąś inną robotę. Tamto to było tylko przygotowanie, może próba, a może po prostu nie udało im się wtedy zabrać tego, co chcieli, bo mówisz przecież, że tam, w magazynie, jest kasa pancerna, w której przechowuje się wszystko, co cenniejsze: wzorce i dokumentacje.

Michał skinął głową.

— No właśnie, więc to mogłoby być tak: Musieli się dowiedzieć, że w magazynie jest coś drogiego, i zaczęli się podkopywać. Pewnie już od wielu dni się podkopywali, ale dopiero teraz udało im się dostać do magazynu. I wtedy zorientowali się, że to, czego szukają, jest w szafie pancernej. Od razu nie mogli się tam włamać, bo nie mieli narzędzi, ale nie zrezygnowali i postanowili za parę dni znów spróbować.

— Myślisz, że podrobią klucze?

— Mogą albo podrobić klucze, albo nawet rozpruć kasę.

Michał słuchał coraz bardziej podniecony.

— Nie dadzą rady — starał się uspokoić — to mocna kasa, widziałem.

— Mają sposoby — mruknął zamyślony Andrzej — albo przewiercą dziury

wiertłem elektrycznym, a potem specjalnymi narzędziami rozwałą zamek, albo przetną płytę stalową palnikiem acetylenowym. No, ale to wymaga narzędzi, sam widzisz, i jest dosyć kłopotliwe.

— Kto wie, czy tego dzisiaj nie chcieli zrobić.

— To możliwe.

— I co teraz będzie?

— Na razie są spłoszeni. Wiedzą, że wpadliśmy na ich ślad. Może przestraszą się na dobre i dadzą spokój tej niebezpiecznej robocie albo...

— Albo co?

— Albo przeciwnie, postarają się zrobić ją jak najprędzej, póki nikt jeszcze się nie zorientuje. No i...

— I co?

— No i będą starali się sprzątnąć świadków, którzy ich widzieli, to znaczy nas.

Michała przeszedł nieprzyjemny dreszczyk.

— Myślisz, że mogą wrócić?

— No! Pewnie, że mogą.

— To walmy lepiej od razu na milicję.

— Nie, najpierw zbadamy, gdzie mają wejście. Przecież oni muszą gdzieś mieć ten podkop.

**Ruszyli zamyśleni w kierunku Polany Ostów. Nagle Andrzejowi musiało coś przyjść**

**do głowy, bo złapał gwałtownie Michała za rękaw.**

**— Słuchaj, już wiem.**

**— Wiesz, gdzie jest podkop?**

**— Nie, wiem, co oni chcą ukraść.**

**— Co?**

**— Powiem ci, ale nie zdradzisz nikomu?...**

**— Nikomu.**

**— Przyrzeknij.**

**— Przyrzekam.**

**— Zakłady mają niedługo przystąpić do nowej produkcji. Ale to jest tajemnica.**

**— Jak tajemnica, to skąd wiesz?**

**— Domyśliłem się sam. Z różnych słów tatusia... Raz tatuś myślał, że ja śpię, i rozmawiał o tym z inżynierem Dauerem. Zresztą pisali o tym w gazecie.**

**— W gazecie?**

**— Nie czytujesz gazet?**

**Michał zawstydział się, bo rzadko kiedy czytywał gazety.**

**— Pisali w gazecie o tym wynalazku, że ma wejść za rok do produkcji, tylko nie pisali gdzie. A to właśnie u nas. Taka rewelacja!**

**— No dobrze, ale co to jest? — zapytał niecierpliwie Michał.**

**— Nie powiedziałem ci jeszcze? — zdumiał się Andrzej.**

**— Nie.**

**— Silnik beztłokowy.**

**— Beztłokowy? — zmarszczył brwi Michał. — Zwariowałeś, odrzutowce będzie się u**

**nas machać czy jak?**

**— Co tam, odrzutowce! Nie chodzi o odrzutowce, silnik odrzutowy nie kalkuluje się do samochodów i okrętów. Przynajmniej na razie.**

**— No więc, co to jest?**

**— Zaraz ci wytłumaczę. Wiesz, jak wygląda normalny silnik tłokowy w warszawie albo w moskwiczu?**

**— Pewnie — wzruszył ramionami Michał. — Kto by nie wiedział!**

**Wszyscy chłopcy w Nieklaju mieli to w małym palcu, odkąd w zeszłym roku przyszła moda na motory. Po prostu należało do fasonu znać się na tym, podobnie jak na znakach drogowych i przepisach ruchu, rozmawiać przy każdej okazji na ten temat i licytować się nawzajem swoją wiedzą motoryzacyjną.**

**— No, więc wiesz — ciągnął Andrzej — że w motorze są cylindry, a w cylindrach poruszają się tam i z powrotem tłoki. Wciągają one do cylindra mieszankę paliwową, tak jak tłok w wiecznym piórze wciąga atrament do zbiorniczka, potem sprężają ją, czyli ściskają w komorze spalania, potem iskra zapala tę mieszankę, potem tłok na skutek wybuchu gazów spalinowych cofa się i porusza korbowód, a ten korbowód porusza znów wał korbowy i to daje napęd na koła...**

**— Jasne — przerwał Michał — ale nie ględź, mów, o co chodzi.**

**— O to, że w tym silniku zamienia się ruch posuwisty tłoka na ruch obrotowy wału korbowego.**

**— Zgoda. I co z tego?**

**— Otóż od dawna wszyscy konstruktorzy byli zdania, że silnik tłokowy to nie jest zbyt szczęśliwe rozwiązanie, że ma wady. To całe przenoszenie siły i zamiana ruchu, te rozliczne części i łożyska, które się wycierają — stanowczo za dużo ambarasu, a do tego**

kłopoty ze smarowaniem, stosunkowo duże straty mocy, szybkie zużywanie części, defekty, no i w ogóle skomplikowana maszyna. Więc wynalazcy głowili się nad nowym rozwiązaniem. Takie rozwiązanie przynosi właśnie nasz nowy silnik „wirus”. Pomyśl, co za uproszczenie! „Wirus” nie potrzebuje zamieniać ruchu posuwistego na obrotowy, bo zamiast tłoka ma specjalny wirnik i zapalenie mieszanki od razu wprawia go w ruch wirowy. Kręci się, rozumiesz? A co za tym idzie, obywa się bez sworzni tłokowych, korbowodów i kosztownych łożysk. Jest więc o wiele tańszy. A jaki zysk na mocy! Klawe, nie?

— Klawe — rzekł podniecony Michał. — Nie rozumiem tylko, dlaczego wynalazcy od razu nie wpadli na ten pomysł i kombinowali z tłokami... Skoro to takie proste...

— O to samo zapytałem od razu tatusia — roześmiał się Andrzej. — A tatuś powiedział, że z „prostymi” rzeczami w technice to jest tak, jak w mowie...

— W czym? — wytrzeszczył oczy Michał.

— W mowie. Łatwo jest wypowiedzieć jakąś myśl w kilku długich zdaniach, ale spróbuj to samo powiedzieć w jednym krótkim. To musi być zdanie doskonałe. Nielatwo zbudować takie zdanie. Tak samo w technice. Nieraz najtrudniej wymyślić rzeczy proste.

Wymyślić i zbudować. Bo taki na przykład silnik, chociaż prosty, a może właśnie dlatego, że prosty, musi być za to doskonały. Wymaga wielu obliczeń, pomyslowych rozwiązań, no i specjalnych materiałów, nowych stopów... I dlatego nie masz pojęcia, bracie, co to za zwycięstwo dla nas ten „wirus”. To będzie rewolucja w przemyśle samochodowym.

— Myślisz, że samochody potanieją?

— No, pewnie. Każdy będzie sobie mógł kupić samochód — zapalał się Andrzej.

— E tam, nie wierzę — Michał spojrzał na niego nieufnie. — Naprawdę każdy?

— No... tak ręczyć to nie mogę — opamiętał się Andrzej. — Ale najważniejsze, że to

się będzie robić w Polsce i że Polska zarobi na tym masę waluty. Bo jak dotąd, to tylko w Niemczech skonstruowano podobny silnik, ale nasz jest bardziej ekonomiczny i będzie go można zastosować nawet do okrętów.

— Do okrętów?

— Tak, oprócz motocyklowych i samochodowych będziemy robić wielkie silniki okrętowe. Dlatego przyjechał tu do nas inżynier Dauer ze stoczni gdańskiej. On jest specjalistą od tego. Mówię ci, tu się u nas będą działy wielkie rzeczy. Fajowo, co?

— Bardzo fajowo — chrząknął Michał dumny, że to właśnie w ich fabryce ma ruszyć ta produkcja.

— Taki silnik, rozumiesz, jaka to pokusa dla złodziei.

— Ale co im z tego przyjdzie... przecież u nas żadna fabryka tego nie kupi.

— U nas nie, ale za granicą. Wyjadą z tym za granicę, może do Niemiec, może do Włoch, może do Ameryki, tam opatentują jako swój wynalazek i zarobią miliony.

— Co to znaczy: opatentują?

— To znaczy, no, że zastrzegą sobie wszystkie prawa, a potem je drogo sprzedadzą jakiejś firmie. Ale słuchaj dalej — ciągnął Andrzej. — Więc to miało być w przyszłym roku, tymczasem zmieniliśmy plany i już teraz robi się próbną serię. Pamiętasz tych dziennikarzy, co byli u nas w szkole i naciągali chłopaków na rozmowy? Oni właśnie przyjechali zobaczyć te nowe silniki, ale dyrektor nic im nie pokazał i nie pozwolił pisać, bo po co robić ludziom apetyty i chwalić się, kiedy ta seria nie jest jeszcze wypróbowana i nie wiadomo, czy zda egzamin.

— Na pewno wszystko będzie dobrze — z przekonaniem mruknął Michał — twój stary jest przecież świetnym konstruktorem.

— A twój świetnym technologiem.

**Michał spuścił oczy.**

**— Nie wszyscy tak myślą.**

**— Wciąż się martwisz tamtą historią?**

**— Pewnie. Przecież wiesz, że oskarżają mojego starego.**

**— Nie bój się, jeśli naprawdę jesteśmy na tropie, wszystko się wyjaśni. — Andrzej uścisnął mu rękę. — Weźmiemy się za to, co? Będziemy razem szukać aż do skutku.**

**— Naprawdę, zrobisz to, Andrzej? Możemy zawrzeć sztamę?**

**— No!**

**— Na całe życie! Andrzej, możesz zawsze na mnie liczyć! Pamiętaj!**

**— Dobra. Będę pamiętał.**

**— Więc chodź, nie traćmy czasu. „To” gdzieś tu musi być. Zostawili tu nawet swój rydel.**

**— Gdzie?**

**— A tam — Michał pokazał na maliny przy gruzach.**

**— Nic nie widzę — mruknął Andrzej.**

**Michał zmieszał się. On sam teraz też nie widział nic.**

**— Chodźmy, pokażę ci, w którym miejscu widziałem.**

**— Tylko ostrożnie. Gdyby tu jeszcze byli...**

**Na wszelki wypadek podczołgali się do malin z zachowaniem wszelkich prawideł**

**„podchodów”. Niektóre pędy krzaków były połamane, ale nie znaleźli ani rydla, ani śladów kopania.**

**— Musiało ci się zdawać — rzekł Andrzej.**

**— Nie, na pewno widziałem. Widocznie musieli sprzątnąć.**

**— Ale kiedy?**



— Gdy usłyszeli twój strzał.

— Nie, ja ich przecież widziałem — powiedział Andrzej — wprowadźcie z daleka, ale wiem z całą pewnością, że żaden z nich nie uciekał z łopata ani z kilofem. Zresztą nie mieliby czasu, bo łopata leżała w tym miejscu...

— Ilu ich było?

— Dwu.

— Ja też widziałem dwu.

— To znaczy, że jeszcze musiało być ich więcej. I ci pozostali sprzątnęli rydel i uciekli w inną stronę.

— Albo się gdzieś schowali.

— Albo się gdzieś schowali — powtórzył Andrzej i rozejrzał się dookoła — może właśnie do podkopu.

Księżyc zaszedł za chmury.

— Ciemno — zauważył Michał — zapalę latarkę.

— Daj lepiej spokój, zobaczą nas.

Pochyleni prawie do samej ziemi, potykając się o gruz i klując boleśnie o osty, badali metr po metrze. Nigdzie jednak nie znaleźli ani otworu, ani nawet najmniejszego śladu podkopu, choć oset był wdeptany w wielu miejscach, a gruz jakby ruszany. Te miejsca badali szczególnie skrupulatnie, ale bez rezultatu.

— Może zamaskowali wejście? — sapnął Michał.

— Na pewno. Ale przecież musi być jakiś ślad.

Przeszukali cały teren od strumienia i czołgu aż po ruiny pałacu. Zajrzeli nawet do wraku „tygrysa”, czy tam się ktoś nie ukrył, ale nikogo nie było. Potem jeszcze raz weszli do piwnic, ale i tu nie było śladu podkopu.

— Może to wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż nam się zdaje — rzekł Michał. —

Może nasze przypuszczenia nie warte są funta kłaków. A oni... oni szukają tylko skrzyń Szwajsa.

— Skrzyń Szwajsa?

— No, nie słyszałeś o nich?

— A, to ta bajka o skarbie.

— Właśnie. Wciąż o nim mówią.

Andrzej nie odezwał się. Też był przygnębiony tym wszystkim. Sprawa wyglądała na trudniejszą, niż się z początku zdawało.

— Póki nie znajdziemy podkopu, nikt nam nie uwierzy — mruknął Michał.

Andrzej skinął głową.

— Moglibyśmy jednak powiedzieć, że zostałeś napadnięty... i pokazać sznur i chustę.

— Daj spokój, lepiej nie. Widzisz... ja tu przyszedłem trochę nielegalnie. Jakby się starzy dowiedzieli...

— Masz rację, ze mną ta sama historia, a nawet jeszcze gorzej. Wiesz... u nas mieszka Otrębus... i...

— Rozumiem. No, to co zrobimy?

— Po ciemku i we dwójkę trudno coś zrobić. Masz rację, że podkop musi być zamaskowany, i to bardzo sprytnie zamaskowany. Trzeba dokładnie przeszukać Ogród.

Myśmy grzebali w jednym tylko miejscu przy ostach, a tu trzeba pogrzebać na całej Polanie. Jeśli się dokładnie zbada, to na pewno się znajdzie... Wiesz, mam pomysł. Do licha z zabawami w Piratów i jakieś tam Jaszczurki! Gdybyśmy się wszyscy wzięli za szukanie! Ale wszyscy. Rozumiesz?! Ilu was jest u Piratów?

— Prawie dwudziestu.

— Związek Zielonej Jaszczurki też liczy chyba tyle?

— Tak. Coś koło tego.

— No, to razem z moimi ludźmi przeszło sześćdziesięcioro. To cała armia, moglibyśmy przetrząsnąć każdą piędź ziemi.

— No tak... tylko rozumiesz... — chrząknął zakłopotany Michał.

— Rozumiem. „Piraci łakną krwi”. Dlatego najpierw trzeba ogłosić pokój.

— Pokój? — powtórzył jak echo Michał. Dziwnie jakoś zabrzmiało mu to słowo w Ogrodzie, który dotąd widział same straszliwe „rozróbki”.

— Powiesz tej Ance i Zenonowi, o co chodzi. Chyba zrozumieją, nie? Umówmy się tak, ja będę czekał rano o dziesiątej przy blokach. Jeśli oni się zgodzą włączyć do akcji i ogłoszą pokój, zawiadomisz mnie o tym, a ja postaram się o narzędzia dla wszystkich. Co ty na to?

— No cóż... niezła myśl — powiedział Michał. — Ale może miałeś i rację, że trzeba zawiadomić milicję.

— Można zawiadomić, ale wątpię mimo wszystko, czy milicja uwierzy. Moim zdaniem musimy liczyć przede wszystkim na siebie. Myślisz, że Anka i Zenon się zgodzą?

— Anka na pewno. A Zenon chyba też. Przecież chodzi o fabrykę, nie będzie świnią. Zresztą taka sensacyjna akcja! To wszystkich poruszy.

— No, więc pamiętaj. Będę czekał do...

Nagle chwycił za ramię Michała i przycisnął do ziemi.

— Co się stało? — szepnął Michał.

— Nie widzisz? Ktoś idzie.

Rzeczywiście, zza krzaków leszczyn wyszła jakaś zgarbiona postać i szła, rozglądając się czujnie, w kierunku malin. Na plecach niosła łopatę. Przystanąła pośrodku zarośniętych

**gruzów i zaczęła kopać, postępując z wysiłku.**

**Chłopcy wstrzymali dech w piersiach.**

**— A widzisz, mówiłem ci — szepnął gorączkowo Michał — to musiała być jego łopata. Kopie w tym samym miejscu.**

**Przerwał, bo właśnie na moment księżyc wyjrzał zza chmur. W jego świetle postać tajemniczego osobnika wydała im się dziwnie znajoma... Ten ruch charakterystyczny, którym poprawiał wielki szalik na szyi, to postękiwanie.**

**— Słuchaj — Michał z wrażenia uszczypnął Andrzeja w ramię — przecież to jest Mulla.**

**— O rany, faktycznie!**

**Popatrzyli na siebie zaskoczeni.**

**— Tego się nie spodziewałem... — belkotal wstrząśnięty Michał. — Mulla w szeregach szajki.**

**— Nie — potrząsnął głową Andrzej — mnie się zdaje, że on... on tylko szuka skrzyń Szwajsa. On też.**

**Spojrzeli na siebie i obaj parsknęli śmiechem.**

## **Rozdział XVI**

**Zbiórka Piratów rozpoczęła się tego dnia wyjątkowo wcześnie. Gdy tylko wdowa**

**Biegańska zamknęła za sobą drzwi, zza zarośli czarnego bzu wyjrzała rozczochrana głowa**

**Maćka Susuła. To nadzwyczajna złośliwość losu, żeby akurat dzisiaj przypadła mu funkcja**

**Pirata służbowego. Nie ma bardziej uciążliwej funkcji. Odpowiada za wszystko: za**

**punktualność chłopców, za bezpieczeństwo terenu, za stan uzbrojenia i taborów, za zapasy**

**żywnościowe. A do tego jeszcze dzisiaj! Już normalnie, gdy nic się specjalnego nie dzieje,**

**jest to funkcja trudna i wymagająca silnych nerwów, a cóż dopiero dzisiaj, kiedy gotuje się**

największa w dziejach sławnego związku Piratów akcja. Miało to, co prawda, być ze strony Zenona wyróżnienie za wybitne zasługi w dziele dokarmiania Bosmana, ale niech się Zenon wypcha z takim wyróżnieniem. Najgorsze, że trzeba było wstać o szóstej. Ach, Zenon nigdy nie potrafi ocenić poświęcenia Maćka Susuła. Wstać o godzinie szóstej! Takim czynem nie może się pochwalić nikt z członków zasłużonej rodziny piekarskiej Susułów w Nieklaju. O szóstej zawsze się śpi u Susułów. Taki już zwyczaj. Żeby pieczywo było świeże, pieką je w nocy i gdzieś koło czwartej kończą pracę. Przez to cały porządek dnia i nocy się przesuwają. Maciek też chodzi spać o dwunastej w nocy i o szóstej zawsze jeszcze chrapie. Wczoraj, żeby się obudzić, nastawił budzik. Budzik zaczął dzwonić o szóstej i wszystkich pobudził. A że nie ma większej zbrodni u Susułów jak przerwać ranny sen, więc wybuchła straszna awantura. Koniec jej nie jest nam znany, bo Maciek, nie czekając, dał nura za drzwi. Nie zdążył się nawet uczesać, a spodnie wciągnął już na podwórku. No, ale grunt, że zdążył. O pół do siódmej uporał się już z pobudką. Na szczęście noc była duszna i wszyscy spalili przy otwartych oknach, więc donośny dźwięk gwizdka postawił, kogo potrzeba (i nie potrzeba), na nogi. Jeden tylko Michał zmęczony przejściami nocnymi spał jak zabity. No, ale to już naprawdę nie Maćka wina.

Nie tracąc ani chwili, dzielny dyżurny oficer sprawdził jeszcze zapasy broni zmagazynowanej w gołębniku na podwórzu pani Biegańskiej oraz policzył zdobyte narzędzia w ilości dwu oskardów, sześciu rydli i żelaznych tacek, przejrzał zasoby żywnościowe w postaci wiadra niedojrzałych papierówek (miały zawsze większą cenę niż dojrzałe, czyli „papier”, jak się o nich wyrażali smakosze spośród Piratów), koszyka agrestu, pięciu paczek wafli, torby cukierków pochodzących z danin oraz paczki extramocnych, grunwaldów i pakietu lizaków. Te ostatnie artykuły służyły wyłącznie na łapówki. Dorosłym dawało się papierosy, malcom lizaki. Doświadczenie wskazywało, że

**zawsze dobrze jest mieć przy sobie tego rodzaju środki przekupstwa.**

**Po stwierdzeniu, że niczego nie brakuje, Susuł ze spokojnym sumieniem zajął pozycję obserwacyjną przy czarnym bzie pod oknem pani Biegańskiej. Gdy tylko nieszczęsna kobieta opuściła dom, dał sygnał gwizdkiem. Natychmiast z zarośli przy płocie, zza kurników i obórki wyskoczyły watahy Piratów.**

**Najpierw zabrano się do karmienia „zwierząt pokładowych” i sprzątanania.**

**Kolejną czynnością było wydojenie krowy pani Biegańskiej. Po przeczytaniu „Robinsona Kruzoa” Zenon doszedł do wniosku, że mleko jest napojem niezbędnym dla lowcy przygód. Początkowo zmuszał Piratów do picia koziego mleka, na skutek jednak silnych oporów w łonie organizacji zmuszony został do ograniczenia swoich wymagań. W drodze kompromisu zgodzono się na spożywanie mleka krowiego. Ponieważ w dni wczesnych akcji nikt nie był w stanie zjeść śniadania w domu, posługiwano się pocziwą Krasulą pani Biegańskiej. Krowę doił Pirat Marian, którego rodzice mieli małe gospodarstwo na peryferiach Nieklaja i który miał pewne pojęcie o tej dość trudnej umiejętności.**

**Po wypiciu mleka i pośpiesznym zjedzeniu dwu bochenków chleba odbył się, apel i uroczyste wciągnięcie na antenę radiową flagi związkowej. Kiedy czarna bandera z przyfastrygowanymi do niej białymi pieszczelami i trupią czaszką oraz hasłem: *Śmierć kolonizmowi i imperializmowi* — załopotiała dumnie na maszcie.**

**Zenon osobiście wdrapał się po drabinie do facjaty Bosmana, zajrzał do niej i ogłosił:**

**— Bosman śpi!**

**Od razu wszyscy poczuli się raźniej, że Bosman znów jest na górze. Tak jakby pozostał z nimi duch przygody i oddech wielkiego świata.**

Następnie Zenon odebrał raport od dyżurnego Susuła. Oprócz Piratów stawili się także dopuszczeni po raz pierwszy do akcji kandydaci dziewięcio- i dziesięcioletni. Wszyscy byli bardzo przejęci ważnością chwili. Susuł zameldował, że brakuje tylko wiceadmirala Michała, gdyż nie można go było dobudzić.

— Ohydny śpioch — rzekł głośno pogardliwym tonem Zenon — i on chciał zostać admirałem. Żeby taaaką akcją zaspać! — ziewnął niechęcący.

Nagle ściągnął brwi.

— Sierzancie! — zwrócił się do Susuła.

— Tak jest — podbiegł Susuł wyraźnie zaniepokojony.

Kiedy Zenon zaczyna używać oficjalnego tonu, to znak, że draka wisi w powietrzu.

— Sierzancie — powtórzył sucho Zenon — czy jesteście pewni, że poza Michałem nikogo nie brakuje?

— Najzupełniej.

— Obawiam się więc, że będziecie się musieli pożegnać z awansem na chorążego.

— Dlaczego, admirałe? — Pod Susulem ugięły się nogi.

— Gdzie jest Krótki Joe? — wycedził Zenon, patrząc mu w oczy.

— Krótki Joe? — wyjąkał Susuł. — Nie rozumiem.

— Kurza twoja pamięć? — rzekł Zenon. — Adenauera niejakiego nie znasz?

— A, to on... przepraszam, nie przyzwyczaiłem się jeszcze, on mieszka na kolonii... zupełnie zapomniałem. Ale czy to ważne... taki fafel?

— Zdaje się, że będę musiał cię zdegradować, Susuł — westchnął Zenon.

Susuł skrzywił się żałościwie. Niech diabli wezmą tego Adenauera! Zawsze przez niego przykrości.

— To... to ja polecę — zaofiarował się — przyciągnę go za uszy, tego Joe.

— Nigdzie już nie polecisz — Zenon spojrział na zegarek. — Nie mamy czasu, jest siódma. Ogłaszam wymarsz.

\* \* \*

Nie widział chyba jeszcze Niekłaj tak wspaniałego wymarszu wojsk.

Na przedzie maszerował Zenon w skórzanych spodniach. Za pasem miał nowiutki straszak, który wyglądał jak prawdziwy pistolet, nóż fiński i lunetę. Koło niego siedł adiutant Tadzik, za nimi dwójkami sześciu Piratów uzbrojonych w noże, miecze i proce, z chlebakami pełnymi pocisków. Z kolei ciągnęły tabory oraz grupa techniczna, czyli grupa „T” po dowództwem Długiego Tomka. Najpierw szło dwu malców z oskardami na ramionach, za nimi dwu następnych pchało taczki, każdy za jeden drążek. Na taczkach jechał prowiant i narzędzia specjalne: nożyce do cięcia drutu, obcęgi, młotki, sznury i prawdziwe siekiery. Za taczkami szło sześciu malców z rydlami, pochód zamykała straż tylna — czterech Piratów uzbrojonych w łuki.

Zaraz za skrzyżowaniem zeszli z drogi i zaczęli posuwać się między hałdami żużlu.

Byli już pod samym Ogrodem, kiedy dopadł ich zziajany Michał.

— Słuchaj, muszę z tobą natychmiast pomówić — powiedział do Zenona.

— Chcesz się usprawiedliwić? — wycedził zimno Zenon. — Nie mogę dłużej znosić takiego braku dyscypliny. Przystąpisz do karnego raportu.

— Nie zawracaj głowy — przygryzł wargi Michał — nie ma teraz czasu na głupie zabawy. Nie wiesz, co odkryłem dzisiaj w nocy.

Opowiedział Zenonowi o swoich przejściach. Nie wspomniał tylko o spotkaniu z Andrzejem i o jego propozycji. Bał się, że to może jeszcze bardziej rozzłościć Zenona.

— Sprawa jest jasna — zakończył — szykuje się napad. Podkop jest już wykonany.

Dzisiaj w nocy na pewno będą chcieli dokonać reszty. Nie można do tego dopuścić.



**Rozumiesz, wszystko jest nieważne wobec tego niebezpieczeństwa.**

**Zenon słuchał go w milczeniu.**

**— Czy daleś znać o tym milicji? — zapytał nagle.**

**— Tak — zmieszał się Michał.**

**— I co?**

**— Wiesz chyba, jak jest z milicją. Ich tak trudno przekonać. Uważają nas za szczeniaków i w ogóle się nie liczą. Powiedzieli, żebym się nie pętał w nocy po Ogrodzie. Że wszędzie można trafić na pijaków i chuliganów, ale że to wcale nie znaczy, że każdy chuligan od razu musi być włamywaczem, że mam bujną wyobraźnię, że naczytałem się kryminalnych książek i w ogóle w tym stylu. Rozumiesz?**

**— Rozumiem.**

**— No, ale ty chyba sam widzisz, że ta cała historia jest podejrzana i że to na pewno łączy się z fabryką.**

**— Wcale nie widzę.**

**— Jak to? — poczerwieniał Michał.**

**— Milicja ma rację. Zastanów się. Przecież to nie są żadne dowody, tylko twoje wymysły. Po prostu tak wymyśliłeś. Ja nawet nie wiem, czy ci, co napadli na ciebie, to byli jacyś obcy, a nie Koloniści. Przecież ich nawet dobrze nie widziałeś. A poza tym, gdzie jest ten podkop? Znamy przecież Ogród i wiemy, że tam nie ma żadnych podkopów. Zresztą sam szukałeś. No i nie znalazłeś.**

**— On musi być — zacisnął zęby Michał. — Zamiast... zamiast tracić czas na głupstwa, powinniśmy go poszukać. Gdybyśmy wszyscy się wzięli za szukanie, na pewno byśmy odnaleźli.**

**— Licz się ze słowami! — warknął Zenon. — Szukanie skrzyń Szwajjsa nie jest**

głupstwem. Nie rozpocząłbym tej akcji, gdybym nie miał stuprocentowej pewności. One są i wiemy już gdzie. Że tobie się coś ubzdurało, nie możemy tracić takiej szansy. Ładnie byśmy wyglądali. Tym bardziej, że Koloniści też są na tropie. Mam dowody na to. Nie możemy dać się ubiec.

— Bzdura! Oni wcale nie szukają skarbu.

— Skąd wiesz?

— Rozmawiałem z Kszykiem. — Michał postanowił powiedzieć całą prawdę.

— Ty?

— Tak. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem.

— Gdzie? — Zenon spojrzał na niego podejrzliwie.

— Tam, w Ogrodzie. To on właśnie odpędził tych drabów.

— Niesamowite — skrzywił się Zenon. — Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś?

— To nie ma nic do rzeczy.

— Tak myślisz? — przymrużył oczy Zenon. — Jak mam ci wierzyć, kiedy widzę, że ty coś przede mną ukrywasz. Więc wszedłeś w konszachty z Kszykiem?

— W żadne konszachty. Po prostu on jest tego samego zdania co ja, że szykuje się napad. W tej sytuacji... on uważa, że powinniśmy zawrzeć rozejm, połączyć siły, wytropić szajkę i unieszkodliwić ją.

— Ach tak!... A ty dałaś się wziąć na to jak wróbel na plewy! Przecież to podstęp!

Cała historia z góry ułożona, łącznie z tym napadem na ciebie. Chodzi o to, żebyśmy się zdemobilizowali. My będziemy tropić nie istniejącą szajkę, a oni przez ten czas dobiorą się do skrzyń Szwajsa. Nie ma głupich. Widzisz, trzeba rozumieć, co to polityka.

Michał umilkł, zrozumiał, że nie przekona Zenona. Był zupełnie zaskoczony. Nie spodziewał się takiej postawy.

Zdecydował jednak nie dać za wygraną. Na pierwszym postoj, przed forsowaniem murów, odwołał się do Rady Związku. Przedstawił jeszcze raz całą sprawę, wszystko, co zdarzyło mu się tej nocy, ale nie zdołał nikogo przekonać. Piraci myśleli tylko o jednym. Zdobyć skrzynie Szwajca.

Nawet Odjemkowie, którzy zawsze byli po stronie Michała, teraz odciągnęli go na bok i powiedzieli:

— My cię rozumiemy. Chodzi ci o ojca. Ty na to wszystko inaczej patrzysz. Ale to są tylko twoje domysły.

— Nie chodzi tylko o ojca — zaczerwienił się Michał — chodzi o fabrykę.

Zrozumcie, to fabrykę chcą okraść!

— Nabileś sobie głowę. Jeśli milicja nie chciała cię słuchać... oni już wiedzą dobrze.

Michał czuł, jak wzbiera w nim złość i gniew. Co za pech! Gdyby to było innym razem, nie trzeba by ich było do tego zachęcać. Wystarczyłaby najmniejsza poszlaka, żeby rzucili się na sprawę. To wszystko przez te skrzynie Szwajca.

„Nędzni chytrusi — myślał z goryczą. — Nic im nie zależy na fabryce, na wspólnej, wielkiej sprawie. Myślą tylko o swojej kieszeni. Nie potrafią nic poświęcić. Jeden Andrzej od razu zrozumiał. To jest prawdziwy przyjaciel i morowy chłopak. Co za traf, że musi się znajdować akurat w szeregach wrogów”.

— Słuchajcie — powiedział zaciskając pięści — jesteście... jesteście ślepi. Skarb was oślepił. I nic was nie obchodzi fabryka. Dobrze, szukajcie sobie waszych skarbów. Ja nie będę szukał.

— No, no, bracie — powiedział z uśmiechem Zenon — zaczynasz się buntować.

Zapomniałeś, że zostałeś przegłosowany i musisz się podporządkować. Wiesz, co czeka Pirata za dezercję?

— Możecie mnie przecież zwolnić dobrowolnie — zacisnął zęby Michał — zrzeknę się udziału w łupach, będzie dla was więcej.

— Patrzcie, jaki dobroczyńca! — zaśmiał się szyderczo Zenon. — Nie, wiceadmirał, chętnie bym się przychylił do twojej prośby, ale sytuacja ogólna nie pozwala. To byłoby kumoterstwo. Mamy ważną i niebezpieczną wyprawę przed sobą i byłoby zbrodnią osłabiać nasze siły, no nie, Piraci?

Głuchy pomruk Piratów świadczył, że są tego samego zdania, co herszt.

No tak, Michał z góry wiedział, że go nie zwolnią. Nie tylko dlatego, że był im potrzebny. Po prostu chcieli, żeby się podporządkował. Nawet wbrew swoim chęciom. To mile lechtało ambicje Piratów. Mogli wtedy być dumni z potęgi związku.

— Gdyby to jeszcze chodziło o chłopca okrętowego, niewolnika czy byle jakiego ciurę — ciągnął z udaną powagą Zenon. — Ale ty jesteś dyplomowanym wiceadmirałem. Cóż byśmy poczęli bez ciebie? Jako doświadczonego i silnego Pirata mianowałem cię dowódcą ubezpieczenia. Tak zostało zresztą postanowione w naszym planie operacyjnym. Otrzymasz najlepszą broń, żebyś mógł stoczyć pojedynek z wodzem Kolonistów, gdy go napotkasz — dodał z uśmiechem.

Michał przygryzł wargi.

Tego zagrania Zenona się nie spodziewał. Taka nominacja! To było posunięcie równie sprytne, jak złośliwe. Żeby jego, właśnie jego, zrobić dowódcą ubezpieczenia! W ten sposób był najbardziej narażony na spotkanie z Andrzejem. Zenon chciał go wystawić na próbę i zmusić do walki z przyjacielem. Szatański pomysł.

Michała ogarnęło zdenerwowanie. Do diabła z Piratami! Spojrzał na twarze kolegów. Patrzyli na niego. Czekali na jego decyzję.

Co robić? Sam nie wiedział. Opuścić oddział? I on, i Andrzej liczyli na rozejm, na

wspólne działanie, zupełnie nie brali innej możliwości pod uwagę. Co za okropna sytuacja.

Tam Andrzej na niego czeka i denerwuje się. I znów ta wstrętna myśl: „Czy powinien opuścić oddział i szukać razem z Andrzejem?”

Sprawa włamania jest na pewno ważniejsza. A jeśli się myli? Gdyby miał tę pewność! Ale nawet Andrzej powiedział: „To tylko jest prawdopodobieństwo”. Co w takim wypadku trzeba zrobić? Żeby to można się kogoś poradzić. Ale nie ma nikogo. To jest straszne, że trzeba rozstrzygać samemu i to zaraz.

Patrzą na niego. Byli zawsze razem, a on sam dawniej mówił: „Śmierć temu, kto odejdzie”.

Nie. Michał już wie, że nie potrafi odejść. Ale powie im, co o nich myśli. Na szczęście ma jeszcze język w gębie, więc im wygarnie od serca.

— Idziemy — powiedział. — No, co się tak gapicie. Dosyć kina.

\* \* \*

Wielki Kanion okryty był jeszcze głębokim cieniem i wydawał się bardziej ponury niż zwykle. Przeszli z drzeniem serc. Czy uda się oszukać tego szpiega Szaszę? Zauważyli go już z daleka przez peryskop. Leżał na murawie, przy swoich kozach, i przez tubę ze zwiniętej gazety badał okolicę. Zenon bezzwłocznie skinął na Tadzika, który był specjalistą od załatwiania delikatnych spraw. Tadzik zatrzymał tabory i wydobyl z taczek pudełko grunwaldów, po namyśle jednak odrzucił je i zabrał extramocne. Potem zaczął podkradać się samotnie do Szaszy.

Zenon obserwował go w napięciu przez peryskop. Tadzik obszedł z tyłu Szaszę... i nagle pojawił się blisko, w polu jego widzenia, chodząc na rękach. Potem położył się na trawie do góry brzuchem. Założył nogę na nogę, zapalił papierosa i udał, że rozkoszuje się dymem...

Szasza przyglądał mu się złowrogo, potem pogroził pięścią i ruszył w jego stronę.

Tadzik udał, że ucieka, gubiąc po drodze papierosy. Szasza natychmiast zaprzestał pościgu i podniósł pudełko.

Przynęta chwyciła.

Michał z ponurą miną podziwiał teraz sprawność Zenona. Tak, Zenon umiał organizować przeprawę. Gdy tylko Szasza zajął się Tadzikiem i jego papierosami, Zenon dał w milczeniu znak grupie.

Zaopatrzeni w nożyce blacharskie, chłopcy błyskawicznie podpełzli do okratowanej wyrwy i szybkimi cięciami unieszkodliwili druty. Kiedy dali znak chustą, że przejście gotowe, wtedy cała kolumna spiesznie podbiegła do dziury, bez komendy ustawiła się gęsiego i sforsowała mur w całkowitym porządku. Zenon osobiście pilnował przeprawy. Stał przy dziurze i po kolei wpuszczał Piratów. Najwięcej trudności było z taborami. Taczki w żaden sposób nie chciały się zmieścić i z wielkim żalem Piraci musieli je zostawić pod murem w rowie. Zamaskowali je liśćmi, gałęziami i trawą. Zabiorą, gdy będą wracać. Zenon rzucił ostatnie spojrzenie za mur i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Niebezpieczeństwo było zażegnane.

Szasza leżał wyciągnięty swobodnie na trawie i palił papierosa, a Tadzik wielkimi susami sadył już do muru.

## Rozdział XVII

Ile razy po trudach przeprawy Piraci wkraczali do Ogrodu, od razu ogarniało ich znane, przyjemne uczucie swobody i odprężenia. Nigdzie nie czuli się tak dobrze jak w Ogrodzie. Tu była prawdziwa wolność. Tym przyjemniejsza, że trudna do zdobycia. Dzisiaj to wszystko czuli jeszcze mocniej. Spodziewana przygoda nadała wszystkiemu pełny smak. Ten ranek w Ogrodzie był wyjątkowo świeży, powietrze rześkie, a

zielen soczysta. Umyślnie przechodzili przez największe gąszcza, bo wtedy zimna rosa z pajęczyn i liści padała im na rozgrzane policzki i to było bardzo przyjemne, choć żaden szanujący się Pirat nie przyznałby się do tego. Gdyby nie stanowczy zakaz Zenona, krzyczeliby, śpiewaliby z radości. Ale względy bezpieczeństwa obowiązywały.

Jeden tylko Michał maszerował jak człowiek martwy. Lewa noga. Prawa. Robot nie człowiek.

— To tutaj chyba tak napędzili ci strachu? — zagadnął go Zenon, pokazując wydeptaną trawę i połamane krzewy koło Polany Ostów.

Michał nawet nie odpowiedział.

— Co się tak zamyśliłeś? — pytał złośliwie Zenon.

— Daj mi spokój.

— Wiesz co? Jak na wiceadmirała to ty za dużo myślisz. Skończ już z tym. — Kiedy Zenon był w dobrym humorze, nie znosił koło siebie ponuraków. — Popatrz lepiej na motylki, powąchaj sobie kwiatki.

To mówiąc podstawił złośliwie Michałowi pod nos jakiś kwiatek.

Michał udał, że nie widzi, i patrzył w tak zwaną siną dal.

— Za daleko patrzysz — drażnił go Zenon. — Jeden wilk stale patrzył na chmurki i zdawało mu się, że to baranki, i wiesz, ten wilk zdechl.

— Wolę patrzeć za daleko niż być myjopem, czyli krótkowidzem.

— Masz na myśli swego przyjaciela Andrzeja?

— Nie. Ciebie. Andrzej nosi okulary, ale ty masz krótszy wzrok od niego. Nie mówiąc już o nędzy twojego światopoglądu.

— No ty, tylko bez światopoglądu!

— Pracujesz na wąskich zakresach. I nic się nie znasz na państwowych sprawach —

**zasapał Michał.**

**— Udowodnij.**

**— Mogliśmy zrobić wielką rzecz. Prawdziwą akcję. To byłaby gra o grubą stawkę.**

**— O rany, on znów swoje.**

**— Słuchaj, czy ty wiesz, że jak te typy ukradną ten silnik, to będzie go produkowała zagranica i wtedy... nie będzie dla nas zamówień i nie będzie eksportu ani nawet sławy — Michał wyrzucił jednym tchem wszystko, co go gryzło. — A tak to by Polska była pierwsza z takim silnikiem na świecie i zarobiłaby mnóstwo pieniędzy, o wiele więcej, niż wart jest cały skarb Szwajcra, nawet gdyby tam było dwanaście skrzyń, a w każdej samo złoto.**

**— Zamknij się — mruknął Zenon. — Co takie rzeczy mówić. Przecież to każdy rozumie, no nie, chłopaki? Jakby naprawdę chodziło o fabrykę albo o... no... o Polskę, nie... to nikt by się nie wahał... Ale taka bajka... W zeszłym roku tropiliśmy szpiega. A szpiega nie było. Był tylko numizmatyk. Pamiętasz, ten wariat, co szukał w Ogrodzie starych monet w ramach milenium.**

**Zenon Skrzywił się na tamto wspomnienie.**

**— Był tylko numizmatyk i była kompromitacja — dodał Tadzik.**

**— Właśnie. A ja mam dość kompromitacji i głupich zabaw w podchody. Nie jesteśmy dziećmi. Nawet jak się rozrabia, trzeba rozrabiać poważnie. Mówisz, ukradli kawałek stopu. Czy pierwszy raz? A co było z tą cyną do lutowania? I stopy łożyskowe, i części zamienne też nieraz kradną i opylają prywatnym warsztatom samochodowym. Przecież niedawno posadzili za to czterech — ściszył głos — nawet stryjka naszych Odjemków też. Ale do tego nie potrzeba podkopów. Teraz też ktoś ukradł ten kawałek. I co robić z tego taką historię. Zostaw to milicji. Nie możemy się więcej wygłupiać.**

**— Tym bardziej że mamy poważną robotę — dodał Tadzik.**



— Sam paliłeś się do tych skrzyń...

— Zresztą gdyby był podkop, musiałyby być na wierzchu ziemia, kupa ziemi. Ty wiesz, co znaczy podkop, ile ziemi musieliby wybrać?

— I nie wynieśliby jej w kieszeniach ani nawet w wiaderkach.

— A jeśli nawet tam są jacyś obcy...

— To szukają skrzyń Szwajca.

— Stale tam ktoś grzebie.

— Sam powiedziałaś, że nawet Mulla...

— I dlatego tym bardziej trzeba się spieszyć.

— Bosman mógł się przed kimś przecież wygadać przy wódce.

Zagadali obaj Michała.

— Możecie się nie wysilać — odpowiedział wściekły. — Dostałeś kuku na muniu na punkcie skarbów, Zenon, a w ogóle jesteście prywaciarze, nie dbacie o cele i myślicie tylko, jak nabić kieszenie.

— Co takiego? Chłopaki, czy ja jestem prywaciarz?! — wykrzyknął rozgoryczony

Zenon. — Albo w ogóle ktoś z nas?! No, powiedzcie? Czy my myślimy tylko o kieszeni?

— Pewnie, że nie — przytwierdzili.

— Nie weźmiemy przecież tych skarbów dla siebie.

— Pewnie, że nie.

— Tylko tyle, żeby starczyło na motorowery „Rysie”.

— I na straszaki takie, jak ma Kszyk.

— I na wycieczkę na Rysy.

— I na półwysep Hel.

— I do Jaskini Śnieżnej.

— I na narty z plastykiem.

— I na wędki.

— I na pontony.

— I na płetwy i maski.

— Tak, tylko tyle — powiedział Zenon — a resztę przekażemy... przekażemy... —

urwał, bo przypomniał sobie, że właściwie nie zostało jeszcze dokładnie ustalone, komu  
przekażą. W każdym razie na największe Cele Ideologiczne i Międzynarodowe.

— Dla Abbasa — podpowiedział mu ktoś.

— I dla Fidela Castro.

— I walczącym Murzynom.

— Najwięcej Murzynom.

— No i powiedz sam, kto jest prywaciarzem, a kto naprawdę dba o Cele. Ty? Nie.

My! Bo u nas jest pewna sprawa, a u ciebie tylko jakieś podejrzenia. Sensacja, bracie, cię  
pożarła, ot co. Na kryminalne smaczki leziesz.

Michał zatrząsł się z oburzenia. Ech, nie sposób z nim rozmawiać. Z Zenonem tak  
zawsze. Odwraca kota ogonem. Dlatego uważają go za wielkiego polityka.

Ale nie było nawet czasu na dalsze batalie polityczne, bo, jak wynikało z ogólnego  
podniecenia pirackiej braci, wkraczano właśnie w okolicę strumienia oznaczoną na planie.

Zenon natychmiast skoczył do przodu kolumny i z tylnej kieszeni skórzanych spodni  
wyciągnął dokument. Przebiegł go oczyma i zawołał:

— Potrójny buk! Gdzie jest potrójny buk przy strumieniu? Najpierw trzeba znaleźć  
ten buk.

— Co to znaczy potrójny? — zapytał Susuł.

— Psiakość, nie zapytaliśmy się. Pewnie jeden buk o trzech pniach. Taki... taki, no,

**roztrojon y.**

**— Aha. Roztrojony.**

**Chłopcy rozejrzeli się dookoła.**

**— Jest! Jest! — krzyknął Susuł i rzucił się jak szalony w dół strumienia.**

**Chłopcy pobiegli za nim. Susuł z miną zwycięzcy stał przy wielkim, trójpiennym drzewie i władczym gestem opierał o niego rękę, jakby gotował się do fotografii pamiątkowej.**

**Zenon popatrzył na drzewo, potem na zadowolonego Susuła i krzyknął:**

**— Kretynie!**

**— Co takiego? — Susuł wybałuszył oczy.**

**— To ma być buk! O, grubasie bezwstydney!**

**— No... a co?**

**— To jest nędzny wiąz.**

**— Nędzny wiąz — jęknął Susuł. Zdjął rękę z pnia i trzepotał palcami w powietrzu, jakby sobie ją sparzył.**

**— Czy nie widzisz, że ma liście matowe, szorstkie i ząbkowane, a buk...**

**— A buk ma liście gładkie... — zaczął Większy Odjemek.**

**— ...błyszczące jak blaszki... — uzupełnił Mniejszy.**

**— ...nieząbkowane...**

**— ...i korę gładką...**

**— ...bez bruzd — wyrecytowali na zmianę i do spółki swoim zwyczajem.**

**Zenon potar mosił Susuła za nieuczesaną czuprynę.**

**— Jak będziesz urządzał fałszywe alarmy z powodu nikczemności swojej wiedzy — powiedział — zostaniesz zdegradowany do stopnia kaprała.**

Zenon wiedział, czym zastraszyć Susuła. Zresztą nieraz korzystał z tego prawa i wykres służby Maćka był jak wykres gorączki chorego na żółtą febrę... Ustawiczne wysokie i spadki na dół. Degradacje i awanse, które postępowały po sobie na przemian. Przerażony Susuł skrył się w najodleglejsze szeregi. Zaś Zenon zawrócił armię do punktu wyjścia.

Niestety, dokładne oględziny wykazały, że nad strumieniem nie rośnie nie tylko potrójny, ale w ogóle żaden buk. Wywołało to małą konsternację i, być może, z miejsca położyłoby piracką wyprawę po złote runo, gdyby nie przytomność umysłu Zenona...

— Panowie — krzyknął ów mąż doskonały — nie ma co załamywać rąk, w planie napisano przecież nie: „nad strumieniem”, ale: „przy strumieniu”. „Wyjść od potrójnego buka przy strumieniu” — odczytał głośno.

— To przecież znaczy to samo — zauważył Marian.

— Nie. „Przy strumieniu” może być także dziesięć metrów dalej.

— To by powiedział „koło strumienia”.

— Może by się jeszcze raz spytać? — zaproponowali Odjemkowie.

— To nie jest ważne — przerwał scholastyczny spór Tadzik — trzeba znaleźć ten buk, i koniec. Na szczęście potrójne buki nie rosną tak często.

Podniesieni na duchu chłopcy powrócili do poszukiwań i po dwu minutach triumfalny okrzyk: „Jest, jest!” — świadczył, że ich prace zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Zenon i starszyzna piracka popędzili na to miejsce. Tym razem skrupulatne sprawdzenie cech gatunkowych drzewa pozwalało mniemać, że ów przedstawiciel flory ogrodowej jest rzeczywiście bukiem. Był to nawet wspaniały okaz buka. Jego trzy pnie, gładkie i splecione z sobą jakby w jakimś bolesnym paroksyzmie, przypominały skręcone

cielska olbrzymich węży dusieli. Zenon przez chwilę przyglądał się im w milczeniu.

Działy na wyobraźnię.

— Tak, to jest ten buk — stwierdził urzędowo.

— Chyba tak — mruknął Marian.

— Nie „chyba”, tylko na pewno. Dlaczego mówisz „chyba”?

— Bosman mówił wyraźnie o buku nad wodą, a ten buk znajduje się, lekko biorąc, trzydzieści metrów od strumienia. Czy o takim buku można powiedzieć, że rośnie nad strumieniem? Nie można.

— Nie „nad strumieniem”, tylko „przy strumieniu”.

— Źle zanotowałeś, mówił „nad”.

— Panowie, przecież to wszystko jedno — denerwował się Tadzik — trzydzieści metrów to nie jest ani „nad”, ani „przy”.

— No, to szukajmy dalej!

Przeszukali cały brzeg strumienia, nawet daleko po obu stronach. Ale potrójnego buka nie było ani bliżej, ani dalej, ani chyba w ogóle w całym Ogrodzie.

— To musi być ten! — zdecydował Zenon.

Wszyscy się zgodzili, choć złe przeczucia już wtedy zaczęły nurtować niejednego.

Plan się nie bardzo zgadzał. Nie mogło być wątpliwości. Ale co było robić? Dobrze, że w ogóle ten buk znaleźli.

Bez słowa protestu wytyczyli więc od buka prostopadłą do strumienia. Wypadła mniej więcej pięć metrów poniżej miejsca, gdzie stał rozbity czołg.

— Też kombinacja! — mruknął Marian. — Zamiast kręcić z tym bukiem, Bosman mógł przecież po prostu powiedzieć o czołgu.

— Głupiś — zgasił go Zenon. — Przecież jak on zwał od Szwajca, to jeszcze nie było

**tu czołgu.**

**— Jasne — przytwierdził Tadzik — czołg został rozbity w ostatnich godzinach przed wyzwoleniem Nieklāja.**

**— Wyzwolenie było osiemnastego stycznia... — zaczął Odjemek Większy.**

**— ...tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku — uzupełnił Mniejszy.**

**— ...piętnaście i pół roku temu...**

**— ...a Bosman uciekł stamtąd piętnastego stycznia...**

**— ...tego roku.**

**— A potem w ogóle tu nie zaglądał i nie ma zielonego pojęcia o czołgu.**

**Obroniwszy w ten sposób honor Bosmana przeszli na drugą stronę strumienia i zgodnie z planem odmierzyli stąd dwadzieścia pięć „długich” kroków. Ku ogólnemu jednak zdumieniu te dwadzieścia pięć kroków wypadło akurat na mały zagajnik przy Wysokiej Polanie.**

**— Znów coś pokielbaszone — jęknął Marian.**

**— Nie pomyliliście się? — zapytał niespokojnie Zenon.**

**— Nie, skąd! — odpowiedzieli.**

**Nie dowierzając chłopcom, Zenon osobiście sprawdził. Rzeczywiście, wypadło prawie w tym samym miejscu. Różnica nie przewyższała pół kroku.**

**— To chyba niemożliwe — powiedział Marian.**

**— Dlaczego? — zapytał Zenon sam podenerwowany.**

**— Bo przecież to miejsce jest całkiem zarośnięte.**

**— A co ty myślisz? Przez piętnaście lat mogło nie zarosnąć? — wmieszał się Tomek.**

**— Ale nie takimi drzewami. Zobacz, ta brzoźka ma już chyba ze trzydzieści lat.**

**— Skąd wiesz?**

— No, tak na oko.

— Wypchaj się z twoim okiem — krzyknął Tomek — dalej, chłopaki, dajcie no tu rydła.

— W takim razie zobacz ten świerk, co tu rośnie — nie ustępował Marian — i policz, ile ma gałęzi od dołu do góry.

— Po co mam liczyć? — zapytał Tomek.

— Zobacz, te gałęzie wyrastają z pnia jakby piętrami, a chyba wiesz, że każdego roku przybywa jedno piętro. Wystarczy więc policzyć, a będziemy mieli wiek drzewa.

— Dwadzieścia dwa piętra! — krzyknął Susuł. — On ma rację, Tomek, tu nie mogło być żadnej piwnicy.

— Może się pomyliliśmy o krok albo nawet dwa, ale to przecież nie ma znaczenia.

**Kopmy.**

— Ale powinny być przynajmniej jakieś gruzy. A tu nic nie widać.

— Może zarosły trawą. Dajcie rydel! — krzyknął Tomek i wyrwał łopatę Susułowi.

Z zapalem i wiarą w nieomylność Bosmana wziął się sam do kopania. Ale łopata wchodziła miękko w czarną próchniczą ziemię. Spróbował jeszcze metr w jedną, metr w drugą stronę. To samo. Ogrodnicza ziemia. Ani śladu schronu.

— Nic nie rozumiem — rzekł, ocierając czoło.

Wszyscy milczeli i patrzyli na Zenona zmartwieni, przygnębieni i rozczarowani.

— No, co się tak patrzycie?... On sam jeden ma kopać? Bierzcie łopaty i kopcie.

— Ale przecież Bosman... — zaczął Marian.

— Co Bosman?

— Musiał się pomylić...

— Bosman się nie pomylił.

— Tylko co?

— Tylko coś tu się musiało zmienić. Przecież była jeszcze wojna, przechodził front, no i piętnaście lat też swoje robi. Ale to musi być gdzieś w tym miejscu. Trochę bliżej, trochę dalej, ale musi. Na całej Wysokiej Polanie, wszędzie dookoła trzeba szukać. No, jazda, chłopcy.

Chłopcy chwycili łopaty.

\* \* \*

— Nudy na pudy — ziewnął Maciek Susuł, leżąc leniwie wyciągnięty pod wierzbą.

I to odezwane chyba najlepiej charakteryzowało sytuację, w której znalazła się prześwietna armia Zenona około godziny dziesiątej na Wysokiej Polanie. Trzy godziny bezskutecznych poszukiwań zmogły najsilniejszych, najbardziej zahartowanych w trudach Piratów. Nie chodziło już nawet o zmęczenie fizyczne. Ale po prostu wszyscy stracili wiarę. Tylko jeden jeszcze Tadzik dziobał wytrwale wciąż w tym samym miejscu, tam gdzie zaczął o siódmej. Dół, który wygrzebał, zakrył go już niemal całkowicie, a obok jego stanowiska wyrosła góra gruzów. Był to niestety jedyny efekt jego daremnych wysiłków.

Podobne, choć mniejsze, kopce i dolki znaczyły pracę pozostałych chłopców, tak, że teren w promieniu stu metrów przypominał, jak żywo, kraterową powierzchnię księżyca. Jedynie porzucone tu i tam narzędzia świadczyły, że ta rzeźba terenu jest dziełem człowieka.

Bractwo leżało rozmamlane, bez koszul, wzdłuż terenów poszukiwań od zagajnika i Wielkich Polan aż do strumienia, podobne do udręczonych niepowodzeniem poszukiwaczy złota. Zapasy żywności zostały gruntownie pożarte, łącznie z dropsami...

Nawet sam Zenon podupadł na duchu. Siedział z głową ukrytą w dłoniach i gorzko przeżuwał klęskę wyprawy.



Ponurą ciszę przerywało tylko od czasu do czasu krzykliwe „zaklepywanie” się malców przy czołgu. Część ich zdezerterowała od razu po pierwszych niepowodzeniach. Reszta straciła fason i bawiła się w... chowanego, w „dolkach wykopaliskowych”, co napelniało Zenona przykrym uczuciem i dopełniało miary rozgoryczenia.

Zastanawiał się, czy nie pójść do Bosmana i nie zażądać wyjaśnień, ale bał się, że po powrocie nie zastałby już ani jednego Pirata. Zresztą myśl, że Bosman mógł się pomylić lub skłamać, była nie do przyjęcia dla Zenona. Nie chciał, nie mógł uwierzyć, że został nabrany. To byłoby zbyt straszne. Gdyby został nabrany przez Bosmana, przestałby w ogóle wierzyć ludziom. I już by w nic nie wierzył. W nic. I wyjechałby z Niekłaja... gdzieś w świat. Nie mógłby tu żyć. Taka kompromitacja. Za bardzo się zaangażował w tę sprawę. Ale Bosman nie może kłamać. Tylko w tym jest jakaś tajemnica, której Zenon nie może rozgryźć. Ale jaka? Zupełnie nie wiedział. I co teraz robić? A trzeba coś robić. Inaczej wszyscy sobie pójdą rozczarowani. I to będzie koniec sławnej organizacji Piratów. Wspólna żądza zdobycia skrzyń Szwajca — to ich przecież właściwie łączyło.

Nagle przypomniał sobie o Michale, Kolonistach, propozycjach Andrzeja i coś mu przyszło do głowy.

Skinął na Tomka i polecił mu wezwać natychmiast Michała. Chudzielec kropnął się w kierunku bramy, gdzie Michał z ponurą miną ubezpieczał Ogród.

Kiedy Michał się zjawił, Zenon zapytał go:

— Do której godziny ci dranie, Koloniści, mieli czekać na odpowiedź?

— Chcesz się zgodzić na rozejm? — ożywił się Michał.

— Odpowiedz na moje pytanie.

— Mieli czekać do dziesiątej.

Zenon zerknął na zegarek. Było już pięć po dziesiątej.

— Za późno — powiedział.

— Nie szkodzi, ja pójdę, pogadam z Andrzejem, na pewno się zgodzi. Omówimy razem plan działania.

— Nigdzie nie pójdziesz. Nie będzie rozejmu. Będzie bitwa — powiedział Zenon.

— Bitwa? — Michał wytrzeszczył oczy. — Chcesz się bić? Oszalałeś!

— Zaslugują na to, żeby im przetrzepać skórę. A chłopaki rozerwą się trochę.

Zobacz, wszyscy się nudzą — ziewnął Zenon. — Co, dobry pomysł?

Michał patrzył na niego ponuro. Chciał powiedzieć, co sądzi o tym pomysle, ale

Zenon zerwał się już z trawnika.

— Chłopaki! — krzyknął. — Alarm! Koloniści u bram!

— Zasolimy im!

— Hura! — zerwali się.

Zenon uśmiechnął się zadowolony. Tak, nie mógł wpaść na lepszy pomysł.

Piraci chwyтали za porzuconą broń, zakładali koszule i chusty. Stawali gotowi w szeregu. Gdzieś zniknęło zmęczenie. A może to nie było wcale zmęczenie, tylko tak zwana nuda pospolita, choroba leniwych plemion.

Michał patrzył na nich z gorzką pogardą. Nędzne typki. Mało im potrzeba do zadowolenia. Trochę ruchu, hałasu, bijatyki i już są szczęśliwi.

— Sprzątnąć narzędzia — wydawał rozkazy Zenon. — Susu! i dwu nieletnich, do mnie! Weźcie łopaty. Będziecie pracowali na wabia. Urządzamy zasadzkę. Wszyscy się chowają dookoła Polany. Susu! i nieletni udają, że kopią na środku. Kiedy dam sygnał gwizdem, ty, Susu!, najpierw głośno powiesz: „Wszyscy opuścili Zenona i zwiali. Zostało nas tylko trzech”, a nieletni odpowiedzą: „A do tego Zenona rozbolał brzuch i leży bezbronny w krzakach”. Powtórzcie.

**Susuł wyrecytował:**

— „Wszyscy opuścili Zenona i zwiali. Zostało nas tylko trzech”.

— Klepiesz jak wiersz — powiedział Zenon — to nie szkoła. Z większym przejęciem i wyczuciem. Powtórz.

**Susuł powtórzył.**

— Ech, talentu to ty nie masz, no, ale niech będzie.

— Teraz nieletni!

**Nieletni wydukali:**

— „A do tego Zenona rozbolał brzuch i leży bezbronny w krzakach”.

— Może być. Tylko głośno, żeby Koloniści usłyszeli. Pamiętajcie — uprzedził ich

Zenon. — Jak to powiecie, wtedy ci tchórze, Koloniści, zaatakują was od razu.

— Zaatakują? — Susułowi zrobiło się natychmiast gorąco.

— No, przecież o to chodzi, żeby was zaatakowali. A wtedy my wypadniemy z krzaków, otoczymy ich i zniszczymy.

— A my? — zapytał Susuł.

— Co, wy?

— A co będzie z nami, zanim wy wypadniecie z krzaków?

— Będziecie się bronić.

— Ja dziękuję — jęknął Susuł — zanim wy wypadniecie, oni nas rozniosą. Ja

dziękuję. Niech to robi kto inny — otarł pot. — Ja dzisiaj i tak się napracowałem. Dlaczego wciąż ja?...

— Musisz to zrobić, Susuł.

— Dlaczego?

— Bo jesteście zachęcający.

— Zachęcający. Niby jak to?

— Zachęcasz do bicia. No, rozumiesz?

— Niezupełnie — zamrugał oczyma Susuł.

— Przejrzyj się w lusterku, to zrozumiesz.

Susuł, mrużąc, przejrzał się w lusterku i wzruszył ramionami. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jest zachęcający.

— Dobra — powiedział — ja się jeszcze raz poświęcę za ogół, ale za to po bitwie zostanę mianowany pułkownikiem.

— Oszalałeś?! To niemożliwe! — powiedział Zenon. — Jesteś dopiero sierżantem.

— No, to chociaż majorem. Marian jest majorem.

— Masz za duże wymagania, Susuł. Czy wiesz, że wielki wódz Czarniecki otrzymał buławę hetmańską dopiero na łożu śmierci? Nie wiesz. Oczywiście. I nie odróżniasz buku od wiązu. Nie, stanowczo nie zasługujesz na oficerską rangę.

— Ale za dzielność. No, chociaż kapitanem — dopraszał się Susuł.

Zenon chrząknął.

— Nie, jak będziesz spełniał wszystkie rozkazy, zostaniesz porucznikiem.

Susuł westchnął pod nosem. Co robić? Jak się jest tylko sierżantem, to i ranga porucznika nie jest do pogardzenia.

— Tak jest, admirale! — zasalutował i krzyknawszy na nieletnich, pobiegł na stanowisko.

## Rozdział XVIII

Andrzej czekał niecierpliwie przy magazynie Zakładów na przybycie Michała.

Zbiórkę zarządził na dziewiątą. Żeby się chłopakom nie nudziło, pozwolił im pograć sobie w piłkę na starym boisku za murem fabrycznym.

**Ledwo zaczęli grać, już byli czarni jak żużlowcy na zawodach motorowych. To od sady, której pełno na wydeptanym boisku. Nie tylko zresztą na boisku. Pełno jej także w zadymionym powietrzu.**

**Żeby jak najprędzej uporządkować Ogród! Zrobić tam nowe boiska i bieżnie. Od wczoraj nabral otuchy, że wszystko zrobi szybciej, niż planował. Włączy do akcji wszystkich chłopaków i dziewczęta. Wspólna akcja przeciw włamywaczom ich zjednoczy. Po tej akcji wszyscy razem wezmą się do roboty. Jeszcze w sierpniu zagrają pierwszy mecz.**

**Ten Michał to całkiem przyjemny chłopak. Widocznie nie wszyscy Tubylcy są nieokrzesani, dzicy, fałszywi, kradną i piją wódkę, jak niesie wieść na Nowej Kolonii Osiedla. Musi być w tym dużo plotek. Ale trudno się dziwić. Sami sobie nawarzyli piwa.**

**Taką sobie wyrobili opinię. Wszystko dlatego, że są źle zorganizowani. Według staroświeckich wzorów. Gdyby ich Andrzej zorganizował... Ho, ho... Co to za idiotyzm bawić się w Piratów i wywieszać czarne flagi! Andrzej uśmiechnął się pogardliwie.**

**Ciemnota. Zacofanie. Gdyby jeszcze bawili się w kosmonautów albo w komandosów, albo chociaż w partyzantów. Ale Piraci? A w ogóle wszystko u nich jest pomyłone. Piraci, to znaczy przecież rozbójnicy morscy. A tu przecież nie ma morza ani nawet sadzawki czy rzeki, gdzie można by pływać. Piraci muszą mieć okręt, a oni nie mają nawet balii. Poza tym Piraci są źli. A ci idioci na swojej fladze wywiesili hasło: „Śmierć kolonizmowi i imperializmowi”. Kto kiedy widział takich Piratów? Zupełnie bez wyrobienia politycznego i bez kręgosłupa ideowego! Andrzej zna się trochę na tym. Kiedy był mały i ojciec nie miał go przy kim zostawiać, zabierał go na wszystkie zebrania. Andrzej siedział pod stołem nakrytym czerwonym suknem. A czasem nawet na krześle w prezydium zasiadał. Jak się od małego w prezydium siedziało, to ma się to wyrobienie i ten kręgosłup, proszę was.**

**Dlatego gdy przybyli w zeszłym roku z Warszawy do tego głupiego Nieklāja, od razu**

poczuł się trochę jak aktywista w terenie.

Tak, teraz Andrzej obejmie kierownictwo ideologiczne. Dawno już marzył o ucywilizowaniu tutejszych dzikich, tubylczych plemion. Skończą się wojny, marnowanie czasu i poszukiwanie skarbów. Będą robić same pożyteczne akcje, a bawić się w modelarni i na boisku. O, już Andrzej potrafi wziąć się za nich. Tym bardziej, że przecież wszyscy są harcerzami, a Andrzej zostanie chyba w tym roku przybocznym i będzie nosił zielony sznur. Doktor Otrębus, który jest instruktorem, dał mu to do zrozumienia. Mogą co prawda być trudności ze względu na wiek, ale Andrzej ma już prawie piętnaście lat, stopień ćwika oraz jedenaście sprawności, więc chyba jednak zostanie tym przybocznym.

I wtedy zorganizuje tych chłopców w nowoczesną paczkę. Ale pomyślał, że to już jest marzycielstwo, i wzdrygnął się. Powinien być człowiekiem czynu i planować, a nie marzyć. Planować zaś można tylko z ołówkiem w ręku: tak mówi ojciec i doktor Otrębus. Z ołówkiem, a nie z gwizdkiem. Bo Andrzej ma właśnie w ręku gwizdek. Czy już zagwizdać na zbiórkę?

Spojrzał na zegarek. Było pięć po dziesiątej.

— Andrzej, na co czekamy? — Jurek Reksza podszedł do niego ze zniecierpliwioną miną. W ręce miał mieszek do nadymania kajaków i gumowych łodzi. — To rozpylacz — wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie bądź śmieszny, na co ci to?

— Na co? — Reksza przymrużył chytrze kocie oczy. — A na to! — klapnął deseczką przyrządu.

Tuman duszącego pyłu wydostał się z miecha. Andrzejowi momentalnie wszystkie świeceki stanęły w oczach. Zaczął kichać i kaszleć. Przez mgłę widział tylko czubek strzyżonej na jeża głowy Rekszy. Łobuz, rżąc z uciechy, dał dalej.

— Dosyć! Zwariowałeś?!

Reksza opuścił mieszek.

— Ale co, pracuje jak ta lala! Całe kilo krupczatki, do tego naftalina z papryką i sześć pudełek Azotoxu. Mieszanka bojowa.

— Bojowa? — zdziwił się Andrzej.

— Będziemy przecież kropić Tubylców.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— No, no, nie zalewaj. Przecież zarządziłeś specjalną zbiórkę. Ja rozumiem. Tajna mobilizacja, język za zębami, żeby się wróg nie skapował, ale nasze chłopaki się domyślili. Masz rację, bracie. Najwyższy czas dać bobu tym Tubylcom. Raz, a dobrze! Wszyscy chcą im dać bobu. Patrz, poprzychodzili z bronią.

Dopiero teraz Andrzej zauważył, że wielu Kolonistów miało za pasem miecze grunwaldzkie, pistolety sprężynowe, a niektórzy dziwnie wypchane kieszenie, zaś pod murem fabrycznym leżały jakieś drażki czy żerdzie.

— To dzidy — wyjaśnił Reksza — niektórzy przynieśli jeszcze proce i łuki, ale nie umywa się do rozpylaczy. Mamy ich jeszcze cztery — poinformował.

Andrzej skrzywił się na ten widok. Nawyki wojownicze tkwiły mocno w Kolonistach i raz po raz podnosiły się żądania ataku zbrojnego na Tubylców. Prawdę mówiąc, nie bez racji. Piraci zasłużyli sobie na lanie. Ostatnio honor i skóra Kolonistów mocno ucierpiały od zdradzieckich napadów tubylczej dziczy, wczoraj znów ich pobili i zrabowali narzędzia. Nic więc dziwnego, że żądza „krwawego odwetu” rozpalala serca chłopaków.

Istotnie, sytuacja domagała się rozwiązania. Albo oba związki będą pracowały razem, albo jedni z nich muszą opuścić Ogród, a ponieważ, rzecz jasna, nikt nie opuści dobrowolnie Ogrodu, więc tylko współpraca albo wojna... Trzeciego wyjścia nie ma.

Oczywiście Andrzej wzdryga się na myśl o wojnie. Nie dlatego, żeby był tchórzem, ale że wojna nie doprowadziłaby do niczego. Nie tylko nie zdobyliby Ogródu, ale przeciwnie, jedni i drudzy zostaliby wypędzeni z niego na zawsze. Gdyby bowiem starsi zauważyli, że Ogród stał się terenem bójek, przegnaliby ich stamtąd na dobre. Zreperowaliby mur i postawili strażników albo czym prędzej wydzierżawili ogrodnikom. A nawet gdyby któremuś związkowi udało się przejściowo opanować Ogród, to i tak nie miałby spokoju i musiałby bez przerwy trzymać straże, bo w każdej chwili groziłby mu atak.

„Tak — westchnął Andrzej — wojna między Sprzysiężeniem Piratów a Federacją Astronautów, czyli Kolonistami, do niczego nie doprowadzi”.

Nie, już naprawdę nie da się dłużej czekać. Dlaczego Michał nie przychodzi? Czyżby z porozumienia nici? Ale w takim razie i tak powinien przyjść. Mają przecież razem brać się do specjalnej akcji. Może jest chory, może go nie puścili?

Andrzej przygryzł wargi. W każdym razie za łatwo uwierzył w dobre chęci Tubylców i rozsądek Zenona. Że też mógł być taki łatwowierny! Zjednoczenie we wspólnej akcji, zgoda, pokój — nie, to byłoby zbyt piękne. Tubylcy mają jakieś swoje ciemne cele. Na pewno jest ziarno prawdy w tym, co mówią o nich ludzie w ogonkach sklepowych i w poczekalniach przychodni lekarskich. Tak czy owak należy ruszyć do Ogródu i wyjaśnić sprawę na miejscu. W razie czego Andrzej podejmie akcję sam. Sprawa jest zbyt poważna i nie cierpiąca zwłoki. A jeśli Piraci nie wpuszczą ich do Ogródu, jeśli nie pozwolą pracować albo nie oddadzą dobrowolnie oskardów i łopat? No cóż, wtedy trudno. Trzeba będzie użyć siły. Andrzej mógłby co prawda poskarżyć się w Dyrekcji, ale nie znosi skarżenia. Z rówieśnikami woli załatwiać sam.

\* \* \*



Tak myślał coraz chmurniej, wreszcie o godzinie dziesiątej piętnaście udał się do magazynu fabrycznego po narzędzia.

— Wczoraj nie zwróciliście wszystkich — przypomniał ostro magazynier.

— Dzisiaj oddamy — rzekł pospiesznie zaczerwieniony Andrzej.

— No, no, uważajcie, żeby co nie zginęło, bo będziecie płacić.

— Niech pan się nie boi.

Tak, dobrowolnie czy nie, Tubylcy muszą oddać narzędzia! To już sobie postanowił.

„No i proszę. Jeszcze jeden powód do wojny” — westchnął w myśli. Och, powodów było aż nadto. W każdym razie, jeśli ta wojna wybuchnie, to nie z jego winy.

Szli ostrożnie, skrajem ścieżki. Podejrzane, zaścielone chrustem i suchymi liśćmi miejsca kluli najpierw oszczepami. Nauczeni doświadczeniem bali się wilczych dołów.

Do ostatka Andrzej miał jeszcze nadzieję, że wojny uda się uniknąć. Być może

Ogród będzie pusty albo Tubylcy pozostaną swoim dzikim zwyczajem w krzakach i do starcia nie dojdzie.

Inaczej jednak chcieli bogowie wojny! Tuż przed Wysokimi Polanami Andrzej wysłał naprzód zwiad, żeby mu doniósł, jak wygląda sytuacja. Zwiadowcy wrócili z podniecającą wieścią:

— Tubylcy ryją teren!

— Ilu ich jest?

— Widzieliśmy trzech, ale pewnie jest więcej, bo całe pole zryte.

— Atakujemy, Andrzej? — zapytał Reksza.

Andrzej nic nie powiedział, kiwnął tylko na niego, wziął jeszcze ze sobą dwu najstarszych chłopców, Krzysztofa i Jacka, i wdrapał się z nimi na pierwsze piętro ruin pałacowych.

Rozpościerał się stąd widok na dawny ogród kwiatowy, ujeżdżalnię koni i kort tenisowy. Te zarośnięte i zrujnowane do niepoznania obiekty nazwali chłopcy „Wysokimi Polanami”. Były to właśnie tereny porządkowane przez Kolonistów.

Chłopcy wyjrżeli przez wypalone okno i omal nie krzyknęli z oburzenia. Największa, z takim nakładem pracy wyrównana polana, przedstawiała pożałowania godny widok. Cała była podziurawiona wielkimi dołami. A pośrodku kuło jeszcze zawzięcie oskardami trzech Tubylców.

— Ohydny tłuscioch. Patrzcie, z jakim zapalem wali! — krzyknął wzburzony Reksza, pokazując na pracującego Susuła.

— Nędznicy. Naszymi własnymi oskardami — zasapał Krzysztof, zaciskając pięści. Reksza chciał od razu „zażyć ich z rozpylacza”, jak powiedział, ale Andrzej go powstrzymał.

— Przecież jest ich tylko trzech — zdziwił się Reksza.

— Ale reszta może być gdzieś ukryta w pobliżu. Musimy ich podejść ostrożnie.

\* \* \*

Czając się za drzewami, zaczęli więc podchodzić ostrożnie, aż dotarli do samego krańca zarośli...

Widzieli stąd dokładnie pracujących Tubylców.

— Co im strzeliło do głowy? — szepnął przez zęby Reksza.

— Głupota — powiedział Krzysztof.

— Nie, to złośliwość!

— Szukają skarbów... — mruknął pogardliwie Jacek.

— Co za głupcy!

W tym momencie rozległ się gwizd.

— Cicho... — syknął Andrzej. — Ktoś gwizdał, słyszeliście?

— Nie, to ptak — mruknął Jacek.

— Ciii... Ten gruby Tubylec coś mówi.

Zamienili się w słuch. W ciszy ogrodowej zabrzmiały nagle płaczliwe słowa:

— Wszyscy... wszyscy opuścili Zenona i zwiali. Zostało nas tylko trzech.

A cienkie głosy odpowiedziały, jękając się jeszcze bardziej:

— A... a... do-do ttego Zzzzenona rozboleł bbrzuch i leży bbezbronny www krzakach.

Co powiedziawszy, cała trójka nie wytrzymała nerwowo i, nie czekając na efekt, rzuciła się natychmiast do ucieczki.

— Przedziwne typy — zauważył Reksza.

— Co oni tam samych jękałów mają? — zapytał rozbawiony Krzysztof.

— Głupi, to ze strachu, że zostali sami. Boją się.

— Patrzcie, już wieją.

— Nie mogli chyba nas zobaczyć — zaniepokoił się Andrzej.

— Pewnie że nie, ale przecucie im powiedziało.

\* \* \*

Tymczasem Susuł zadyszany i ledwo żywy wpadł w krzaki, gdzie siedział Zenon. Za Susulem wpadli nieletni.

Zenon zatrząsł się z gniewu. Wszystko było na nic. Czy z takimi szczeniakami można pracować? Położą najsubtelniejsze fortele. Najgorsze, że nawet nie może ich skrzyczeć i dać upustu swej wściekłości, bo mógłby zdradzić swoją obecność Kolonistom. Cisza obowiązuje.

Wziął tylko Susuła za kołnierz i syknął mu do ucha:

— Czemu zwiałeś, miałeś czekać, aż oni zaczną cię bić, idioto.

— My... myślałem, że już biją — wykrztusił Susuł. — Słowo daję, tak myślałem...

— Ty tchórze, zdegraduję cię do szeregowca. Wracaj natychmiast na pozycję.

— Co?... Dlaczego?...

— Musisz powtórzyć jeszcze raz.

— Z mówieniem?

— Bez mówienia, ty ośle, przecież by się poznali, że to komedia. No, jazda!... —

wypchnął z powrotem Susuła.

Susuł wbiegł z powrotem na Polanę, ze strachu śmiesznie drobiąc odnóżami. Sam jeden był tym razem, bo malcy najedli się takiego strachu, że w żaden sposób, ani groźbami, ani obietnicami, nie dało się ich nakłonić do powtórzenia sceny.

Na widok wracającego tłuszciocha Koloniści wytrzeszczyli oczy.

— Mówiłeś, że się boi, a on wraca — powiedział do Rekszy Krzysztof.

— Bezczelny grubas!

— Patrzcie, znów zabiera się do swojej drańskiej roboty — szepnął Jacek.

— Andrzej, atakujemy! Czego się boisz? — Rekszy zaświeciły się oczy. — Jest ich tylko trzech, słyszałeś przecież. A Zenona brzuch boli. Weźmiemy go w jasyr. Zapłaci nam za wszystko.

Andrzej milczał ponuro.

Krzysztof podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Rozumiem, dlaczego jesteś wściekły. Wolalbyś, żeby tam było ich z dziesięciu.

Andrzej pokiwał głową.

— Co za pech! Zamiast Zenona i armii śmieszny tłuszcioch i dwu maluchów — westchnął Krzysztof. — Ja bym też nie mógł atakować.

— Wytlumacz to im — Andrzej pokazał na Rekszę i innych.

**Krzysztof wzruszył ramionami.**

**Właśnie Reksza podszedł do nich, klapiąc z niecierpliwością miechem.**

**— No co, nie zalejemy im sadła, Andrzej?**

**— Nie.**

**— Dlaczego?**

**— Na jednego szczeniaka byś napadł i do tego zmienacka?**

**— Przecież jest wojna. To można. Ja wiem, jak jest na wojnie, tatuś opowiadał, że jeden czy tysiąc, bije się bez różnicy i zmienacka. A oni na ciebie nie napadli? I to podczas rozejmu?**

**— Ale ja nie chcę być taki, jak oni.**

**— Może chciałbyś ich uprzedzić — zadrwił Reksza — tak jak w książce o rycerzach.**

**Ty, rycerz, nie bądź frajer, sam mówiłeś, że jesteś nowoczesny. To i wojnę prowadź nowoczesnie. Zaskoczenie, zasadzka to jest nowoczesna wojna. Ja, bracie, czytałem „Wspomnienia partyzantów”, to wiem.**

**— Sam przecież kazalesz czołgać się cicho, żeby ich zaskoczyć — dodał Jacek.**

**— Nie wiedziałem, że jest ich naprawdę tylko trzech.**

**— No, to co chcesz w końcu zrobić? — powiedział rozgoryczony Reksza.**

**— Boisz się, żeby ci się mieszanka bojowa nie zmarnowała? — zapytał Andrzej.**

**Reksza wzruszył obrażony ramionami.**

**— Chodzi tylko o oskardy i łopaty.**

**— Naprawdę tylko?**

**— Tak, tylko. I pytam cię, czy chcesz je zostawić w ręku tego tłusciocha?**

**— Nie.**

**— To co zrobisz?**

— **Zobaczysz.**

**To mówiąc, Andrzej wstał i podszedł do Susuła.**

— **Hej, Tubylcze — zawołał — dosyć już tej zabawy!**

**Susuł obrócił się i zdębiał na widok sławnego szefa Kolonistów. W pierwszej chwili chciał uciekać, ale tym razem strach był tak wielki, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa.**

**Patrzył tylko z półotwartymi ustami na Kszyka, oczekując ciosu, a powieki drgały mu nerwowo.**

**Ale zamiast ciosu doszedł go głos:**

— **Ciemny mastodencie, czy rozumiesz, co robisz? Zniszczyliście naszą pracę. Tu miały być place sportowe, także i dla was, Tubylcy prymitywni. A wy coście zrobili?...**

**Powinniśmy za to połamać wam kości, a sadło twoje, przyjacielu, przetopić na margarynę lub ceres. Wyglądasz jednak zbyt żałośnie i wiemy, że jesteś ciemną masą. Dlatego bierzemy cię tylko do niewoli i poddamy przeszkoleniu politycznemu. Oddaj oskardy i łopaty!**

**Susuł wybałuszył oczy na taką przemowę. Nie wiedział, co ma robić. Tego nie było w programie. Był przygotowany na bicie, już nawet wypiął pierś, by przyjąć ofiarnie ciosy wroga. A tymczasem nie biją, tylko przemawiają i biorą do niewoli. Rozejrzał się dookoła, czy Zenon nie biegnie już z armią, ale było cicho. Nikt nie biegł.**

**\* \* \***

**Tubylcy z nie mniejszym niż on oglupieniem przyglądali się dziwnemu zachowaniu Kolonistów. Tego nikt nie przewidział. Czyżby świetny pomysł zasadzki spalił na panewce? Sam Zenon był zdenerwowany.**

— **Coś takiego, popatrz, nie atakują! — szepnął do Tadzika.**

— **Tak, na nic wszystko. Idzie do niewoli. Tegośmy nie przewidzieli — odparł zmartwiony Tadzik.**

## Rozdział XIX

Ale wypadki potoczyły się inaczej.

Susuł rozglądał się coraz bardziej rozpaczliwie.

Uciekać już za późno, dopędzą. Udać się do niewoli na oczach wszystkich Piratów?

Nie, Susuł ma przecież swój honor. Żeby to jeszcze do zwykłej niewoli, ale tu przeskoleniem grożą, a Susuł w czasie wakacji ma wstręt do wszystkiego, co pachnie szkołą. Co robić w takiej sytuacji? I pomyślał, że tu już nic nie pozostaje, jak być bohaterem.

Wypiął więc jeszcze bardziej pierś i przewyciężając słabość, drżącą szpadą ugodził Andrzeja, co prawda raczej symbolicznie, ale za to efektownie i z głośnym okrzykiem:

— Nie weźmiecie mnie! Pirata nie bierze się żywcem. Precz z kolonizmem!

\* \* \*

Chłopcy w krzakach ścisnęli się za ręce. Nawet Zenona aż zatkało z wrażenia.

— Słyszeliście, Piraci, tak się umiera! — szepnął po raz pierwszy chyba z prawdziwym wzruszeniem.

Postawa bohatera Susuła dodała wszystkim animuszu, no bo jeśli nawet Susuł potrafił być bohaterem, to cóż dopiero oni.

— Przedstawić Susuła do odznaczenia i awansu — Zenon zwrócił się do Tadzika. —

A wy wszyscy gotujcie się do ataku.

Tymczasem po drugiej stronie Polany zawrzało. Na widok bezczelnego postępu tłuściocha Reksza nie wytrzymał dłużej, lecz z Okrzykiem: „To zniewaga. Smarkacz uderzył wodza!” — rzucił się do ataku.

Za nim sypnęli się inni.

W oka mgnieniu otoczyli Susuła... lecz wtedy nagle przeraźliwy wrzask podniósł się z

zarośli, a istny grad pocisków zasypał polanę.

— Zasadzka! — krzyknął Andrzej, puszczając Susuła. — Padnij! — wydał komendę.

— No i widzisz, ty rycerzu — rzucił mu w twarz, padając na trawę koło niego, Reksza. — Oni nie bawią się w rycerstwo!

Tymczasem już dookoła z zarośli wysypywali się Piraci i krzycząc: „Śmierć Kolonistom!” — pędzili do ataku.

Reksza i pozostali posiadacze rozpylaczy chcieli od razu wypróbować nową broń, ale Andrzej powstrzymał ich ostro:

— Leżeć spokojnie. Dopiero na moją komendę, kiedy podejda bliżej, zaatakujecie wszyscy naraz.

Niestety, wielu innych Kolonistów na widok nacierających Piratów nie wytrzymało nerwowo, łamali rozkaz Andrzeja, zrywali się z ziemi i chcieli wydrzeć się na własną rękę z kotła. Ale były to próby daremne, gdyż nadziewali się na zwarty, najeżony mieczami, pierścień wroga.

Piraci szli — jeden przy drugim, ciasno, kolistym szykiem — do środka, coraz bardziej zaciskając kocioł, a spoza ich pleców łucznicy i procarze strzelali nieprzerwanie. Nieszczęśni Koloniści rażeni skoncentrowanym „ogniem” biegali tam i z powrotem, trzymając się za głowy.

Dostało się i Susułowi, zanim go przepuścili przez pierścień. Za to później czekało go wyróżnienie. Zenon pieszczotliwie kuksnął go w żołądek.

— Doskonale, Susułu. Mianuję cię porucznikiem. Dostatek już się zmachałeś. Możesz odpocząć w cieniu.

Ale Susułu nie chciał o tym słyszeć, lecz stanął od razu do walki przy boku Zenona.



— Chcę walczyć nareszcie normalnie — powiedział.

— Wiele się nie nawalczysz. To już koniec. — Zenon pokazał na szamocących się w kotle Kolonistów. — Zaraz przystąpię do likwidacji kotła. Zobaczcie tylko, zupełnie potracili głowy. Latają jak wariaci.

— Nie wszyscy. Niektórzy leżą — wtrącił Tadzik. — Nie podoba mi się, że leżą.

— Ty zawsze musisz krakać.

— To dlaczego leżą?

— Bo mają boja.

Lecz już następne sekundy potwierdziły obawy Tadzika. Gdy pierwsze szeregi Piratów zbliżyły się na dwa metry, Andrzej poderwał leżących chłopców komendą:

— Naprzód!

Kiedy zaś Koloniści zerwali się na nogi, zaczęły się dziać rzeczy bardzo dziwne i raczej nie notowane dotąd w kronikach wojennych.

Zenon nie od razu ocenił grozę sytuacji. Dopiero, kiedy lewe skrzydło złożone przeważnie z nieletnich pierzchło z krzykiem: „O raju! Gazy puszczają!” — zorientował się, że coś nie jest w porządku i bezzwłocznie ruszył w tamtą stronę. To, co zobaczył, wprowadziło go w stan osłupienia. Pół armii pokrywały tumany dziwnego, różowego pyłu, a w tych tumanach rozlegały się jakieś odgłosy podobne do salw armatnich, ale to nie były salwy, to pół armii kichało.

— Co wy?! Do broni! — krzyknął zrozpaczony. — Naprzód! Śmierć Kolo... Kolo...

— Nagle sam kichnął potężnie.

To był dopiero początek. Straszliwa broń nie objawiła jeszcze całej skuteczności swego działania. Naprawdę tragiczne rzeczy zaczęły się dziać, gdy natężenie zdradzieckiego pyłu osiągnęło wielkość krytyczną.

Wkrótce cała armia zaczęła płakać, a potem kaszleć. Piraci, porzucając broń, zasłaniali sobie nosy i usta. Niektórzy jakby ogłupieli od gazu, śmiali się i wykrzykiwali słowa bez sensu. Jeszcze inni wpadali w nierozumny szal i oślepieni bili się między sobą. W ten sposób bratobójczą „śmiercią” o mało co nie „polegli” bracia Odjemkowie.

Tymczasem Andrzej, załatwiwszy się z lewym skrzydłem, skierował rozpylacze na skrzydło prawe i tam wkrótce powtórzyła się cała historia od nowa.

Niebawem armia Zenona znalazła się w stanie kompletnego rozprężenia. Gdy zaś tumany złowrogiego pyłu przerzedziły się trochę, na oszołomionych, ledwie żywych Piratów wpadli z mieczami i dzidami Koloniści. Piraci nie wytrzymali uderzenia. Gubiąc resztę broni rzucili się do bezładnej ucieczki.

Lecz nie był to jeszcze koniec bitwy.

W tym miejscu należy przekazać pamięci potomnych bohaterski czyn szefa Sztabu Piratów, Tadzika Myszki.

Tadzik uciekał jak inni w stronę Polany Ostów. Gdy znalazł się koło czołgu, jeden z nieletnich krzyknął z rozpaczą na jego widok:

— I ty uciekłeś? To już koniec Piratów!

Na te haniebne słowa Tadzik ochłonął i poczuł, że krew na nowo zawrzała mu w żyłach.

— Wypluj to słowo! — krzyknął na nieletniego i postanowił zginąć bohatersko.

Chociaż nie miał już broni, nie stracił rezonu. Zauważywszy rosnące przy czołgu pokrzywy, zerwał je gołą ręką i, nie zwracając uwagi na ból, wpadł z nimi na Kolonistów.

Wtedy Zenon udowodnił jeszcze raz nadzwyczajną przytomność umysłu. Widząc po spustoszeniu, jakie czynił Myszka, niezwykłą skuteczność nowej broni, zagrmiał:

— Piraci do mnie! Nie macie broni? Kłamstwo! — pokazał na pokrzywy. — Nie

**jesteście bezbronni! Oto wasza broń! Precz z kolonizmem!**

**Wtedy za przykładem Myszki, gardząc strachem i bólem, najdzielniejsi Piraci rzucili się do pokrzyw i z nową furią natarli na wroga.**

**Ruszył wreszcie i Michał do ataku. Dotąd, oburzony zdradziecką zasadzką Zenona, nie brał udziału w tej niezwyklej bitwie i udawał, że ubezpiecza tabory. Lecz gdy zobaczył sromotną klęskę swych oddziałów, odezwała się w nim tubylcza krew i tak jak inni rzucił się w bój.**

**Piski, okrzyki bólu, a nawet — o hańbo! — płacz rozległy się w szeregach**

**Kolonistów. I nagle obraz boju zmienił się całkowicie. Parzeni po twarzach, kluci po gołych rękach, udach i kolanach, wypuszczali oszczepy, pistolety i miecze i cofali się w popłochu.**

**A Tubylcy szli naprzód. Na czele Zenon i druh jego wierny, przebiegły i mężny,**

**Myszka Tadeusz, potem Odjemkowie i Susuł, chociaż przez chustkę do nosa, ale też ściskając pokrzywę i krzyczący:**

**— Po nogach ich... Po gołeniach!**

**Zdawało się, że klęska Kolonistów jest nieunikniona. Andrzej, pewien zwycięstwa, przecierał właśnie zadymione w boju okulary i zabierał się do liczenia odzyskanych narzędzi, gdy wtem wpadł na niego ledwie żywy Krzysztof. Całe ciało miał w bąblach.**

**— Co się stało?**

**— Pok... pok... — nie mógł wykrztusić Krzysztof. Padł na mech i zaczął tarzać się po nim jak szalony.**

**Nim jednak Andrzej zdołał włożyć okulary i dobyć broni, już obskoczyło go siedmiu**

**Piratów: Tomek i sześciu nieletnich. Nie dał rady sam przeciwko siedmiu. Od razu uwiesili mu się u rąk i nóg, i po krótkim szamotaniu obalili go na ziemię z wraskiem: „Hura, mamy**

**Kszyka!”**

**A Tomek od razu na piersi mu usiadł i próbował go wiązać.**

**W tej sekundzie przebiegał tamtędy Michał. Kiedy zobaczył dziwną kotłowaninę, zatrzymał się.**

**— Co tam?**

**— Mamy Kszyka! — zawołał z dumą Burczyk, jeden z nieletnich, nieprzyjemny typek, o którym chodziły słuchy, że nogi muchom obrywa.**

**Michał zawahał się na moment. Pamiętał, co przysięgał Andrzejowi i co mu zawdzięczał... Lecz tutaj, podczas bitwy, czy ma prawo przeciwko swoim?... Zaciskał wargi aż do bólu, lecz widząc, że drań Burczyk w najlepsze zabiera się do tortur i Andrzeja w ucho zaczyna przypiekać pokrzywą, a Tomek i tamci udają, że nie widzą, dopadł do nich wzburzony. Wyrwał Burczykowi pokrzywę i wyrznął go nią po twarzy.**

**A potem, sam już nie wiedział, jak się to stało, zaczął bez słowa ciąć i Tomka, i tamtych...**

**Rozpierzchli się zaskoczeni, Andrzej zaś zerwał się na nogi, porwał okulary i broń.**

**— Nie chciałem tej wojny — rzekł spiesźnie do Michała — to oni. Dziękuję ci, stary.**

**I ruszył na pomoc swoim.**

**Tymczasem wiadomość o schwytaniu Kszyka dotarła już do Zenona. Zjawił się natychmiast, by obejrzyć jeńca.**

**— Gdzie on jest?**

**— Tutaj był — ktoś powiedział.**

**— Był, ale ten zdrajca go wypuścił — zadyszał Tomek. Trzymał się jeszcze za poparzoną twarz. — Kiedy wiązałem Kszyka, rzucił się na nas z nienacka z pokrzywą.**

**— Czy to prawda?**

**— Tak — potwierdzili nieletni.**

— Odezwij się! — krzyknął Zenon do Michała.

Michał milczał ponuro.

— Zdrajca! Zdrajca! — podniosły się okrzyki. — To przez niego wszystko. To on sprzedał nas Kolonistom! Kszyk to jego przyjaciel. Jeszcze w drodze go bronił. Do poddania się namawiał.

Zenon z zaciśniętymi pięściami zbliżył się do Michała... Nagle coś się musiało wydarzyć na polu bitwy, bo oto dały się słyszeć krzyki.

— Zenon! Zenon! Szybko! Kszyk atakuje!

— Porachujemy się po bitwie! — zawołał Zenon i ruszył do walczących.

Ale było już za późno. Andrzej zdołał opanować sytuację, dokonując czynu, który niewątpliwie zapewni mu poczesne miejsce w galerii bohaterów wszystkich czasów.

Oto bowiem, widząc haniebną ucieczkę swej armii przed pokrzywami, zerwał z siebie koszulę i z pogardliwym okrzykiem: „Boicie się ziółek?!” — z nagağ piersią natarł na Tubylców i pokazał, jak łatwo tnie się zielsko mieczem.

Istotnie, któraż pokrzywa może się oprzeć mieczowi? Wielkie więc zaczął robić spustoszenie w szeregach „pokrzywników”.

To przywróciło męstwo Kolonistom. Zawstydzeni, zerwawszy za jego przykładem koszulki z ostentacyjną pogardą bólu, wzniesli plemienny okrzyk: „Pszenica, pszczoła, kształt, Kszyk!” — i tnąc mieczami wsiedli na karki „zielarzy”.

Tym razem nie pomogły już nawoływania Zenona. Z chwilą, kiedy pokrzywy przestały skutkować, Tubylcy stracili resztę nadziei. Byli bezbronni i zmęczeni. Mieli tylko jedno pragnienie. Żeby przestano ich łoić, kłuć, „szprycować” i „lechtać” drewnem. Niektórzy poddawali się do niewoli. Tych wiązano ich własnymi sznurami i odstawiano do Starej Altany. Inni próbowali wymknąć się z Ogrodu...

Przy wyłomie w murze i przy Bagnie rozgrywały się dantejskie sceny. Wszyscy cisnęli się naraz i żaden nie mógł przejść. Atakowani przez Kolonistów, wdrapywali się na drzewa, skąd ich strząsano jak ulęgalki. Inni, zupełnie już oszaleli, podobno próbowali przebić głową mur. Najstraszniej jednak było przy Bagnie. Grzęznąc w wodzie i błocie, usiłowali na brzuchu precisnąć się pod murem. Koloniści wyciągali ich stamtąd, niepodobnych do ludzi.

Tylko koło Zenona broniła się jeszcze garstka Tubylców, ale i oni pierzchli w końcu.

Chmara Kolonistów ze zwycięskim krzykiem runęła na wodza Piratów. Byliby go roznieśli na ostrzach mieczów, ale przeszkodził im Andrzej.

— Zostawcie go dla mnie — odepchnął ich i, dobywszy miecza, rzekł do Zenona: —

Broń się! Puszczę cię, jeśli wygrasz pojedynek.

Skrzyżowali miecze. Pierwszy zaatakował z furją Zenon, lecz Andrzej wziął jego cios

na klingę i sam z kolei rzucił się naprzód wspaniałym fleszem. Ale Zenon odskoczył

mistrzowsko. Przez chwilę słychać było tylko głuchy łoskot drzewa. Walka była

wyrównana. Obaj parowali skutecznie każde pchnięcie. Zdawało się, że pojedynek trwać będzie w nieskończoność.

Wreszcie zniecierpliwiony Zenon postanowił rozstrzygnąć go trickiem. Nagle

przerzucił miecz do lewej ręki i zadał straszny a niespodziewany cios. Wszyscy myśleli, że

już koniec z Andrzejem, ale on uchylił się błyskawicznie. Miecz przeszył próżnię. Zenon

stracił równowagę. Potknął się w rozpędzie o ścięty pień i runął jak długi na ziemię.

Jednocześnie rozległ się głuchy trzask. Zenon zerwał się zaraz, ale w ręku trzymał już tylko

kikut miecza. Widocznie upadł tak nieszczęśliwie, że złamał go na dwoje.

— Poddaj się! — krzyknął Andrzej.

— Nigdy! — zawołał Zenon.

**Porwał leżącą gałąź i zasłaniając się nią jak maczugą, cofał się szybko w kierunku zarośli. A potem dał nura w gęstwinię.**

**— Łapać go! — wrzasnęli Koloniści i pół armii rzuciło się za nim.**

**Lecz któż znał lepiej ogrodowe chaszczki od Zenona? Wkrótce zmylił tropy i ledwie żywy, ale wolny, dowlókl się do strumienia.**

**Nagle usłyszał, że ktoś ściszym głosem woła go po imieniu. Z zarośli olszyn wyjrzeli Tadzik, Długi Tomek i Susuł. Wszyscy byli w oplakany stan. Spojrzeli na Zenona, Zenon na nich, ale nikt nie powiedział ani słowa. Zenon wyciągnął się przy nich w milczeniu, gryzł jakieś źdźbło, jakby przeżuwając swą klęskę.**

**Kiedy ochłonęli nieco, zaczęli się zastanawiać nad szansami ucieczki z Ogrodu.**

**— Spróbujemy przez Bagno — powiedział Zenon — może nie znają tego przejścia.**

**Bo wyłom na pewno jest obstawiony.**

**Poszli więc na Bagno, ale i ta przeprawa okazała się zajęta przez Kolonistów.**

**Zmęczeni powrócili do dawnej kryjówki.**

**— Co radzisz robić? — zapytał Tadzika Zenon.**

**— Pójdziemy przez stróżówkę — powiedział po namyśle Tadzik.**

**— Oszalałeś! Bramą?**

**— Nie, przez dach meczetu, z dachu na mur...**

**— Zobaczy nas Mulla.**

**— To już nie ma znaczenia — mruknął Tadzik — tylko szybko. Bo będą wciroy w domu!**

**Pobiegli więc wzdłuż strumienia, rozglądając się czujnie na boki. Ale kiedy spoceni i zziębnięci osiągnęli Polanę Ostów, usłyszeli podejrzane szmery w zaroślach. Przypadli do ziemi. Szmery powtórzyły się z drugiej strony.**

— Wzięli nas w dwa ognie! — jęknął Susuła.

— Jesteśmy zgubieni — dodał przerażony Tomek.

— Jeszcze nie — powiedział Zenon. — Skryjemy się w czołgu. Tylko, chłopaki, to musi być błyskawica. Pełniemy szybko do czołgu, a potem wszyscy naraz — skok! Za chwilę może być za późno. Uwaga, liczę: raz, dwa... trzy!

Na komendę wdrapali się na krawędź wjazdu „tygrysa”. Wszyscy z wyjątkiem Susuły, który czy to wziął za mały rozpęd, czy miał za krótkie nogi, czy też był zbyt zmęczony, dość, że ześliznął się z pancernej blachy i wpadł prosto w pokrzywy.

Głowa Kolonisty wyjrzała z krzaków.

— Do środka! Szybko! — szepnął Zenon.

Tubylcy jednocześnie zeskoczyli w dół.

W tej samej chwili na polanę wbiegł Reksza z pięcioma Kolonistami.

— Tam się coś rusza — pokazał na pokrzywy. — Jakieś ciało.

Koloniści podbiegli i wyciągnęli przerażonego Susuły.

— A, my się przecież znamy, to znowu ty, tłusciuchu?

Ale już ktoś odwołał ich dalej, więc nie zaglądając nawet do czołgu, porwali z sobą jeńca i pognali do olszyn.

\* \* \*

Mylilby się jednak, kto by sądził, że ostatecznymi zwycięzcami zostali Koloniści.

Zwycięzcą ostatecznym został zupełnie kto inny.

Kiedy bowiem Reksza wracał z pościgu, wiodąc ze sobą Susuły i innych jeńców, z

drugiej strony na Wysokie Polany wkraczał doktor Otrębus w towarzystwie wzburzonego Mully.

Otrębus zmierzył pełnym potępienia wzrokiem pokiereszowanych Kolonistów,



**spętanych jeńców, porozrzucaną wokół broń i narzędzia.**

**— Więc jednak się bawisz w Piratów — rzekł surowo do Andrzeja.**

**Andrzej spuścił bezradnie głowę. Czy miał się tłumaczyć, zwałać winę na Piratów, na okoliczności? To było zbyt skomplikowane, by nowoczesny, racjonalnie i zdrowo myślący doktor Otrębus mógł zrozumieć.**

**— Ćwiczyliśmy trochę — wyjąkał wreszcie.**

**— Ćwiczyliście? Pan Abdulewicz zawiadomił mnie, że tu mają miejsce jakieś**

**bijatyki. — A potem dodał z gorzkim wyrzutem: — Zawiodłem się na tobie, Jędrku.**

**Bardzo wątpię, czy zostaniesz w tym roku przybocznym. Myślałem, że jesteś bardziej dojrzały... Czy to jest teren, który mieliście porządkować? — Spojrzał na porytą dolami polanę. — Ależ to gorzej wygląda niż przedtem. Co właściwie robiliście przez te dni? To przecież kpiny!**

**— To Tubylcy — nie wytrzymał Reksza — to oni wszystko popsuli i zabrali narzędzia... To Zenon, panie doktorze. Oni nas napadli. Myśmy się tylko bronili.**

**— Ci w białych czapkach też diabła warci. Jakimś proszkiem sypali — mruknął Mulla — kije poprzynosili i dalej walić się po łbach. Myślałem, że się pozabijają. Chuligaństwo się wszędzie lęgnie, panie doktorze — dodał z goryczą.**

**Otrębus podniósł z ziemi rozpylacz Rekszy i poruszył go machinalnie. Resztki pyłu wzbily się w powietrze. Doktorowi świeczki stanęły w oczach. Kichnął potężnie.**

**— Co to za świństwo? — zapytał ostro.**

**— O...opylaliśmy stonkę.**

**— Stonka w Ogrodzie?**

**— Tak, tu są kartofle.**

**— Kartofle?**

— Oczywiście, dzikie... jak wszystko... w tym Ogrodzie.

Doktor Otrębus pomyślał, że nie dojdzie z nimi do ładu, i krzyknął tylko:

— Natychmiast się myć i porządkować! Za godzinę mamy przecież generalną próbę bitwy pod Grunwaldem.

Andrzej jęknął. Jeszcze jedna bitwa. To już doprawdy za dużo jak na jeden dzień.

Na długo już miał dość bitew.

— Może byśmy przełożyli na jutro... — zaproponował.

— To niemożliwe. Zaprosiliśmy gości. Będzie pani kierowniczką, przedstawiciel zakładów i rodzice.

\* \* \*

Niestety, w tym feralnym dniu klęski los widać nikogo nie oszczędzał. Nie oszczędził także Gwidona Otrębusa.

Dość powiedzieć, że generalna próba Grunwaldu jednak się nie odbyła. Pomijając już fakt, że Wielki Książę Witold, czyli Zenon, oraz kilku rycerzy nie stawili się wcale, reszta chłopców przybyła w tak oplakany stan, że nie można ich było pokazać gościom.

Posiniaczeni, pobandażowani, oblepieni plastrami i utykający — w niczym nie przypominali świetnych rycerzy grunwaldzkich, a doktor obawiał się, i słusznie, że złośliwe języki gotowe są przypisać to ogólne inwalidztwo jego metodom wychowawczym.

I tak podnosiły się protesty na „oficjalne bijatyki”, które urządza pod płaszczykiem uroczystości grunwaldzkich.

Zresztą sam, po tym, co zobaczył w Ogrodzie, czuł się wybitnie źle. Dzielny aktywista obawiał się, że został zupełnie skompromitowany w oczach pani Bożeny.

Rozdział XX

Świątek obudził się dopiero o dziesiątej. Nie chciał wierzyć własnym oczom, kiedy

spojrzał na zegarek. To dlatego, że wczoraj późno poszedł spać, a potem nie mógł usnąć chyba do północy.

Ubrał się szybko, umył jedną rękę i zjadł na stojąco śniadanie. Już chciał wybiec na ulicę, kiedy przypomniał sobie wczorajszy rozkaz Zenona, żeby nie wychodził z domu, póki go nie zawiadomią. Mogą być przecież aresztowani z powodu wczorajszej awantury z Bosmanem i plotek, jakie rozpuścili emeryci. Tak, to chyba racja...

Świątek westchnął ciężko i postanowił czekać cierpliwie na wiadomości. Ale upłynęła jedna godzina, druga, a nikt nie przychodził. Wreszcie koło pierwszej Świątek nie mógł już dłużej wytrzymać i ostrożnie wyjrzał na ulicę, żeby zasięgnąć języka.

Niestety, ulica była jakby wymieciona z chłopaków. Dopiero przed samą fabryką spotkał jakieś dwie kaleki w łachmanach, większą i mniejszą, podpierające się wzajemnie, o twarzach wyraźnie zdefasonowanych, i ku swojemu przerażeniu rozpoznał w nich braci Odjemków. Lecz w jakim pożałowania godnym stanie! Odjemek Mniejszy miał podbite lewe oko, a Odjemek Większy — prawe. Odjemek Mniejszy dla odmiany utykał na prawą nogę, a Odjemek Większy — na lewą. Lecz dzięki temu jakoś się prowadzili. I oni też pierwsi stali się w Osiedlu zwiastunami tubylczej klęski.

— Co się stało? — wyjąkał Świątek. — Jak wy wyglądacie?

— Nie wiesz, klęszka... — wyseplenili, trzymając się za zęby. — Koloniszci pobili naszych w Ogrodzie. Och, czo ła klęszka. Mówimy ci, Koloniszci gaży puszczaali.

— Co puszczaali?

— Gaży duszące ż rozpylaczy. Wyższą techniką nasz pobili.

— A gdzie Zenon?

— Pewnie w niewoli. Wszyszczy są w niewoli albo w ogóle polegli... — Odjemkowie otarli rękawami podbite oczy.

**Świątek przygryzł wargi.**

**— Więc to tak! — wykrztusił. — Więc wybraliście się beze mnie.**

**— Nie żałuj, takie lanie i hańba... — Odjemkowie rozcierali napuchłe siedzenia.**

**— Jak to, mam nie żałować? — wykrzyknął z rozpaczą Świątek. — Może gdybym ja tam był, nie byłoby klęski. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?**

**— To wina Szuszała. On był dyżurnym. Leniwy gryzoń! — wyseplenili.**

**— Ale wy. Ale Zenon — rzekł ze łzami w oczach Świątek. — Jak mógł Zenon beze mnie... po tym, co mi obiecał.**

**— Nie było czasu, wszyscy się szpieszyli na bój... — odparli Odjemkowie.**

**Świątek przygryzł wargi. To tak. Po prostu zapomnieli... Nie było czasu... Więc tak mało dla nich znaczy... Rozgoryczony postanowił odszukać Zenona.**

**\* \* \***

**Po nieudanej próbie grunwaldczyków do Michała podszedł Susuł.**

**Był bardzo czymś podniecony, a w jego okrągłych oczach odbijał się niepokój.**

**— Michał, wiesz, że Zenona, Tadzika i Tomka nie ma jeszcze w domu?**

**Michał skrzywił się nieprzyjemnie na wspomnienie Piratów.**

**— Pewnie są u Bosmana i żądają wyjaśnień — uśmiechnął się złośliwie.**

**— Nie. Nie ma ich u Bosmana ani w ogóle nigdzie. Ich matki są bardzo zmartwione.**

**— No, to co ja na to poradzę.**

**— Zapytaj Kszyka, może ich nie zwolnił z niewoli.**

**Kszyk, na dźwięk swego nazwiska, podszedł do nich, a dowiedziawszy się, o co chodzi, powiedział:**

**— Zwariowałeś, wszystkich jeńców musiałem od razu puścić, bo Otrębus mnie obsztorcował.**

— W takim razie, w takim razie muszą być jeszcze w czołgu — zasapał Susuł.

— W czołgu? Co ty opowiadasz?! — uśmiechnął się z politowaniem Michał.

— Zaraz, zastanówmy się, kto ich widział ostatni — powiedział Andrzej — ja ich w ogóle nie widziałem od czasu ataku na pokrzywy.

— Ani ja — stwierdził Michał.

— No, przecież mówię, że ja ich widziałem ostatni — zdenerwował się Susuł. — Schowali się w czołgu przed pościgiem, na moich oczach.

— A potem nie widziałeś już ich?

— Potem wzięliście mnie do niewoli.

— Zaraz... poczekajcie!

Andrzej popytał jeszcze swoich chłopców, ale żaden z nich nie wiedział nic o Zenonie i jego towarzyszach.

— Może rzeczywiście zostali w tym czołgu — rzekł, wróciwszy do Michała i Susuła.

— E, gadanie! — wzruszył ramionami Michał.

— Może nie mogą wyjść, może skrucili nogi, a może... — Andrzej mrugnął porozumiewawczo do Michała.

— Myślisz? — Michał przygryzł wargi. Dopiero teraz przypomniał sobie o włamywaczach.

— W każdym razie Susuł ostatni widział Zenona w czołgu i od czołgu należałoby rozpocząć poszukiwania — dodał Andrzej.

Po krótkiej naradzie postanowili natychmiast wyruszyć na tamto miejsce. Zresztą i tak mieli wieczorem pilnować Ogrodu. Sprawa włamania nie była przecież wciąż rozwikłana. Z powodu Piratów zbałaganili cały dzień i nie znaleźli podkopu, ale teraz może uda się nakryć drani, jak będą przechodzić przez mur. A potem... jeśli się pójdzie ich

**Śladami... Kto wie? Nie tracili nadziei.**

**\* \* \***

**Wzięli latarki, gwizdki, straszak, noże i wyruszyli we trzech: Andrzej, Michał i Susuł. Wiedzieli, że muszą się spieszyć. Dochodziła już siódma. Niedługo zacznie się ściemniać.**

**Pod murem Ogrodu ktoś na nich zawołał. Obrócili się zdumieni i zasapali ze złością. Oczywiście, Adenauer.**

**— Spływaj! — zawołał Susuł.**

**— Michał, pójdę z wami — prosił zadyszany Światek. — Nie wzięliście mnie rano.**

**Nikt mnie nie zawiadomił. Ale teraz pójdę!**

**— Nie pójdiesz — chrząknął Michał. — To... to nie jest zabawa w Piratów. I ani pary z gęby, żeś nas tu widział, rozumiesz?**

**— Ja wiem, chcecie szukać Zenona. Pójdę. Ja się przydam. Pobiegnę pierwszy. Na zwiad.**

**Tego jeszcze brakowało, żeby się on tam pętał. Właściwie to nawet Michałowi żal było trochę chłopaka, ale nie mógł go przecież wziąć w żaden sposób. To niebezpieczna wyprawa. Nie chodzi przecież tylko o szukanie Zenona. Małemu coś by się stało i jeszcze byłoby na Michała.**

**Chłopcy przyspieszyli kroku, a Susuł odwrócił się i zawołał szyderczo:**

**— Idź spać! Już jest wieczór, Adenauer.**

**Światek zmierzył go spojrzeniem zdolnym zabić konia i został na ścieżce. Ale nie myślał kapitulować. O nie, tym razem nie! Jeszcze pokaże, co umie. Nie będą go brali za dziecko. Strasznie dorośli! Wzrost o niczym nie świadczy, zupełnie o niczym, ani małe ręce.**

**Idioci!**

**A jednak piekło go pod powiekami.**

**\* \* \***

**Tymczasem ekspedycja poszukiwawcza przeprawiła się łatwo przez wylom i szybkim krokiem dotarła na Polanę Ostów.**

**Przed wejściem na Polanę Michał zatrzymał chłopców odruchowo. Nieprzyjemne wspomnienia łączyły mu się z tą Polaną. Ale Polana była cicha i pusta. Słońce już zachodziło i nawet ptaki milkły. Głęboki cień pod drzewami przeradzał się już w mrok wieczoru.**

**Chłopcom zrobiło się trochę nieprzyjemnie.**

**— Szybko, zaraz się ściemni! — jęknął Susuł i, nie czekając na nich, niezdarnie wdrapał się na czółg. Z bijącym sercem zajrzał do włazu i zdrętwiał z przerażenia.**

**— Są czy nie ma? — zapytał go Andrzej. — No, gadajże, co się gapisz?!**

**Ale Susuł wciąż trwał przerażony, więc zdenerwowani wdrapali się do niego i... sami oniemieli z wrażenia.**

**Zamiast dna czółgu czernił się pod nimi wielki, postrzępiony otwór.**

**— Coś takiego... — wymamrotał wreszcie Michał. — Zaglądaliśmy tu przecież jeszcze wczoraj w nocy. Całe dno było zakryte strzępami pancernej blachy.**

**Serca waliły im jak młoty. Na chwilę zapomnieli zupełnie o Zenonie.**

**— Michał, słuchaj, to może tędy właśnie... — szepnął Andrzej.**

**— Myślisz o podkopie?**

**— Tak.**

**— Przecież tu niedaleko atakowali cię...**

**— Nie... — przerwał im rozplamieniony Susuł. — To nie żaden podkop. To schron, to wejście do schronu.**

— Do jakiego schronu? — wytrzeszczył oczy Andrzej.

— To dawny kanał fabryczny, przerobiony potem na schron. Ten, o którym mówił Bosman! — Susuł nagle ugryzł się w język, bo przypomniał sobie, że to była tajemnica. Ale potem pomyślał, że skoro już jest po wojnie i Andrzej im pomaga, to nie ma co ukrywać. Zresztą Michał mu pewno i tak wszystko powiedział. Więc dokończył:

— Tam muszą być skrzynie Szwajsa.

— Masz rację — uścisnął go za ramię Michał. — Pamiętasz, jak mierzyliśmy te kroki od strumyka? Linia przechodziła prawie koło czołgu.

— No, ale te dwadzieścia pięć kroków od strumienia! — zmartwił się Susuł. — Te dwadzieścia pięć kroków wypadło aż za Polanę Ostów, na Wielkiej Polanie. Myślisz, że Bosman się pomylił?

— Chyba tak... chociaż...

— Chociaż co?

— Zaraz... coś mi chodzi po głowie... To przecież było pewnie tak... „tygrys”, uciekając z ogrodu, wjechał na wylot kanału. Wylot nie wytrzymał ciężaru i zawalił się. „Tygrys” ugrzązł i tu rozbiły go działa przeciwpancerne albo bomba. A może wylot nie załamał się pod czołgiem, ale został razem z czołgiem zbombardowany i wtedy dopiero się zawalił? Czołg został rozerwany, całe dno mu rozpruli i siedział tak lata całe na gruzach. Teraz ci włamywacze, wiedząc o zawalonym schronie, wybrali z dna czołgu trochę gruzu, żelaznego złomu i poszarpanych blach zasłaniających dziurę w kanale, i otworzyli sobie przejście. A za każdym razem, jak wychodzili, znów je maskowali starymi blachami i żelastwem, i dlatego nikt nic nie zauważył.

— No, ale co z planem Bosmana, pomylił się czy nie? — Susuła najbardziej obchodziły skrzynie Szwajsa.



— Nie, Bosman się nie pomylił — wtrącił nagle Andrzej. — To wejście było za czasów Bosmana o dwadzieścia pięć kroków od strumienia... a teraz jest o dwa kroki...  
prawda?

— No, właśnie...

— A potem koniec kanału się zawalił.

— Tak, ale...

— To wszystko jasne — orzekł Andrzej. — Strumień zmienił swój bieg.

— Czy to możliwe?

— Oczywiście. Przecież jak rąbnęła ta bomba albo czołg wjechał i ten podziemny kanał się zawalił, to się w tym miejscu ziemia zapadła, a może jeszcze i lej od bomby się zrobił, no i woda tu zaczęła spływać i dlatego strumień zmienił bieg, a stare łóżysko wyschło i zarosło.

— Masz rację. Nawet jest jakby ślad po starym łóżysku — obejrzał się Michał.

— No, właśnie. Ale... zapomnieliśmy o Zenonie i chłopakach — powiedział Andrzej.

— Myślisz, że zeszli tam? — powiedział Michał.

— Nie — mruknął Andrzej — boję się...

— Czego się boisz?

— Że wpadli niechcący i połamali nogi.

— Tak, to możliwe — rzekł Susuł — oni tam skoczyli w rozpędzie i bez namysłu... i wtedy mogły się te maskujące blachy zawalić pod nimi i... wpadli. Ja nawet słyszałem wtedy jakiś brzęk i łomot.

— Mogli się zabić — zauważył Andrzej.

— Tu musi być bardzo głęboko, bo przecież dna nie widać — mruknął Andrzej. — Nie widać nawet, jak się świeci latarką.

— Dajcie sznur, ja zejść i zobaczę — powiedział Michał.

Andrzej zdjął sznur, który miał nawinięty dookoła bioder, i drugim końcem opasał Michała jak taternika.

— Tylko trzymajcie mnie dobrze — uprzedził Michał i zaczął spuszczać się ostrożnie do otworu.

— Widzisz coś? — zawołali z góry chłopcy.

— Widzę.

— Co?

— Kamienie, gruz i cegły.

— A... a ciała widzisz? — dopytywał przejęty Susuł.

— Jakie ciała?

— No, Zenona i... i...

— Nie, ciała nie ma. Jest za to jakaś długa piwnica.

Chłopcy odetchnęli.

— Zgadza się — powiedział Andrzej.

— To pewnie ten kanał.

— Poczekaj, schodzimy za tobą.

Wkrótce wszyscy trzej byli na dnie.

Rozglądali się po omszałym sklepieniu z cegieł. Z jednej strony, tam gdzie prawdopodobnie był niegdyś wylot kanału, przejście zamykały zwały gruzów i ziemi. Po drugiej stronie ciągnął się wysoki, chyba blisko na dwa metry, kamienny tunel. Był doskonale zachowany. Nie zauważyli nawet odrobiny wilgoci.

— Patrzcie, jakieś drzwi żelazne — pokazał Andrzej.

Pchnęli je. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypieniem.

Weszli w nie z bijącymi sercami.

„Patrzcie, jakieś światło!...” — chciał wykrzyknąć Andrzej, ale w tej samej chwili czyjaś dłoń zamknęła mu usta.

## Rozdział XXI

Świątek nie namyślał się długo. Gdy tylko ekspedycja chłopców zniknęła za wyłomem, ruszył za nimi.

Teraz wychylił się ostrożnie z zarośli przy Polanie Ostów i zaraz cofnął głowę. Jak to dobrze, że był ostrożny. Bo właśnie Michał siedzi na czołgu. Gdyby ujrzał Świątkę... Ale co to? W rękę Michała błysnął czerwony punkcik. Papieros? Czyżby Michał palił papierosa? Nie, to niemożliwe. Więc to chyba nie Michał. A w takim razie kto?

Dreszcz przeszedł Świątkę po skórze, ale nie spuścił oczu z zagadkowej postaci.

Nieznajomy tymczasem wypalił papierosa, rozejrzał się dookoła i zniknął w głębi czołgu.

Upłynęła jedna minuta, druga, a on nie pojawił się więcej. „Co on tak długo tam robi” — zastanawiał się Świątek.

Czekał jeszcze chyba pięć minut, wreszcie zebrał się na odwagę i podbiegł do czołgu.

Wdrapał się na górę, aż do samego wjazdu i zajrzał ostrożnie. Coś takiego! W czołgu nikogo nie było. To niemożliwe. Nieznajomy nie mógł chyba wyjść. Świątek cały czas nie spuszczał przecież „tygrysa” z oczu.

Poświecił latarką i dopiero teraz zauważył w podłodze czołgu wielką dziurę. Tam jest więc jakaś kryjówka.

Nagle drgnął. Na strzępach rozprutej podłogi wiszą trzy czarne chusty. Zupełnie, jakby je ktoś umyślnie podłożył. Czyżby ten nieznajomy? Co to wszystko ma znaczyć? A jeśli to pirackie chusty Zenona, Tomka i Tadzika?

Znów przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Ciekawość jednak przemogła... Zsunął się

ostrożnie na dół i obejrzał dokładnie.

Tak, nie ulega wątpliwości. To są chusty pirackie, takie same, jak mieli chłopcy. A więc jest na tropie zaginionych.

Serce zabiło mu mocno.

Nie namyślając się wiele, począł schodzić w dół.

Wkrótce przeszedł te same drzwi, co chłopcy, i zagłębił się w długi, ciemny kanał.

Świecąc sobie latarką, szedł tak może minutę, kiedy nagle zauważył, że kanał się rozdwaja.

Odnogę po lewej stronie odgradzały zielone drzwi podobne do tamtych pierwszych.

Podszedł do nich ciekawie.

Wtem usłyszał jakieś kroki i męskie głosy w głębi głównego kanału. Odruchowo

zgasił latarkę i przywarł do ściany. Głównym kanałem przebiegło szybko dwu mężczyzn z latarkami. Zauważył tylko, że jeden z nich ubrany był w sweter golf, a drugi w kombinezon roboczy.

— Zdawało ci się, Dodek, od wczoraj masz widzenia świętego Geralda — powiedział ten w golfie. — Tu przecież nikogo nie ma. Weź się w kupę, człowieku!

Zawrócili. Snop światła przebiegł tuż koło Światka, ale jego zakrył występ muru.

— Ja jednak wrócę, Rajmund, i będę ubezpieczał wylot — rzekł ten w kombinezonie.

— Idź, babo, świeże powietrze dobrze ci zrobi.

I ten w kombinezonie zawrócił.

Świątek zadrzał. Włosy mu się zjeżyły. Dopiero teraz zrozumiał, że wpakował się w jakąś ponurą kabałę. Ale było za późno na rozsądek. Odwrót miał odcięty. Ten Dodek — czy jak mu tam — pilnuje wyjścia.

Nagle usłyszał nowy odgłos kroków. Ktoś biegł z odnogi kanału po przeciwnej

stronie. Kroki te musiały zaniepokoić również typa, zwanego Rajmundem, bo przystanął, obrócił się i skierował snop światła w stronę nadbiegającego.

— Kto tam?... A to ty, Mniszek — mruknął na widok szczupłego, lysego mężczyzny, który oparł się o ścianę i dyszał ciężko. Miał znoszone ubranie, zapadłe policzki i chorobliwy wygląd. — Cóż to, trenujesz biegi długodystansowe? Miałeś siedzieć spokojnie i czekać na wynik.

— Chciałem się przewietrzyć.

— Nic z tego. Magister zabronił teraz wychodzić.

— Odkąd Magister tu rządzi?

— Odkąd ty się rozkleiłeś — wycedził Rajmund i położył chuderlawemu dłonie na ramionach.

— Puszczaj mnie! — szarpnął się chuderlawy.

— Nie, powiedziałem. Najpierw skończymy robotę.

— Skończycie robotę — zaśmiał się nerwowo Mniszek. — Oni chcą skończyć robotę... Już za późno. Na wszystko za późno! Ja się wycofuję i tobie też radzę wycofać się, póki czas. Może jeszcze zdążymy.

— Bredzisz. Znów pewnie pileś — mruknął Rajmund.

— Rajmund, opamiętaj się. Czy nie widzisz, że Magister to szaleniec? Oni nas wkopią. Już wkopali. Z tego już nic nie wyjdzie. Nic. Zawalili wszystko. — Mniszek zakaszlał głucho i złapał się za piersi, a potem ciągnął dalej zadyszczanym głosem: — To wszystko miało inaczej wyglądać. Zgodziłem się tylko na pewną robotę. Mieli być solidni ludzie, odpowiednie narzędzia i stuprocentowe bezpieczeństwo. Magister mi to obiecał. Taką robotę załatwia się albo w jednym dniu, albo się wpada. A my... Najpierw grzebiemy się przez cały tydzień, bo Magister i Dodek nie chcą się przemęczać i nie mają wprawy w

**machaniu kilofami, a kiedy wreszcie przebijamy się do wzorcowni, okazuje się, że Magister nie umie otworzyć szafy. Tak się nie robi. To niefachowa robota. Musimy się wycofać i próbować po raz drugi. A przez ten czas...**

**— To specjalna szafa — mruknął Rajmund. — Takie szafy otwiera się palnikiem acetylenowym.**

**— Trzeba było mieć palnik. Ja przecież uprzedzałem, że „wirus” jest zamknięty w pancernej szafie.**

**— Miał być palnik, ale Kazek nawalił. Wiesz przecież, że miał przykrości. Nakryli go z tym palnikiem.**

**— Trzeba było poczekać, nie zaczynać lekkomyślnie roboty.**

**— Nie było czasu. Sam mówiłeś, że mają przenieść prototypy na inny oddział.**

**Zresztą, czego się szarpiesz? Już przecież mamy ten palnik i Magister pracuje.**

**— Rychło w czas! Partacze cholerni! Jeden nie umie otworzyć szafy, a drugi okazuje się nędznikiem, który łakomi się na kawałek stopu i zawala wszystko.**

**— To słabość Dodka. On nie może się powstrzymać, żeby nie gwizdnąć czegoś, co leży na wierzchu. Już taki jest — wzruszył ramionami Rajmund. — Ale to dobry kolega.**

**— Łobuz. Przez niego z miejsca zostaliśmy zdemaskowani.**

**— Nie przesadzaj... Głupiejesz ze strachu. Nikt się nie domyślił przecież, po co za pierwszym razem byliśmy w magazynie. Skończyło się na tym, że obsztorcowali tego biedaka, kierownika wzorcowni.**

**— A te dzieci? — zapytał ponuro Mniszek.**

**— One trafiły tu przypadkowo. Szukały skarbów Szwajcra.**

**— Nie... nie... Oni już wiedzą. Po co by ten szczeniak pętał się wczoraj wieczorem po Ogrodzie? A ten drugi typ z pistoletem? To tajniak. Śledzą nas. Lada chwila będą nas**

mieli... Te dzieci mnie rozpoznają i wtedy... Boże!... po co ja się wdawałem w to wszystko.

— Nie bój się. Dzieci nie będą cię widzieć. Są dobrze zamknięte — uśmiechnął się krzywo Rajmund i sięgnął po papierosa.

Nie zdołał jednak widać przekonać współnika, bo Mniszek, korzystając z tego, że Rajmund zapala papierosa, rzucił się do ucieczki. Rajmund miał, na nieszczęście, szybki refleks. Błyskawicznie dopadł do Mniszka i pchnął go w boczny kanał.

— Co to ma znaczyć — wykrztusił Mniszek — ty mnie siłą?...

— Jeśli inaczej nie można...

— Więc jestem więźniem?

— Jeśli tak chcesz to nazwać... I radzę ci przy Magistrze nie jęczeć i trzymać język za zębami, bo inaczej...

— Grozisz mi?

— Magister nie znosi mięczaków i możesz mieć przykrości, a teraz wracaj do swojej nory i napij się czegoś na odwagę. No, szybko! Już! — krzyknął ostro.

Mniszek wycofał się przestraszony.

\* \* \*

Światek poczuł, że na całym ciele zrobiła mu się gęsia skórka. Szkoda gadać, w ładną historię się wpakował. Nie miał już więcej wątpliwości, kim są ci ludzie... A ten Mniszek...

Czy mu się zdawało, czy już gdzieś słyszał to nazwisko?

Co robić? Najchętniej wcisnąłby się jak mysz w jakąś dziurę. Spojrzał na żelazne drzwi i zdawało mu się, że drgnęły. Tak, na pewno drgnęły... O, znowu. Prawie niedostrzegalnie, raz, potem drugi, trzeci... Nie ulegało wątpliwości, ktoś szarpał je z drugiej strony i próbował otworzyć, ale nadaremnie.

Dopiero teraz Światek zauważył, że są zamknięte od jego strony na ciężką zasuwę.

Nie namyślając się wiele, odciągnął ją. Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypem i stanął oko w oko z... Michałem, Andrzejem i Susulem.

— Przecież to Adenauer! — wykrztusił w najwyższym zdumieniu Susul.

— Rany! A nie mówiłem, żeby się szczeniak nie pętał — rzekł przygnębiony Michał.

— Dawno cię złapali?

— Mnie... mnie wcale nie złapali.

— Jak to... wszedłeś tu sam?

— Sam.

— I nie widzieli cię?

— Chyba nie, ale jak będziecie tak wrzeszczeć, to mnie na pewno zobaczą.

Pociągnął wszystkich do środka i chciał przymknąć drzwi.

— Co ty robisz? — zaprotestował Andrzej. — Wiejemy przecież!

— Nigdzie nie wiejcie. Otwór jest pilnowany przez Dodka. Trzeba najpierw pomyśleć.

— Widziałeś ich?

— No...

— Ilu?

— Trzech — odparł Świątek.

— To się zgadza, ja też widziałem ich trzech — szepnął Andrzej. — Jeden jest w golfie...

— Tak, to Rajmund — powiedział Świątek.

— Drugi jest w kombinezonie. Nazywają go Dodek.

— Zgadza się — odparł Świątek.

— A trzeci jest z wąsikami, chodzi w roboczym kitlu. Nazywają go Magister. On jest



**najważniejszy.**

— Nie, tego trzeciego to nie widziałem — powiedział Świątek. — Słyszałem, że mówili o jakimś Magistrze, ale go nie widziałem.

— Jak to? Przecież mówiłeś, że widziałeś trzech — zdziwił się Andrzej.

— No, tak... ale ten trzeci, którego widziałem, to był jeszcze ktoś inny.

— To znaczy, że jest ich tutaj czterech — mruknął Michał.

— Tak by wypadło z rachunku — powiedział Andrzej.

— Jak wyglądał ten twój, którego myśmy nie widzieli? — zapytał Świątka Michał.

— Bardzo... bardzo mizernie — odparł Świątek — nazywają go Mniszek.

— Coś powiedział? — złapał go za rękę Michał.

— Mniszek — powtórzył zdumiony Świątek. — Znasz go?

— Zaraz — mówił podniecony Michał — powiedz, jak on wygląda. Łysy?

— Tak, łysy i ma zapadłe policzki.

— To on — zacisnął wargi Michał. — Ty go też znasz, Andrzej. Był technologiem we wzorcowni. Niedawno za coś usunęli go z fabryki. Zdaje się, że pił wódkę i coś zaniedbał. I mówisz, że on jest z nimi?

— Tak — odparł Świątek — ale teraz już nie chce być.

— Jak to „nie chce być”?

— Widziałem, jak klócił się z Rajmundem. Jest zły na nich. Mówił, że... nie są fachowcami... że za długo się grzebią... że Dodek ukradł sztabkę stopu, jak pierwszy raz byli we wzorcowni, i przez to zostaną zdemaskowani. I że wy go wyśledziliście. Był bardzo wystraszony, powiedział, że żałuje, że się w to wszystko wplątał, i chciał uciekać, ale Rajmund go zatrzymał.

— Czy mówili, co tutaj robią w tych kanałach?

— Tak.

— Chodzi im o „wirusa”? — pytał gorączkowo Michał.

— Skąd wiesz?

— Domyśliliśmy się z Andrzejem.

— Tak — potwierdził Świątek. — Chcą ukraść „wirusa” i przebili się przez kanał do wzorcowni. Byliby go już trzy dni temu ukradli, ale nie mogli się dostać do szafy pancерnej i musieli skombinować palnik acetylenowy.

— A więc miałeś rację — powiedział Michał do Andrzeja.

— Ty też — uśmiechnął się blado Andrzej. — Przecież to ty domyśliłeś się podkopu.

— To nie ja, to Anka.

— Prawda, to ta koza — chrząknął Andrzej i skrzywił się. Wciąż nie mógł zapomnieć Ance tych niefortunnych układów.

— A co z Zenonem — zapytał Świątek — też jest tutaj?

— Jest, ale gdzie, to nie wiemy. Oni nas zaraz za drzwiami capnęli, ale na pewno tu go gdzieś trzymają.

— Skąd wiesz?

— Bo mówili: „To razem już sześciu. Przedszkole trzeba chyba założyć”.

Andrzej zacisnął z bezsilną wściekłością pięści.

— Nigdy sobie nie daruję, że byłem taki nieostrożny i szedłem na wariata.

Rzeczywiście, jak smarkacz, jak ostatni smarkacz. Teraz już ani fabryki, ani Zenona nie uratujemy i w ogóle, kto wie, co z nami będzie.

— Po... powiedzieli, że jak będziemy cicho, to wypuszczą nas — wyjąkał Susuł.

— Ja im nie wierzę. To dranie.

— Zgaszę latarkę — powiedział Świątek — bo jeszcze zobaczą światło przez szparę.

— Dobra, zgaś — zgodzili się.

Ogarnęła ich ciemność.

— Czy obmacaliście cały loch? — zapytał Światek.

— Jasne. Ale przejść nie ma — rozległ się zrezygnowany głos Michała.

— Ten kanał przecież gdzieś prowadzi.

— Nigdzie.

— No, ale musiał dawniej prowadzić.

— Do pałacu — rzekł Michał — ale jak pałac podłączyli do kanalizacji miejskiej, to zamurowali wylot tego kanału.

— I nie ma żadnego połączenia?

— Nie ma.

— Sprawdziliście?

— Pewnie, że sprawdziliśmy, ale nie ma. Jest tylko zakratowane okienko na końcu.

Taka wentylacja. Kraty grube jak w więzieniu. Próbowaliśmy wyważyć, ale gdzie tam, ani drgnęły.

— Boję się, Adenauer, że tylko niepotrzebnie wpadłeś w potrzask — powiedział Andrzej.

— Tak zawsze ze smarkaczami — mruknął rozdrażniony Michał. — Po co nas szpiegowalesz? Żebyś chociaż od razu pobiegł na milicję, ale ty najpierw musialesz nos wsadzić. No, to przymknęli! Gdzież on jest u licha?... — macał koło siebie. — Ty, Adenauer, odezwij się!

Nikt się nie odezwał.

— Musiał pobiec na drugi koniec kanału — powiedział Andrzej — słyszałem jakieś kroki.

Istotnie, na końcu lochu błysnęło jakieś światło, ale zaraz znikło. Chłopcy,

pochylając głowy, ruszyli w tamtym kierunku. Doszli do końca kanału, ale nie znaleźli chłopca, namacali tylko jakąś beczkę.

— No, ty, Adenauer, gdzie jesteś? Odezwij się. Co to za kawały?! — zdenerwował się Michał.

— Tutaj jestem.

— Gdzie?

— Nad wami — odpowiedział głos i gdzieś u góry błysnęło światło latarki. Na ścianie kanału odbił się cień kraty. Co u licha!

Zadarli głowy i oniemieli z wrażenia.

Światek z latarką znajdował się po drugiej stronie krat.

— Czy to ty, Adenauer? — zapytał, nie chcąc wierzyć własnym oczom, Andrzej.

— To ja.

— Słuchaj... czy tam na pewno jest ta pałacowa piwnica?

— Na pewno. Już sprawdzałem. Stąd jest wyjście do Ogrodu.

— Ale... ale... u licha, jak się tam dostałeś? — wykrzyknął zdziwiony Michał.

— Wspiąłem się najpierw na beczkę, a potem wydźwignąłem się na rękach.

— Ale przez tę kratę? Tam przecież jest krata!

— No... zwyczajnie. Przeszedłem — zawstydzil się jakby Światek.

— Zmieściłeś się?

— Sam przecież mówiłeś, że jestem... no... że jestem patykowaty.

— To prawda, ale nie myślałem, że aż tak bardzo.

— To pewnie dlatego, że dzisiaj nie jadłem obiadu — wyjaśnił pośpiesznie Światek.

Sam nie wiedział, czy ma być dumny, że przeszedł i się zmieścił, czy też zmartwiony,

że jest aż tak strasznie mizerny.

Pozostali chłopcy nie mieli pod tym względem żadnych rozterek. Orzekli jednogłośnie, że to wprost cudownie, że jest taki... taki smukły, tak się wyrazili dyplomatycznie, nie chudy, ale smukły. I że w ogóle to jest doskonała cecha, taka smukłość. I co by oni bez smukłości Świątka zrobili w tym lochu, a tak...

— A tak jesteśmy uratowani — szepnął Michał.

— Pędź zaraz na milicję — powiedział Andrzej.

— Żeby mi tylko uwierzyli — westchnął Świątek.

— Na pewno ci uwierzą. Masz przecież te chusty, a Zenon, Tomek i Tadzik naprawdę zaginęli, i pewnie już ich szukają.

— Tylko szybko — jęknął Susuł. — Bo nie wiadomo, co z nami zrobią.

— Macie światło — powiedział Świątek, wręczając im latarkę.

— A ty?

— Nie martwcie się o mnie. Jeszcze jest dość widno na dworze.

— No, trzymaj się, Świątek! — uścisnął mu rękę Michał.

Świątek rozjaśnił się. Pierwszy raz ktoś w tym przeklętym Niekłaju nazwał go po imieniu.

\* \* \*

Ruszył biegiem piwnicą, w kierunku, gdzie było widać słabe światło dnia. Wkrótce znalazł się w dobrze mu znanych ruinach pałacu. Wyskoczył przez wypalony otwór okienny na dziedziniec i co sił pognął na przelaj przez Ogród.

Czasu było mało, więc postanowił wydostać się przez bramę. Tędy było najbliżej.

Wprawdzie narażał się na spotkanie z Mullahą, ale miał nadzieję, że jakoś się przemknie niezauważony. O tej porze, jak wiedział z doświadczenia, stróż zajęty był wieczornym

karmieniem swego inwentarza i dojeniem kóz. Były więc szanse.

Po dwu minutach biegu Świątek zauważył, że drzewa przerzedziły się, a spomiędzy nich wyjrzały okna stróżówki. Błyszczały czerwono od luny zachodzącego słońca. Ale co to?

Na drodze przed stróżówką, obok bramy, pojawiły się dwie duże postacie. Świątek zatrzymał się i dla bezpieczeństwa przyczał się za krzakami. W jednej z postaci przy bramie rozpoznał otulonego w pelerynę Mullę. Ale kim jest druga postać?

Podczołgał się ostrożnie jeszcze kilkanaście kroków i nagle serce zabiło mu gwałtownie. Ta druga postać to Szasza! Gestykułując gwałtownie i wydając ochryple okrzyki, niemowa tłumaczył coś z podnieceniem Mulle. Raz po raz wyciągał rozczapierzoną dłoń i pokazywał cztery palce, a potem trzymając wyciągniętą rękę nad ziemią czterokrotnie podnosił ją coraz wyżej jak ktoś, kto chce pokazać cztery różne wysokości. Żeby zaś Mulla nie miał żadnej wątpliwości, wyciągnął czarną chustkę z kieszeni i machał nią najpierw w kierunku muru, a potem w kierunku Ogrodu i przebierał palcami jakby pokazując czyjś bieg. Mulla kiwał ze zrozumieniem głową i klepał Szaszę życzliwie po ramieniu.

Świątek przygryzł wargi ze zdenerwowania. Cała scena chyba była jasna. Szasza wyszpiegował, że chłopcy znów się przedarli do Ogrodu, i teraz składał sprawozdanie Mulle. Pokazywał liczbę chłopców i ich wzrost. O, teraz nadał policzki i poklepał się po brzuchu. Pokazuje pewnie, że gruby Susuł był z nimi. I na uszy pokazuje, łapie się jedną ręką za jedno ucho, drugą za drugie i rozciąga je. Pewnie chce przez to powiedzieć, że Świątek-Uszatek też jest w Ogrodzie. A Mulla wszystko rozumie. Na pewno rozumie, bo coraz serdeczniej klepie niemowę po chudych łopatkach, a potem znika na chwilę w domu i wynosi stamtąd duży kawał kiszki-kaszanki i wręcza w nagrodę Szaszy.

Świątek zacisnął zęby. Ohydny donosiciel! Za nędzną kaszankę sprzedaje się Mulle.

A swoją drogą to oczywiste uchybienie ze strony Zenona, że nie potrafił zrobić z Szaszą sprzymierzeńca i dopuścił, żeby taki Mulla go przekabacał. Tak, Zenon ma poważne braki jako dowódca Piratów. Jego polityka pozostawia dużo do życzenia. Nie umie postępować z ludźmi i oto rezultaty. Nie czas jednak na refleksje. Oto bowiem Mulla zamknął na klucz bramę i wymachując laską, spiesznym krokiem ruszył wraz z Szaszą w kierunku krzaków, za którymi krył się Świątek. Najwidoczniej zamierza przeprowadzić energiczną „akcję oczyszczającą”.

Świątek rozejrzał się niespokojnie. Co robić w takiej sytuacji? Czy ryzykować spotkanie z Mullą? Opowiedzieć mu o opryszkach w kanale, o uwięzieniu chłopców, o zamachu na fabrykę i prosić o pomoc? To byłoby najprostsze wyjście. Ale czy zdoła Mulla wytłumaczyć całą grozę położenia? Czy Mulla mu uwierzy? Bardzo wątpliwe. Mulla za grosz nie ufał żadnemu chłopcu. Słaba nadzieja, że Świątkowi uda się go przekonać. Natomiast bardzo prawdopodobne, że zatrzyma Świątka, sprawi mu lanie albo jeszcze gorzej... A tymczasem upłyną drogocenne sekundy i wszystko przepadnie. Złoczyńcy realizują swój plan. Nie, nie wolno ryzykować. Nie wolno tracić czasu. Już lepiej przeprawić się przez dziurę w murze albo przez Bagno. To dalej, ale za to bezpieczniej.

Nie namyślając się dłużej, Świątek rzucił się w dół Ogrodu. Gdzieś nad nim rozległ się łopot wielu skrzydeł i przeraźliwe krakanie. Musiał spłoszyć stado gawronów, których tu było pełno. Świątka obleciał nagły strach. Te gawrony mogą go zdradzić. Niepotrzebnie go nerwy poniosły. Teraz już wie, że popełnił zasadniczy błąd. Powinien zaczekać spokojnie, aż Mulla z Szaszą przejdzie koło jego kryjówki, i dopiero wtedy ruszyć z miejsca.

Tak, to był niewybaczalny błąd. Wszystko od razu potoczyło się jak najgorzej. Nie tylko spłoszone gawrony, ale i odgłos kroków, i trzask łamanego pod stopami Świątka chrustu zwróciły natychmiast uwagę Mully. Spojrzał od razu w tę stronę i zauważył między

drzewami uciekającego chłopca. Pokazał go laską Szaszy i obaj rzucili się w pogoń. Mulla był niegroźny. Wiek i tusza nie pozwalały mu dopędzić chłopca. Natomiast z Szaszą była inna sprawa. Mimo że Świątek biegł, co sił w nogach, i zręcznie kluczył między drzewami, Szasza był szybszy. Na domiar złego Świątek potknął się o jakiś wystający korzeń i rąbnął jak długi na mech. Zerwał się wprawdzie błyskawicznie, ale Szasza już był przy nim. Złapał go mocno za kołnierz i mimo rozpaczliwego oporu doprowadził do nadbiegającego stróża.

— A, jesteś, wisielcze — zasapał Mulla. — Mało jeszcze dzisiaj było awantur?! Znów coś knujecie? Gadaj zaraz, gdzie tamci.

— Niech pan mnie puści! — wyrywał się rozpaczliwie Świątek. — Niech pan mnie puści! Tam w kanałach bandyci... Ja muszę na milicję...

— Co takiego?! — zmarszczył brwi Mulla.

— Mówię... Złodzieje w kanałach... chcą ukraść „wirusa”. Dostali się do zakładów...

Uwięzili chłopców. Nie ma ani chwili czasu, ani chwili... trzeba alarmować. To bardzo groźne... Proszę pana, panie Mulla, niech pan mnie puści — powtarzał błagalnie.

Z rozpaczy nie zauważył nawet, że użył w stosunku do stróża przezwiska. To rozzłościło do reszty Abdulewicza i pogrzebało na amen wszelkie szanse porozumienia.

— Ach, ty obwiesiu! Taki mały i już sobie pozwala! Czekaj, ja ci pokażę drzwi ze starszych!

— Ja nie drzwi — wykrztusił ze łzami w oczach Świątek — niech pan mi uwierzy.

To bardzo poważna sprawa! Straszne niebezpieczeństwo.

Mulla roześmiał się szyderczo.

— Znam się na waszych sposobach. Za stary wróbel jestem. Nie weźmiesz mnie na plewy, mój chłopcze. Przedtem były skarby, a teraz bandyci... Gadaj szybko, gdzie reszta



twoich kumpli. Ja wiem, że was było czterech.

— No, właśnie mówię, że zostali złapani... Pan wie, tam gdzie rozbity czoląg... tam jest wejście i bandyci...

Muła zniecierpliwiał się i krzyknął ostro:

— Ja was oduczę głupich żartów. Za dobry jeszcze byłem dla was. Za łagodny. Ale teraz dobiore się wam do skóry... Bandyci, cholewa, szkoda, że nie Marsjanie. Prowadź go, Szasza! — skinął na niemowę i ruszył w kierunku stróżówki, mrużąc ze złością: — Odechce wam się raz na zawsze pętania po Ogrodzie. Co wyście się tak uwzięli na ten Ogród, hultaje!

Nie zważając na tłumaczenia i żarliwe prośby nieszczęsnego chłopca, zaprowadził go na swoje obejście. Chwilę zastanawiał się, co zrobić z jeńcem, wreszcie otworzył chlewik, gdzie trzymał świnki, i wepchnął tam Światka.

— Poczekasz sobie tutaj — zasapał — aż nie wylapiemy reszty. A potem zawiadomimy ojców. Niech przyjdą po was osobiście i przekonają się, co z was za gagatki. To mówiąc, zamknął chlewik na kłódkę i nie przestając gderać pod nosem, oddalił się wraz z Szaszą szukać pozostałych intruzów.

— Niech pan mnie puści! Pan nie wie, co pan robi! Niech pan mnie puści! Będzie pan żałował! — krzyczał rozpaczliwie Świątek, szarpiąc drzwiczki, ale nadaremnie. Jego krzyki ginęły zresztą w przeraźliwym kwiku nierogacizny. Świnie, zaskoczone obecnością niezwyklego współlokatora w chlewie i przerażone jego zachowaniem, kłębiły się po ciasnej przestrzeni. Ich białe, opasłe cielska raz po raz migotały w ciemności. Wreszcie któraś z nich przewróciła koryto i jego zawartość wylała się na nogi Światka. To dopiero ostudziło go nieco. Otarł się słomą z obrzydzeniem i zaczął zastanawiać się nad sytuacją. Krzyki i bezsilne szamotania nic nie pomogą. Zaczął dokładnie sprawdzać drewniane

ściany w chlewiku. Ale chlew był zbudowany solidnie i wszystkie deski trzymały się mocno. Nie było mowy, żeby którąś oderwać. Co robić? Co robić? Bezradnie rozglądał się po więzieniu. Głupie położenie, najgłupsze, jakie może być. Czy po to wyrwał się z kamiennego lochu, żeby teraz gnić w jakimś nędznym chlewie? To się nazywa ironia losu. Pomyślał o kolegach. Biedacy, pewnie sądzą, że jest już na milicji, że prowadzi do nich pomoc... Tak liczyli na niego. A tymczasem... Ech, płakać się chce. Zaszlochał cicho i bezsilnie.

Świnie ośmielone jego spokojem przestały już szaleć i zaczęły z kolei obwąchiwać go ciekawie, chrząkając przyjacielsko. Zrezygnowany Świątek nawet nie próbował się bronić przed tymi świńskimi objawami sympatii, dopiero, gdy jeden z wieprzów bezceremonialnie, sapiąc i niuchając, wsadził mu ryj do kieszeni i wyciągnął z niej chustkę do nosa, Świątek odsunął go stanowczo. Ale co to? Z kieszeni wraz z chustką wypadło coś ciężkiego na słomę. To scyzoryk. Że też o nim zapomniał. Podniósł go pośpiesznie i otworzył. Serce zabiło mu mocno. Bądź co bądź jakieś narzędzie! Nie, nie podda się tak łatwo losowi. Spróbował ostrza na drzewie drzwiczek. Drzewo było dość miękkie. Łatwo poddawało się ostrzu. Zerwał się na nogi i począł żmudnie nacinać kant drzwiczek tuż przy kłódce, a potem odłupywać drzazgę po drzazdze, wzdłuż słoików, cierpliwie i wytrwale...

## Rozdział XXII

— No i co teraz? — zapytał Michał, kiedy zostali sami. — Trzeba skorzystać z tego, że Świątek nas odemknął.

— Nie mamy ani chwili do stracenia — powiedział Andrzej — ci dranie lada chwila mogą wynieść swój łup.

— A jeśli oni naprawdę szukają tylko skrzyń Szwajca? — zauważył Michał.

— Bzdura. Nie wiadomo, czy w ogóle istnieją jakieś skrzynie.

— Bosman nie skłamał — rzekł urażony Michał. — Ty nie znasz Bosmana.

— Nie, to są większe dranie, ja ci mówię. Nie wyglądają na wariatów, którzy szukają skarbów. Zresztą, tak czy owak, nie możemy ryzykować, że obrabują wzorcownię.

— Co więc chcesz zrobić?

— Iść i przekonać się, czy naprawdę przechodzą tymi kanałami do fabryki.

— A jeśli tak?

— My też przejdziemy, no i... unieszkodlimy ich.

— Myślisz, że nam się uda?

— W każdym razie narobimy alarmu w fabryce. Boisz się? — zapytał Andrzej poufnym tonem Michała.

— Trochę.

— Ja też się boję, ale musimy.

— Jasne — westchnął Michał.

Tak, to było zrozumiałe. Muszą zrobić wszystko, na co ich stać, bo inaczej do końca życia nie mieliby spokoju.

— Susuł, ty zostaniesz — zdecydowali.

Bali się niezaradności i pecha tłściocha. Ale Susuł nie chciał o tym słyszeć. On też nie był gorszy i chciał szczerze pomóc. Zresztą przerażała go myśl, że zostanie sam w lochu, i to po ciemku. Ruszyli więc, koniec końcem, we trójkę.

Najpierw ostrożnie uchylili drzwi i wyjrzeni. Daleko, u wylotu kanału, zleciał na ziemię jakiś ognik. To Dodek, który siedział na górze, zapalił pewnie papierosa i rzucił w dół nie zgaszoną zapalkę. Spojrzeli w drugą stronę. Tam, daleko, paliło się jakieś światło.

— Idziemy!

Ruszyli na palcach, ale szybko... Na szczęście miękkie trampki nie stukwały zupełnie o

kamienne dno.

Po kilkunastu krokach po prawej stronie kanału zauważyli obszerną wnękę.

Poświecili latarką, spojrzeli po sobie i dech im zapało z emocji. Jednocześnie Michał uczył, że Susuł wpija mu z całej siły paznokcie w rękę i szepce w najwyższym podnieceniu:

— Michał... przecież... przecież... to właśnie... skrzynie Szwajsa!

Istotnie, cała wnęka zastawiona była poczerniałymi, drewnianymi skrzyniami różnych kształtów. W jednej kawałek deski był oderwany i przez szparę połyskiwało coś żółto.

— Złoto — wyszeptał Susuł, oblizując wargi. — Widzisz, Andrzej, a ty nie wierzyłeś, wszystko się zgadza. Wszystko! Bosman nie kłamał.

Chciał od razu biec i otwierać skrzynki, ale usłyszał głos Michała:

— Rany... idą tutaj!

Ledwie zdążyli ukryć się za skrzyniami. Zupełnie zresztą nie wierzyli, że to coś pomoże. Serca im kołatały jak szalone. Dopiero teraz zdali sobie przeraźliwie jasno sprawę z tego, na jak szalone narażali się ryzyko, wychodząc ze swego lochu. Nie mają szans. Żadnych szans. Przecież tu stale kręcą się te oprychy. Jakby na potwierdzenie tych obaw do wnęki wszedł Rajmund.

Chłopcy skulili się za skrzyniami, jak tylko mogli najbardziej. Zauważy czy nie?

Tym razem nie zauważył. Zajęty był, na szczęście, czym innym.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie wziął na ramię jedną ze skrzyń i ruszył z nią w górę kanału. Musiała być bardzo ciężka, bo aż sapał z wysiłku.

— Widzieliście, wynoszą skrzynie! A ty mówiłeś, że to złodzieje fabryczni. Po skarby przyszli. Po skrzynie Szwajsa. Widzisz, wszystko się zgadza — powtórzył Susuł.

Andrzej chrząknął zmieszany. Istotnie, tego nie można zaprzeczyć, wszystko się

zgadzało. I miejsce kanału, i jego opis, no i najważniejsze — skrzynie. Były. Leżały tuż przed nim. Mógł je dotykać ręką. A te zakazane typy zabierały skarb na jego oczach.

— Jedno mnie tylko dziwi — zauważył nagle Michał. — Dlaczego oni te skrzynie noszą w górę kanału, a nie do wylotu?

Andrzej zmarszczył brwi.

— Masz rację, nie pomyślałem o tym, to rzeczywiście dziwne.

Drgnęli, bo za ich plecami rozległ się zgrzyt wyjmowanych gwoździ. Obrócili głowy.

To Susuł nie wytrzymał nerwowo i próbował otworzyć skrzynię za pomocą jakiegoś znalezionego haka.

— Co robisz?!

— A co, mamy czekać, aż wszystko wyniosą? Lepiej od razu ponapychamy sobie kosztownościami kieszenie, może coś ocalimy...

Szarpnął z całej siły, tym razem deska wyleciała w powietrze, Susuł, widocznie prawem reakcji, klapnął na ziemię, ale skrzynia była otwarta. Z drugą deską było już łatwiej. Pod spodem ukazała się warstwa jakiejś tektury czy papy... Susuł przedarł ją i... wszyscy zamarli z wrażenia. Ze skrzyni wytoczyło się coś ciemnego, jajowatego, wielkości pięści, i potoczyło parę kroków w ich kierunku.

— Chłopaki — wykrztusił Andrzej — to przecież granat! Wojskowy, niemiecki granat!

Chłopcy cofnęli się odruchowo. Na szczęście nic nie wybuchło. Granat zatrzymał się grzecznie koło ich nóg.

— Masz swoje skrzynie Szwajca! — syknął Andrzej. — O mało co byś nie wyleciał w powietrze, szczeniaku!

— Bosman przecież nie kłamał... — wybelkotał bliski płaczu Susuł, cofając się w tył

wnęki.

— Pewnie, że nie — mruknął Michał. — On widział, jak je wnieśli. I to nam przecież powiedział. Nie mówił, że w tych skrzyniach jest złoto. To wyście się tak domyślali.

— Ale po co Rajmund zabrał tę skrzynię? — wciąż niepokoił się Andrzej. — Wiesz, strasznie mi się to nie podoba.

— Andrzej, ja myślę, że... to jest straszne... ale chyba prawdziwe. Przecież on zaniósł te skrzynie w górę kanału... W górę kanału, to znaczy pod fabrykę.

— Oszalałeś. Myślisz, że chce wysadzić fabrykę? Wariat! Teraz dywersantów nie ma.

— Skąd wiesz?

— No, bo... jakoś nie słyszy się...

— No, to po co oni te skrzynie?...

Ale zamiast odpowiedzi Andrzej zgasił latarkę i szepnął:

— Cicho, znowu idą.

Chłopcy przywarli do ziemi. Przez szparę między skrzyniami ujrzeli dwu mężczyzn.

W jednym poznali Rajmunda, w drugim Magistra. Obaj nieśli z sobą jakieś ciężkie walizki.

Przy wnęcie przystanęli, postawili walizki na ziemi i otarli czoła. Magister zrzucił z siebie roboczy kitel, zdjął z haka w murze marynarkę i zaczął się czesać w lusterku.

— Która godzina? — zapytał Rajmunda.

— Dziewiąta.

— Mamy godzinę czasu. Kazek będzie o dziesiątej. Powiedział, że nie przyjedzie, aż się zupełnie ściemni.

— Tak się spietrał?

— Wszyscy się pietrają. Zobacz, jak się spocilem.

— To od walizki.

— Nie, to z nerwów.

— Nie gadaj. Trzymasz się dobrze... za to Dodek zupełnie wysiadł.

— Te małe komplikacje go wykończyły. Ale sam sobie winien. Złakomił się na nędzną sztabkę stopu.

— Siła przyzwyczajenia — mruknął Rajmund.

— Tak, ale przez to zostawiliśmy ślad... i gdyby nie kochane dziecieczki...

— Cholerne szczeniaki! — zaklął Rajmund.

Magister zaśmiał się swobodnie i zapalił papierosa.

— Zupełnie was nie rozumiem. Co wy chcecie od tych dzieci? To nasze alibi, gratisowa frajda. Przecież dopiero one naprawdę nas urządziły.

— Nie rozumiem. — Rajmund zdjął golf i wachlował się nim.

— To zupełnie proste. Czytałeś chyba nieraz o lekkomyślnych chłopcach, którzy majstrują koło niewypałów, pocisków artyleryjskich, bawią się nieznaną amunicją, a potem takie zabawki urywają im nóżki albo nawet główki.

— Jesteś w humorze, Magister.

— Ja zawsze po dobrej robocie mam dobry humor. A żebyś i ty miał, opowiem ci bajeczkę.

Raz w jednym mieście był straszny, dziki, opuszczony ogród, do którego nie wolno było chodzić grzecznym dzieciom. Ale paru nieposłusznym chłopców nie chciało słuchać starszych, stale biegało do zakazanego ogrodu i bawiło się tam w Piratów. Aż raz znaleźli stary, zmurszały schron, a w nim remanent wojenny pewnego szwaba, niejakiego Szwajsa, osiem skrzyń granatów i tyleż pocisków przeciwlotniczych, a zwłaszcza — skąd on do diabła to wziął, stary Szwajs, musiał mu Wehrmacht zostawić — dwanaście skrzyń min

przeciwczołgowych. Niegrzeczni chłopcy bawili się w magików-pirotechników, zrobili małe pif-paf i polecili prosto do nieba.

A że przy okazji wyleciała też wzorcownia fabryki razem z prototypami, modelami, wzorcami, rysunkami, technologią, dokumentacją i tym podobnymi rzeczami — to całkiem proste i zrozumiałe. Jak ci się podoba moja bajeczka?

Rajmund w milczeniu skrobał się po brodzie.

— Widzę, że nie jesteś nią zachwycony — uśmiechnął się Magister.

— Prawdę mówiąc, nie. Zgodziłem się na czystą robotę — powiedział Rajmund.

Urwał nagle, bo z ciemności wynurzył się na chwiejnych nogach Mniszek.

— Co robią te skrzynie w kanale? — zapytał zadyszany. Jego wypukłe oczy błędziły niespokojnie po twarzach współników.

Złodzieje milczeli.

Mniszek dopadł do Magistra i potrząsnął nim gwałtownie.

— Po co wyciągałeś te skrzynie? Odpowiadaj! Co chcesz zrobić?

— Nic cię to nie obchodzi — odepchnął go Magister. — Zobacz lepiej do walizki, czy o ten silnik ci chodziło.

— Pluję na ten silnik. Już za późno. Wszystko za późno. Nic już nie da się zrobić. Nie mamy szans. Nawet na ucieczkę już za późno — mruczał Mniszek. — Po co wyciągnąłeś te skrzynie?

— Co on plecie? — skrzywił się Magister.

— Upił się ze strachu — mruknął Rajmund.

— Ty, Rajmund, powiedz, co on planuje, ta świnia — Mniszek uczepił się Rajmunda.

— On chce zamienić tych wścibskich chłopców w aniołki — odparł ponuro Rajmund



— a przy sposobności przemeblować wzorcownię żeby tam się nikt nie połapał, gdzie stół, a gdzie szafa.

— Co?! — Mniszek patrzył na Magistra przerażony. — Chcesz wysadzić kanał wraz z dziećmi?

— Zgadza się — odparł Magister, oglądając sobie ręce.

— Ty łotrze! — Mniszek zamachnął się pięścią, ale Magister uchylił się zręcznie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Uspokój go, Rajmund — powiedział do kolegi i począł sobie myć ręce w wiaderku z wodą.

Rajmund chwycił Mniszka za ręce i ustawił go przy ścianie.

— Morderca — dyszał Mniszek — morderca, dawno to już podejrzewałem... ty nie jesteś kasiarzem, ty jesteś mordercą! Zamordować dzieci... potwór... potwór!

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. — Magister starannie wycierał ręce włochatym ręcznikiem, który wydobyl z teczki. — Zupełnie nie rozumiem — powtórzył. —

Zgodziliśmy się przecież obaj, że robota ma być czysta.

— Właśnie.

— No, więc staram się pracować czysto. — Magister wyjął z teczki krem „Nivea” i zaczął starannie wcierać go w dłonie.

— Ty to nazywasz czystą robotą? — wykrztusił Mniszek.

— Rzecz jasna — odparł Magister, smarując sobie kremem podbródek. — Czysta robota jest to robota bez śladów, bez świadków i z zapewnieniem alibi. Kolega dziwi się?

Nie to miał na myśli? Tak, widzę, żeśmy się nie zrozumieli, układając plan akcji. To przez to, że kolega technolog ma jeszcze pewne braki w naszej zawodowej terminologii. Postaram się więc wytłumaczyć koledze. — Magister nabrał nową porcję kremu i rozmazał sobie na

twarży. — Otóż ci malcy uganiający się za skrzyniami Szwajsa podsunęli mi jedną myśl: urządzić mały wybuch. To nam załatwi za jednym zamachem wszystko. Nie będzie już kradzieży, nie będzie włamania, nie będzie świadków — nie będzie w ogóle przestępstwa, będzie tylko jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek spowodowany przez lekkomyślnych chłopców, jeden z tych wielu wypadków, o których piszą w gazetach. Jednym słowem — będzie dla nas czysta robota.

— Łotrze... Łotrze! — sapął bezsilnie Mniszek rozplaszczony na ścianie przez Rajmunda.

Tymczasem Magister, nie przerywając masażu twarzy, ciągnął dalej:

— Oczywiście, wtedy wyjdzie na jaw, że chłopcy szukali skarbów Szwajsa, że pętali się po Ogrodzie i że natrafili na stare kanały, nikt nie będzie miał wątpliwości, kto spowodował tragiczną detonację. Tym bardziej, gdy odnajdą czarne chusty u wylotu kanału przy czołgu... A właśnie — zwrócił się do Rajmunda — czy zawiesiłeś te chusty, jak mówiłem?

— Zawiesiłem — odparł ponuro Rajmund.

— Doskonale! — Magister zadowolony przejrzał się w lusterku. — W takim razie nikt nie pomyśli inaczej... i nie będzie przestępstwa. Bo przecież przestępstwo istnieje tylko wtedy, kiedy się o nim wie. Zdaje się, że wyjaśniłem to dokładnie koledze technologowi.

— Nie nazywaj mnie kolegą, opryszku — zasapał bezsilnie Mniszek. — Nie mam z tobą nic wspólnego i nie chcę mieć. Biorę cię na świadka, Rajmund, że nie mam nic wspólnego z tym lotrem i z jego teoriami.

— Oczywiście, zgadza się, nie jesteś moim kolegą — rzekł Magister, wkładając marynarkę — po prostu tylko przelotnym znajomym z Izby Wytrzeźwień, dokąd zaglądam czasem, udając pijanego, aby od zalanych głupców wydostać informacje i zaplanować sobie

kolejną robótkę. Tak było i z tobą, ptaszku. Ale ty nie jesteś chłopakiem z naszej branży. Jesteś wylanym z fabryki kiepskim wynalazcą, który nie wynalazł w życiu nic prócz tricku, jak zagarnąć nie swój wynalazek i opylić go zagranicznej firmie. U nas taki typek nazywa się „salceson”.

— Być może jestem kiepskim wynalazcą, ale mam sumienie — powiedział Mniszek.

— Salceson z sumieniem — zaśmiał się Magister — to coś zupełnie nowego. Ja w każdym razie nie mam zamiaru dla spokoju twojego sumienia narażać swojej skóry.

— Mniszek ma rację — odezwał się nagle Rajmund. — Po co paprać ręce?

Wystarczy przecież, jak zwiążemy tych smarkaczy. Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka. Ja mam, widzisz Magister, taką zasadę — pracować na sucho...

Magister zaśmiał się.

— Widzę, że wszyscy jesteśmy z zasadami. Bardzo ładnie, dzieci, ale ja też mam swoją zasadę. Moją zasadą jest nie zostawiać świadków... Nie robię tego z przyjemności. Mnie też żal chłopaków. Ale to konieczność. Widzieli nas przy robocie, mogą rozpoznać nasze szlachetne twarze — muszą, niestety, zginąć. Sami sobie nawarzyli piwa. Po co nam się pchali pod rękę? Po co się pętali po Ogrodzie, po co szpiegowali? Nic na to nie poradzę. Wydali na siebie wyrok. Jeśli ich teraz nie „załatwimy”, wszystko na nic. Nie opylimy „wirusa”. Gliny będą nam od początku deptać po piętach. Zaostrzą kontrolę na granicy. Ogłoszą listy gończe. Zrobi się hałas i firma się spłoszy. Natomiast wybuch załatwi nam wszystko... i dlatego będzie wybuch. A ty, salceson, jak się nie zamkniesz, zostaniesz tu razem z dziećmi.

— Nie zrobisz tego... Nie, nie... nie zrobisz tego — zachrypiał Mniszek. — Pamiętaj, tylko ja mam kontakt z firmą, tylko mnie tam znają. Tylko mnie uwierzą, że to mój wynalazek. Tylko ja znam się na tym... Beze mnie nic nie wskóracie... Nikt nie będzie z

wami pertraktował... Zamkną was od razu do mamra. Po waszych gębach widać, żeście oprychy.

— Nie kracz, denerwujesz mnie — warknął Magister. — A co do firmy, to firma nie jest święta i chętnie przymyka oko tam, gdzie węszy miliony. Kupi od nas nawet diabła, jeśli jej się to opłaci. Musimy tylko zatrzeć ślady, żeby rzecz nie wyglądała na zbyt rażące przestępstwo. — Magister obejrzał przewody na ścianie. — Załatwimy się w dziesięć minut. Nie będzie potrzeba zbyt wiele fatygi... Wszystko jest podłączone i przygotowane piętnaście lat temu. Solidna, niemiecka robota. Widać mieli wysadzić w powietrze tuż przed wycofaniem się, ale czasu Niemiaszkom zabrakło.

Od strony wylotu kanału rozległy się szybkie kroki. Zobaczyli Dodka. Biegł, ścigając po drodze kombinezon.

— Zbierajcie się — zasapał — Kazek już przyjechał. Słyszałem motor. Nareszcie skończy się ta cholerna robota. Już mi obrzydły te lochy. To gorsze od mamra. Ja zawsze pracuję na świeżym powietrzu.

Magister spojrział na zegarek.

— No, to choć raz Kazek się pośpieszył. Jeszcze nie ma dziesiątej. A może to nie on?

— zapytał podejrzliwie.

— Na pewno on — rzekł stanowczo Dodek. — Mrugał światłem, jak było

omówione... Czy to zadziała? — pomacał przewody na ścianie. — Wyglądają na stare.

— Stare, ale dobre. Sprawdziliśmy.

— A... nam nic się nie stanie? Bo jakby nas zasypało, to ja dziękuję. Nie mam żadnej ochoty zostać tu w charakterze zwierzęcia kopalnego, czyli eksponatu archeologicznego dla potomności.

— Nie ma strachu. Najpierw dosztukujemy kilkadziesiąt metrów przewodu. Końce

**drutów zetkniemy dopiero za pancerną bramą. Będziemy bezpieczni.**

**Mniszek szarpnął się bezsilnie przy ścianie.**

**— Potwór... potwór — plunął za Magistrem.**

**Sprężył się całym ciałem i wyrwał Rajmundowi. Chciał chwycić żelazny pręt leżący na ziemi, ale Magister przydeptał go butem. Dodek zaklął i rzucił się z pięściami na technika, ale Magister powstrzymał go.**

**— Wstań — powiedział do Mniszka.**

**Technik wstał.**

**— Naprawdę zdenerwowałeś mnie — rzekł do niego Magister, rozcierając sobie ręce**

**— bardzo mi przykro, ale tym razem naprawdę zdenerwowałeś mnie i będę cię musiał uciszyć.**

**To mówiąc, błyskawicznym ciosem pięści rozłożył Mniszka na betonie.**

**Przerażony Rajmund pochylił się nad nieruchomym technologiem.**

**— Zostaw — szturchnął go butem Magister — dawno już powinniśmy się byli pozbyć tego mięczaka. Byłyby z nim tylko kłopoty. To nie nasz chłopak. No, dosyć gadania.**

**Bierz walizkę, Dodek, bo tam Kazek zwija się z nerwów.**

**Zabrali manatki i odeszli szybkim krokiem.**

## **Rozdział XXIII**

**Chłopcy słuchali przez chwilę oddalających się kroków. Stukały w ich uszach jak kroki plutonu egzekucyjnego. Potem zatrzasnęła się żelazna brania. Nieszczęśni mieli wrażenie, jakby zawarły się nad nimi drzwi grobowca.**

**— Biegniemy! — wykrztusił wreszcie przez zaciśnięte gardło Andrzej.**

**— Dokąd?**

**— W górę kanału... Do podkopu. Tam jest przecież przejście do fabryki.**

— Nie zdążymy.

— Jak się będziesz wahał, to pewnie...

— Rajmund ma przecież jeszcze sztukować przewody — mruknął Susul. —

„Dziesięć minut” — powiedział Magister.

— Prędszej! — poganiał ich Andrzej.

— A oni? — zapytał Michał.

— Kto?

— Zapomnieliśmy przecież o Zenonie. Trzeba ich wypuścić.

— Prawda — zawstydzil się Andrzej. — Pędźcie naprzód... ja sam ich wypuszczę.

— Nie... ja...

— Wariat, teraz się będziesz klócił?

Pobiegli więc wszyscy w górę korytarza aż do następnej odnogi. Wszędzie, w równych odległościach rozstawione były skrzynki z minami. Magister pracował metodycznie. Nie darmo, widać, nosił takie przezwisko. Na widok każdej skrzynki chłopcom łomotały serca. To było memento, że lada chwila wylecą w powietrze.

— To chyba w tych drzwiach — pokazał zadyszany Michał na żelazne drzwi zupełnie podobne do tych, za którymi oni sami z Andrzejem siedzieli.

Odsunęli ze zgrzytem zasuwę i poświecili latarką.

Pod ścianą, na kamiennej posadzce, leżały trzy ciała. W jednym tliła się jeszcze iskra życia, poruszało się z jękiem... Dwa pozostałe były zupełnie nieruchome.

— To Tomek i Tadzik.

— Nie żyją!

Michał podbiegł do nich i zaczął potrząsać gwałtownie. I wtedy stała się rzecz niespodziewana i radosna. Oba ciała zerwały się na równe nogi i zaczęły przewracać

oczami. Spali widać w najlepsze, strudzeni wszystkimi przejściami.

„A swoją drogą, trzeba mieć pirackie zdrowie, żeby spać w takich warunkach” — pomyślał Andrzej.

Najwidoczniej nie zdawali sobie zupełnie sprawy z tego, co ich czeka.

Natomiast stan trzeciego więźnia, w którym rozpoznali Zenona, był bardzo poważny.

Miał chyba gorączkę. Był nieprzytomny. Rzucił się, odpychał ich, gdy chcieli go podnieść, i cały czas powtarzał jakieś słowa bez związku:

— Mamo... już ostatni raz... naprawdę ostatni... nic mi się nie stanie... zobaczysz, zupełnie nic... Naprzód... atakujemy... Odejdź, zdrajco... Susu!... ty jesteś mężny... Mianuję cię kapitanem... Daj rękę, Susu!...

Susu! ze łzami w oczach chciał wziąć rękę Zenona, ale ten nie poznał go wcale i odepchnął.

— ... Nie... nie poddam się nigdy... Dlaczego tak duszno? Mamo, okno... okno... już dzień, po co te zasłony?...

Chłopcy patrzyli na niego wstrząśnięci.

— Co mu jest? — zapytał Susu! Piratów.

— Potłukł się, ma gorączkę i zdaje się, że skręcił sobie nogę.

Ale nie było czasu nawet na oględziny obrażeń. Chodziło o życie. Każda chwila była droga.

— Na co czekacie, wychodźcie! — krzyknął Michał do Piratów.

Ale chłopcy w odpowiedzi cofnęli się pod ściany i zacisnęli pięści.

— Nie weźmiesz nas żywcem — powiedział Tadzik.

— Nie damy ci się, zdrajco — dodał Tomek.

— Już jawnie przystałeś do Kszyka?

— I Susuł też... Tłuścioch zdradziecki! Sprzedałeś się za salceson czy za kielbasę?

— Nie poddamy się!

Michał wytrzeszczył oczy. Takiej zaciętości się nie spodziewał. Zupełni kretyni, mają bzika na punkcie honoru!

— Nie mamy zamiaru was brać do niewoli, idioci — powiedział zdenerwowany. —

Zabawa już się skończyła, chodzi o wasze życie. Za chwilę Magister wysadzi was w powietrze.

— Nieprawda. Powiedział, że puści nas, a nawet podzieli się z nami skarbami

Szwajsa...

— Nie ma żadnych skarbów.

— Kłamiesz, sami widzieliśmy skrzynie.

— Bo skrzynie są, ale wiecie z czym? Z amunicją i minami. Wszystko jest podłączone. Musicie natychmiast wiać. Za chwilę może już być za późno. Jazda... — chciał ich pchnąć w kierunku drzwi, ale oni nie chcieli się ruszyć.

Patrzyli podejrzliwie. Czuli jakiś podstęp.

— No, jak mam do was mówić — Michałowi chciało się płakać z rozpacz. — Susuł, może ty ich przekonasz?

Susuł zaczął gorączkowo tłumaczyć, ale i jego nie chcieli słuchać. Też uważali go za zdrajcę.

— Co robić? — Michał zapytał Andrzeja. — Brać ich siłą czy jak?

Ale Andrzej był równie bezradny.

— Dlaczego mi nie wierzycie? — zapytał wreszcie Michał.

Chłopcy milczeli.

Wreszcie Tomek syknął:



— Bo jesteś zdrajcą.

— Nie chcemy, żeby nas zdrajca ratował — dodał Tadzik. — Nic nie chcemy  
zawdzięczać zdrajcy, nic... nic... — powtarzał ze łzami w oczach, zaciskając pięści.

— No, więc co mam zrobić, żebyście mi uwierzyli i chcieli wyjść stąd?

Chłopcy zaskoczeni takim pytaniem milczeli przez chwilę, a potem Tadzik rzekł:

— Przyznaj się, że jesteś ohydny zdrajcą.

Michał zasapał.

— Nie chcesz, widzisz — powiedział Tomek.

— No, więc dobrze, jestem zdrajcą.

— Ohydny!

— Ohydny! — powtórzył przewyciężając się Michał.

Dopiero teraz Piraci z godnością dali się wyprowadzić.

Gdy tylko jednak zobaczyli pod drzwiami pierwszą podłożoną skrzynkę, z której  
wyglądały prawdziwe, wielkie miny, natychmiast przyspieszyli kroku i nie trzeba ich było  
już poganiać.

Zenona nieśli Andrzej, Machał i Susuł. Tomek i Tadzik chcieli pomagać, ale okazało  
się, że sami ledwie ruszają nogami. Ten upadek do kanału też im dogodził, choć mieli więcej  
szczęścia niż Zenon.

W takiej sytuacji nie było nawet mowy o szybkim posuwaniu się naprzód. Tym  
bardziej, że ciężar Zenona coraz więcej im się dawał we znaki.

— Ależ on waży, ten wasz admirał — zaciskał zęby Andrzej. — Wiesz... — dodał po  
chwili — mnie najbardziej złości, że oni chcą tak zrobić, żeby wyglądało na naszą winę,  
jak... jak... wzorcownia wyleci w powietrze. Na zawsze oczernią... żeby nawet dobra pamięć  
po nas nie została.

— Dziwię się, że jeszcze w ogóle chce ci się złościć... — sapał Michał. — Ty zdaje się w ogóle nie potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy być wysadzonym w powietrze, i dlatego strugasz bohatera.

— To drętwy Kolonista, on w ogóle nie czuje — jęknął Susuł. Zdaje się, że Susuł odczuwał za dwu, bo pocił się i sapał ciężko. Ale trudno mu się nawet dziwić. Sytuacja była naprawdę tragiczna.

— Nie zdążymy — szepnął Michał. — To niemożliwe, żebyśmy zdążyli. Straciliśmy tyle czasu.

Andrzej nie odpowiedział. Myślał przecież to samo.

— I nie wiadomo jeszcze, czy tam na pewno jest wyjście — ciągnął Machał. — A jeśli wzorcownia jest zamknięta na klucz, to co? Zresztą... zresztą nie tylko własną skórę mamy do uratowania.

— Masz rację — powiedział Andrzej i zatrzymał się nagle.

— Czego stoisz?

— Idźcie naprzód sami.

— A ty?

— Ja wracam.

— Oszalałeś?!

— Muszę wrócić.

— Ale po co?

— Przerwać przewody... To jedyny ratunek. Jeśli natychmiast nie przerwiemy przewodów, zginjemy.

I puścił się biegiem z powrotem.

— Oszalał! — Michał i Susuł pognali za nim. Dopędzili go dopiero przy wnęce.

— Wariat, jak przerwiesz?

— Zabrali nam przecież wszystkie ostre rzeczy.

— Jakoś będę próbował. Muszę przerwać.

Rzucił się do skrzynek i chciał zrywać przewody. Michał zatrzymał go w ostatniej chwili.

— Co robisz? Nie ruszaj! Wybuchnie! To miny.

— A na ścianie?

— Przy ścianie można, tylko ostrożnie, czekaj, pomogę ci.

Zdjęli ostrożnie przewód ze ściany, ale o rozerwaniu go nie było mowy.

Był to gruby, izolowany gumą przewód, jakiego używa się do instalacji w wilgotnych pomieszczeniach.

— Trzeba przeciąć.

— Ale czym?

Nikt nie miał ani „kawalka” noża.

— Może Mniszek będzie miał. — Andrzej dopadł do leżącego bezwładnie technologa i zaczął mu wywracać kieszenie.

Niestety, technolog nie miał w kieszeniach żadnego ostrego narzędzia. Poszukiwania przyniosły tylko jeden rezultat. Poruszony przez chłopców Mniszek ocknął się, wydał głośny jęk, a potem niezdarnie usiadł, trzymając się za głowę. Ale ledwie spojrzał na chłopców, od razu osunął się z powrotem na beton.

— Ile mamy czasu? — zapytał Michał.

— Jeszcze pięć minut.

— Spróbujmy przegryźć — powiedział Susul.

Ale były to beznadziejne próby. Czy można przegryźć przewód? Jeszcze taki

przewód. Z grubą, twardą gumą i dwoma grubymi, miedzianymi drutami.

„Nie dadzą rady” — myślał Michał, przyglądając się wysiłkom kolegów.

Przypomniawszy sobie, jak trudno mu było przeciąć nawet ostrym nożem zwyczajny sznur od żelazka. Elektrotechnicy używali do cięcia specjalnych cążek...

„Jeszcze trzy minuty” — spojrzawszy struchlały na zegarek.

Ach, gdyby miał pod ręką kawałek czegoś ostrego.

I wtedy zabłysła nagle i niespodziewanie nadzwyczajna światłość Susułowego umysłu, która zadziwiła wszystkich bez wyjątku. Doktor Otrębus nazwał ją później, dźwięcznie i wspaniale, lucidum intervallum. Susuł chodził odtąd dumny i często chwalił się, że ma tę lucida intervalla.

Niewątpliwie był to fakt. Lecz o ile dotychczas nadzwyczajna sprawność Susułowego umysłu uwidaczniała się w nader wstydlivych okolicznościach, na przykład wtedy, gdy chodziło o wymiganie się od pracy, to tu, w schronie Szwajca, po raz pierwszy posłużyła szlachetnemu celowi.

A stało się to niespodzianie.

Oto bowiem Susuł w pewnej chwili przestał szarpać przewód, natomiast zaczął się przyglądać Andrzejowi z jakimś dziwnym, drażniącym uśmiechem.

— Czego się tak patrzysz? — rozzłościło to Andrzeja. Zdawał sobie przecież sprawę z tego, że wygląda śmiesznie, bo czy można wyglądać mądrze, kiedy się gryzie przewód, ale to nie powód, żeby Susuł robił sobie śmiechy.

— Nie patrzę na ciebie — odparł Susuł — ty sam zupełnie nie jesteś dla mnie interesujący.

— Tylko co?

— Twoje okulary.

— Co takiego?!

— Potrzebne mi jest szkło — rzekł wreszcie Susuł, patrząc na Andrzeja. — To przecież głupota męczyć się zębami, kiedy ty masz na nosie szkło, ostre, twarde, kryształowe szkło.

Andrzej zamrugł oczami, zdjął okulary, a potem wykrzyknął:

— Racja, że też mi to nie wpadło do głowy! Ja chyba dziś naprawdę mam jakieś zamroczenie.

— Nie przejmuj się. Okularnicy zawsze zapominają o swoich okularach... Zresztą mój tatuś mówi, że najtrudniej jest dostrzec to, co się ma na nosie...

To mówiąc, wyjął z rąk Andrzeja okulary, już się zamachnął, zęby je rozbić o kamienną posadzkę kanału, ale rozmyślił się i zwrócił je z westchnieniem.

— Wiesz co, rozbij je lepiej sam, potem mogłoby być na mnie.

Andrzej rzucił bez wahania. Szklą rozbiły się na kilka części. Chłopcy przypadli do ziemi, chciwie pozbierali odłamki i natychmiast przystąpili do pracy. No tak, tym razem to było zupełnie co innego. Twarde, optyczne szkło z łatwością przecięło gumę, trudniej poszło z miedzianymi drutami, ale i one — tarte, rżnięte i piłowane zajadłe — uległy w końcu...

— Hura! — krzyknął Susuł. — Wyszadźcie teraz. Okularnik, to dzięki tobie, daj pyska! — chciał całować Andrzeja.

— Daj spokój, bo jeszcze usłyszą — Andrzej zamrugł krótkowzrocznymi oczyma.

— Ale mnie będziesz musiał stąd wyprowadzić jak ślepego.

— Wyniosę cię na plecach, jak będzie trzeba — uspokajał go Susuł.

— Lepiej wynieś Mniszka — rzekł Andrzej.

— Mniszka? Tego lotra? Wystarczy, że niesiemy Zenona.

— Przecież Mniszek nas bronił i w porównaniu z tamtymi to anioł. Bierzemy go,

**panowie, bo jeszcze wykituje.**

**Andrzej dał znak Susułowi. Razem dźwignęli Mniszka. Na szczęście ważył bardzo mało. Susuł przy pomocy Tomka i Tadzika łatwo sobie z nim dał radę.**

**Andrzej i Michał ponieśli Zenona.**

**\* \* \***

**— Masz, zrób spięcie sam, ja tego nie zrobię — powiedział Rajmund, wtykając Magistrowi do rąk końce drutów.**

**Znajdowali się u wylotu schronu, za pancernymi drzwiami. Magister wręczył im watę.**

**— Zatkajcie uszy i otwórzcie usta. Bo wam pękną bębenki.**

**Z watą w uszach i otwartymi ustami zastygli nieruchomo, patrząc na ręce Magistra.**

**Magister zetknął przewody... Wybuchu nie było.**

**— Co jest? — zdziwił się opryszek.**

**Spróbował jeszcze raz. I znowu nic się nie stało. Zaniepokojeni wbiegli do kanału.**

**Przewody były przecięte.**

**Drzwi pootwierane.**

**Spojrzeli na siebie przerażeni. Dodek chciał szukać chłopców, ale Magister wstrzymał go gwałtownie.**

**— Zostaw! Nie mamy czasu. Ten drań Kazek gotów odjechać. Ja go znam...**

**Wybiegli z walizami z kanału.**

**\* \* \***

**Tymczasem stróż Abdulewicz i Szasza bezskutecznie penetrowali cały Ogród.**

**Nigdzie nie było ani śladu chłopców. Czyżby zdolali się już wydostać? Bardzo dziwna historia. Zziajany Mulla po raz pierwszy odrzucił pelerynę i swetry i rozebrał się do koszuli.**

Był zupełnie wyczerpany tropieniem. Miał już tylko jedno pragnienie — dobrnąć jak najszybciej do stróżówki. Nie ma mowy, żeby dał sobie radę z chłopcami, nawet do spółki z Szaszą. Tylko złe psy mogłyby załatwić sprawę.

Mulla już dawno marzył o złych psach. W nocy nieraz śniło mu się, że zawiesza nad bramą Ogrodu tabliczkę: „Wstęp wzbroniony. Uwaga, złe psy!” Ale to był tylko sen.

Zarząd zakładów w Nieklaju, mimo próśb stróża, nie przychylił się dotąd do jego propozycji. Tłumaczono mu, że chodzi o zwierzynę. Psy swobodnie biegające po Ogrodzie wytępiłyby naturalny zwierzostan w obrębie murów. Ale Mulla znajdzie jakieś wyjście. Leśniczy z pobliskich lasów obiecał mu dać psa tresowanego. Już nawet tresuje małego wyżła dla Mully. Mulla będzie go trzymał na uwięzi w stróżówce, żeby nie narazić się miłośnikom dzikiego zwierzostanu Ogrodu, ale gdy poweźmie wiadomość lub podejrzenie, że chłopcy przeniknęli do Ogrodu, pójdzie z psem na smyczy w ich tropy. I wtedy nie spudłuje. Wtedy nie spotka go takie rozczarowanie jak dzisiaj.

Gdzież ci chłopcy się skryli? Szukał ich przecież wszędzie. Próbował nawet zajrzeć do wraku czołgu. Dobrze, że go nikt nie widział, jak wspinał się po żelaznych gąsienicach „tygrysa” aż do wjazdu i dwa razy obsuwał się bezradnie, rozdzierając na dobitkę spodnie i pelerynę. Potem dał spokój i kazał zajrzeć Szaszy. Szasza zajrzał, ale nic nie zobaczył. To prawda, że było już dość ciemnawo, ale przecież dał Szaszy laskę i Szasza pogmerał nią dokładnie we wnętrzu czołgu, a potem dla pewności wrzucił jeszcze dwa kamienie do środka. Ale nic nie pomogło. Nikt nie wyskoczył z czołgu ani się nie odezwał. Nie, nie mogło tam być nikogo. Szasza chciał jeszcze spuścić się na wszelki wypadek osobiście do wnętrza „tygrysa”, ale Mulla go powstrzymał. Szkoda fatygi. Tam ich nie ma. To tylko wymysł tego małego z odstającymi uszami.

Dlatego po blisko godzinnych poszukiwaniach wracali z ponurymi minami,

**zniechęceni i jeszcze bardziej wściekli na Uszatka.**

**Byli już niedaleko stróżówki, gdy wtem Mulla chwycił gwałtownie Szaszę za rękę. W krzakach coś się poruszyło, słychać było wyraźny szelest. Mulla od razu odzyskał humor. — To oni — szepnął, a głośno zawołał: — Stać! Nie ruszać się, obwiesie! No, mamy was nareszcie! Już nam nie uciekniecie.**

**Krzaki znów się zachwiały gwałtownie, słychać było trzask gałązek. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś się przekradał przez zarośla. Mulla dał znak Szaszy i Szasza szybko zajął pozycję z drugiej strony krzaków.**

**Osobnicy w zaroślach musieli zrozumieć, że są w pułapce, bo zaprzestali na chwilę wszelkich ruchów.**

**— Aaa, zmądrzeście na koniec — ucieszył się Mulla — doskonale, ptaszęta... A teraz wychodzić grzecznie gęsiego jeden po drugim. No, słyszeliście? Wychodzić! Już! — potrząsnął groźnie laską, wpatrując się z natężeniem w krzaki.**

**W odpowiedzi rozległ się radosny kwik i z zarośli wyłonił się mały, różowy ryjek.**

**— Co to, o Panie Boże! — przeżegnał się zabobonnie Mulla i patrzył oniemiały, jak z krzaków wymaszerowują jedna za drugą dwie świnki. Małe zakręcone ogonki trzęsły im się dziarsko.**

**— Trzymaj je! — krzyknął Mulla do Szaszy, a sam gnany najgorszymi przeczuciami potoczył się co sił w nogach do stróżówki.**

**Prieczucia go nie myliły. Skobel wraz z kłódką zwisał bezwładnie z otwartych i dziwnie ostruganych drzwiczek chlewika. W środku było pusto. Ani Uszatka, ani nierogacizny.**

**Mulla wydał rozpaczliwy okrzyk i jak oparzony zawrócił w kierunku Ogrodu.**

**Rozdział XXIV**



Ten dzień Anka uważała za zmarnowany. Najpierw Michał zawiadomił ją, że odbędzie się wspólna akcja wszystkich — i Kolonistów, i Piratów — przeciwko złodziejom i będą szukać podkopu. Prosił, żeby Związek Zielonych Jaszczurek wziął w tym udział. Oczywiście, zgodziła się chętnie.

Tymczasem, kiedy przyszła o godzinie pół do jedenastej do Ogrodu, zamiast wspólnej akcji ujrzała grzmocące się chłopaczyska. Właściwie według traktatu z Piratami powinna im była wtedy pomóc, ale trafiła akurat na moment, kiedy Zenon roznosił pokrzywami Kolonistów i zwycięstwo jego wyglądało na pewne. Pomoc wydawała się jej w tej sytuacji zbyteczna i z ulgą wycofała się z Ogrodu.

Przez resztę dnia dziewczęta wywoływały zdjęcia zwierząt i robiły odbitki.

Wieczorem jednak nadeszła wiadomość, że Zenon i dwu innych Piratów dotychczas nie powróciło i że matki chłopców bardzo się niepokoją z tego powodu.

Anka przestraszyła się tą wiadomością. Zbyt dużo złych, tajemniczych rzeczy zdarzało się w Ogrodzie. Podejrzewała, że Zenon mógł wpaść w ręce opryszków, tych samych, co zatłukli jeża.

Nie wiedziała jeszcze, czy odważy się wejść wieczorem do Ogrodu, ale w każdym razie postanowiła sobie, że będzie patrolować mur. To powinno najłatwiej doprowadzić do celu. Złodzieje wieczorem na pewno spróbują przejść w jedną lub w drugą stronę, a wtedy...

Anka uśmiechnęła się w myśli.

Już o pół do dziewiątej dwanaście dziewczynek przechadzało się w małych grupkach koło muru, jedne niosły książki, inne piłki i nawet najbardziej podejrzliwemu detektywowi nie przyszłoby do głowy, że ten zbiorowy spacer dwunastu podlotków ma co innego na celu niż rozkoszowanie się urokami wieczoru.

Przez pierwsze pół godziny nie działo się nic podejrzanego, ale parę minut po

**dziewiętej jakiś samochód zajechał pod mur między wylotem a Bagnem i parę razy zamrugał światłem...**

**— To oni — od razu powiedziała Anka.**

**\* \* \***

**Kazek spojrzal na zegarek i wygasil światła w samochodzie.**

**„Powinni zaraz nadejść” — pomyślał.**

**Wziął drabinkę sznurową i zaczął ją przewijać. Zeszłym razem stracili masę czasu na rozplątywanie. Żeby tylko ktoś nie nadszedł. Nie chciałby być przez nikogo widzianym w tym miejscu. Podobno jacyś smarkacze pętają się w tych stronach, ale on na szczęście minął tylko jakieś grzeczne dziewczynki z piłkami i książkami. Pewnie wracały ze spaceru.**

**Wyjrzał dla pewności z wozu, ale nikogo nie było.**

**\* \* \***

**Anka odbierała meldunek od Doroty.**

**— Więc widziałaś z bliska ten samochód?**

**— Tak, przejechał koło mnie. Marka warszawa, numer rejestracyjny zaczynał się na W.**

**— To znaczy, że z Warszawy — mruknęła Anka. — Ile ludzi w środku?**

**— Tylko kierowca. Chyba czeka na kogoś, bo co trochę niecierpliwie wygląda z wozu.**

**— Warto mu się lepiej przyjrzeć — powiedziała Anka — poczekajcie na mnie, zaraz wrócę.**

**To mówiąc wyszła z za krzaków. Była bardzo zdenerwowana. Pomyślała, że coś musi robić, żeby jej nagłe zjawienie wyglądało naturalnie i niepodejrzanie. Wyjęła więc książkę spod pachy i zaczęła udawać, że idzie zaczytana. Zapomniała zupełnie, że już się ściemniło i**

że nikt nie czyta książek przy księżycu.

„Pochłonięta lekturą” przesunęła się pomału jak zaklęta między samochodem a murem...

\* \* \*

Kazek potarł sobie czoło... Nie. Nie zdawało mu się... Koło muru szła wolnym krokiem z wyciągniętą ręką dziewczynka. W ręku trzymała książkę. Obeszła dookoła samochód i oddaliła się w stronę krzaków...

Kazek odprowadził ją zdziwionym wzrokiem i pokręcił głową. Coś takiego widział po raz pierwszy w życiu. Lunatyczka. Ale w takim miejscu...

\* \* \*

Gdy tylko zasłoniły ją krzaki, Anka puściła się biegiem. Wróciła do dziewczynek, z oczami błyszczącymi gorączkowo.

— Odkryłaś coś? — zapytały dziewczęta.

— Coś okropnego.

— Okropnego?

— Tak. To na pewno samochód złodziei.

— Skąd wiesz?

— Zaraz wam wytłumaczę — szepnęła zadyszana Anka. — Więc... więc najpierw czarna stopa.

— Jaka znów stopa?

— A tam, na murze koło samochodu.

— Na murze?

— Tak. Dwa metry od ziemi widać wyraźny odcisk ubłoconego w czarnym błocie buta. To mnie od razu zdumiało. Jak ktoś mógł tak wysoko chodzić po murze? Człowiek-

**mucha czy co? A teraz zobaczyłam drabinkę sznurową w samochodzie...**

**— Widziałś drabinkę sznurową? — Dorota spojrzała z niedowierzaniem.**

**— To na pewno była drabinka sznurowa. Szofer ją właśnie przewijał. Najpierw pomyślałam, że to hamak, ale to była drabinka, bo taki nie bardzo szeroki, a gruby sznurowy kłęb. Zresztą skąd by się wziął tak wysoko ślad na murze, musieli tam wchodzić po tej drabince. „A jeśli to jest drabinka sznurowa — pomyślałam — i ten kierowca tak czeka niespokojnie, to na pewno w Ogrodzie są złodzieje”. Ci, co się włamali do magazynu wzorcowni.**

**— Więc co teraz robić? — zapytała Dorota.**

**— Trzeba będzie zawiadomić milicję — szepnęła podniecona Celina.**

**— Przede wszystkim musimy być cicho — powiedziała Anka.**

**— Żeby oni się w niczym nie połapali... Patrzcie, a to co? — chwyciła nagle dziewczęta za ręce...**

**Oto kierowca wyskoczył z wozu, rozejrzał się, czy go nikt nie widzi, porwał z tylnego siedzenia drabinkę i przerzucił jeden koniec przez mur.**

**— A widzicie, że to była naprawdę drabinka sznurowa! — szepnęła Anka.**

**\* \* \***

**Kazek nadstawił ucha. Za murem coś się poruszało. Nadsluchiwał przez chwilę. Tak, nie pomylił się. Tym razem usłyszał wyraźny szelest liści. Ktoś się przedzierał przez zarośla. „To oni” — pomyślał.**

**Oczekiwał w napięciu. Drabinka naprężyła się, ale zamiast groźnej twarzy Magistra na murze ukazała się śmieszna twarz chłopczyka o nieco odstających uszach.**

**Kazek osłupiał i zamrugał powiekami, jakby chciał odpędzić senne przywidzenie.**

**Ale zjawa nie zniknęła. Wiedział, że Magister umie „zmieniać” twarz, ale nie potrafiłby**

**chyba przemienić się w chłopczyka-wyplosza. Cóż to więc za kawały?**

**Mały musiał być niemniej zaskoczony, bo z tego wszystkiego zaplątał się w drabinę i spadł... prosto w ręce Kazka.**

**Opryszek przez chwilę medytował, co ma z tym fantem zrobić. Mały tymczasem oprzytomniał już i zaczął mówić szybko:**

**— Proszę pana, tam w Ogrodzie... złodzieje!**

**— Co tutaj robisz? — wykrztusił Kazek.**

**— Ja... ja... biegnę... na milicję, proszę pana.**

**— Na milicję?**

**— Tak. Niech pan mnie podwiezie samochodem — zadyszał. — To bardzo ważne.**

**Tam, w Ogrodzie... przez stary kanał... złodzieje do wzorcowni... złapali chłopców. Musimy na milicję! Szybko na milicję!**

**Twarz kierowcy poczerwieniała.**

**— A ty pętaku! — wycedził.**

**Zatkał mu usta ręką i pospiesznie zaniósł do samochodu.**

**\* \* \***

**Dziewczęta obserwowały to wszystko z pobliskich zarośli.**

**— Ależ to przecież Adenauer! — szepnęła Anka.**

**— Szybko, dziewczynki. Ten bandzior go zabije! — denerwowała się Joasia.**

**— Zaraz, najpierw musimy się zastanowić, jak to zrobić — rzekła Anka.**

**Poszeptały przez chwilę. A portem poderwały się wszystkie i podbiegły do wozu...**

**— Co pan mu zrobił?**

**— Ja nic... — wzdrygnął się zaskoczony kierowca.**

**— On przecież nie żyje!**

— Skądże znowu — kierowca potrząsnął Światkiem — ze strachu tak omdlał, o, już otwiera oczy!

— Dlaczego go pan związał? — krzyknęła Anka. — Niech go pan zaraz puści!

Kierowca zwolnił uścisk.

— To złodziej! Złapałem złodzieja! Nie widziałyście? Przekradał się przez mur, zawiozę go na milicję...

Dziewczynki mrugnęły do siebie porozumiewawczo.

— Co pan mówi? O Boże — wdarły się do samochodu. — Nic nie widziałyśmy!

Niech pan nam opowie! — obsiadły przednie i tylne siedzenia... cisnęły się u drzwi.

— Odsuńcie się, no, wysiadajcie, dziewczynki! — nacisnął starter. — Teraz nie mam czasu — opędzał się — muszę szybko na milicję.

Ale dziewczęta ani myślały wysiąść. Zaczęły się napraszać natarczywie.

— Niech pan nas przewiezie... Niech pan nas zabierze.

— Będziemy za świadków!

Tymczasem schowana za ich plecami Anka jednym ruchem finki rozcięła więzy

Światka. Celina otworzyła gwałtownie drzwiczki. Anka wypchnęła Światka, a Dorota porwała drabinkę.

Kazek zorientował się w podstępnie dopiero wtedy, gdy Światek i Anka byli już daleko.

— Stać... złodziejka... moja drabinka! Puśćcie mnie! — wypychał dziewczęta z wozu.

One zaś, owszem, wyskoczyły, ale zatrzasnęły za sobą drzwiczki i trzymały z całej siły. Po pięć par rąk z każdej strony.

Uwięziony Kazek krzyczał rozpaczliwie i miotał się w samochodzie, szarpiąc to jedne drzwiczki, to drugie... Wreszcie odkręcił szybę, wystawił rękę przez okno i usiłował bić

**dziewczynki korbą. Wtedy już dłużej nie ryzykowały, puściły drzwiczki i uciekły...**

**Kazek wyskoczył z wozu i gonił je wielkimi susami, ale one rozpierzchły się na wszystkie strony, krzycząc przeraźliwie:**

**— Złodziej w samochodzie!... Włamywacz!... Gangsterzy! Na pomoc! Ratunku!**

**Banda!... Złodzieje... koło Ogrodu!**

**I tak w kółko jak najęte, najpierw każda sobie, a potem skandując razem:**

**— Wła-my-wa-cze w fa-bry-ce! Wła-my-wa-cze! Zło-dzie-je! Wła-my-wa-cze! Złodzie-je!**

**To brzmiało strasznie. Kazek zatrzymał się jak rażony piorunem. Czyżby te sroki wiedziały o wszystkim? Zatkanął uszy... rzucał na boki spojrzenia pełne strachu. Wreszcie nie wytrzymał nerwowo, zawrócił pędem do wozu i zapuścił motor.**

**Już miał odjechać, kiedy usłyszał za murem kroki i znajomy głos Magistra:**

**— Kazek... drabinka...**

**— Nie ma drabinki — mruknął — dzieci gwizdnęły.**

**— Jak to... jakie dzieci?**

**— A te bachory... Mogliście nie puszczać tego chłopaka.**

**— My, chłopaka? — zdziwił się Magister.**

**— Wszystko przez niego i przez te żmijki... Najgorsze, że wiedzą o wszystkim...**

**Jesteśmy spaleni... zaraz przyjedzie blacha.**

**— Żeby cię nagła krew zalą!... — Magister zaczął miotać okropne przekleństwa.**

**— O jakim szczeniaku bredzisz, o jakich żmijach?**

**— No, o tym małym, uszatym.**

**— Nic nie rozumiem.**

**— Przez to wszystko zawalone. Ja wam mówiłem. Jadę bez ryzyka. Miało być bez**

ryzyka. Ja mam to wszystko w pięcie — wrzeszczał nieprzytomny ze strachu Kazek. — Ja odjeżdżam... — nacisnął sprzęgło i włączył bieg.

— Nie odjedziesz... Kazek... Draniu! Nie zrobisz tego. Zaczekasz... Kazek... ty świniu!

Ale Kazek nie słuchał go i ruszył. Samochód, rżąc po nierównościach drogi, zaczął się oddalać coraz szybciej.

Magister i Dodek z walizką biegli po drugiej stronie muru, krzycząc bezradnie:

— Kazek... nie zostawisz... draniu... nie zostawisz... poczekaj... nie odjeżdżaj!...

## Rozdział XXV

Światek biegł co sił. Brakowało mu tchu. Tyle czasu stracił przez tego kierowcę.

Niepotrzebnie się zląkomił na drabinkę, co mu nagle zwisła z muru. I dlatego wpadł w ręce współnika bandy. Ten drań kierowca myślał pewnie, że to jego kumple już nadchodzą, i tak się pospieszył z tą drabinką. Ale jeśli tak myślał, to znaczy, że nie ma czasu. Złodzieje już widać zakończyli robotę. Czy uda się ich złapać? Całe jeszcze szczęście, że dziewczynki go uratowały. Inaczej wszystko by przepadło. Bandyta by go wywiózł albo do meliny, albo gdzieś za miasto, a może nawet zamordował. Pewnie, że mógłby zamordować, ze strachu, że Światek go zdradzi. Ze strachu wszystko taki drań może zrobić. Ale teraz to już nic... już się Światek nie boi. Nawet gdyby on sam nie dobiegł, to za nim biegną dziewczynki i one zaalarmują.

Ale Światek bardzo chciałby dobiec pierwszy i złożyć zeznania. Dziewczynki nie widziały tego wszystkiego, co on widział tam, w Ogrodzie.

Już ulice. Choć wieczór, to pełno ludzi na ulicach, bo taka pogoda. Jacyś ludzie wołają:

— Chłopcze, gdzie tak pędzisz?



— Uważaj!

— Co to się dzisiaj wyrabia z tymi dziećmi. Nawet wieczorem wyścigi!

— Hej... ty łobuzie, mógłbyś uważać!

Pewnie znów kogoś potrącił i nie może nawet przeprosić, bo tak się śpieszy, zresztą nie ma już tchu.

Rower pod gospodą! Widocznie jakiś kolarz wstąpił do środka na piwo. Świątek, nie namyślając się, wskoczył na siodełko, pedałuje co sił. Teraz jedzie, pędzi szybko. Może jeszcze zdąży przez ten szczęśliwy przypadek.

Ale już tam, z tyłu, podniósł się krzyk:

— Złodziej!... Mój rower!... Skradł rower!... Łapać złodzieja!

Widocznie ze sklepu wypadł właściciel roweru i robi taki alarm. Ale jak się przekona, po co Świątek pożyczył jego rower, to już nie będzie krzyczał, nawet będzie dumny, że Świątek przyjechał na jego rowerze. Wciąż jeszcze krzyczą. Ścigają go. Żeby tylko go przyjęli na komisariacie.

\* \* \*

Wpadł ledwie żywy i od razu skoczył do balasek, za którymi siedział puciołowaty milicjant w szaroniebieskiej koszuli, nawet znajomy milicjant. Można powiedzieć, że sąsiad. Mieszka też w nowych blokach, jak Świątek, a nazywa się sierżant Kubas. Zawsze chodzi w eleganckim mundurze z błyszczącym sznurem i odznakami, a oprócz tego słynie jako bokser wagi półciężkiej w „Gwardii” Nieklaj.

Jak tylko chłopcy coś zrobią, wszystkie mamy i babcie z Nowej Kolonii straszą

Kubasem: „Czekajcie, powiemy Kubasowi!”

Chłopcy udają, że się boją Kubasa, ale naprawdę to on znów nie jest straszny, a przeciwnie, morowy chłop.

Wystarczy tylko powiedzieć: „To przez gołębie, proszę pana” — a wszystko przebacza.

Bo sierżant Kubas ma słabość do gołębi i chłopcy wiedzą, że trzeci gołębnik za blokiem, na wydmach to jest właśnie sierżanta Kubasa.

Więc Świątek ucieszył się. Bądź co bądź, ze znajomym ma do czynienia. Ale okazało się, że to właśnie było fatalne. Bo sierżant wcale nie myślał poważnie go słuchać, tylko od razu:

— No, co tam, znów szybę się stłukło, gołębiarzu?

— Nie, tylko włamywacze są w fabryce — zadyszał Świątek. — Przez ogród się dostali, przez czółg, proszę pana, i zamknęli chłopców, a tu są ich chusty — wyciągnął z kieszeni pirackie chusteczki.

Ale już, jak to mówił, to pomyślał, że chociaż to szczerą prawdą, to niepoważnie brzmi i jakoś niewiarygodnie. I rzeczywiście, tak widać zabrzmiało w służbowych uszach sierżanta Kubasa, bo najpierw uniósł zdziwioną brwi, a potem zaśmiał się i poklepał Świątka po ramionach, jakby usłyszał dobry kawał.

Potem zaś powiedział:

— A wiesz ty, która godzina? Już pół do dziesiątej. Smaruj mi szybko do łóżka.

Ale Świątek nie ruszył się.

— Słowo daję... przez czółg weszli i przez kanał — powtarzał.

— Bzika dostajecie na punkcie przestępczości. Musicie czytać okropne i niewychowawcze książki kryminalne — zmarszczył się sierżant.

— Niech pan ratuje chłopców... niech pan mi uwierzy — mówił ze łzami Świątek. —

Ja naprawdę widziałem złodziei... Widziałem w kanale Rajmunda i Dodka, a jeden, proszę pana, to mi zarzucił drabinkę na mur, jak biegłem. Ja się zląkomiłem i wszedłem po tej

drabince, a on mnie złapał, związał i chciał wywieźć autem.

Milicjant pokiwał głową.

— I co jeszcze ci zrobił?

Więc Świątek opowiedział mu wszystko od początku: o kanałach, o uwięzionych chłopcach, o tym, jak przeszedł przez kratę. Ale im więcej podawał szczegółów, tym bardziej sierżant Kubas mu nie dowierzał. Świątek pomyślał, że może za dużo mówił i że trzeba było tylko zrobić tajemniczą minę. Podobno milicjanci to lubią.

Niestety, już było za późno. Sierżant spojrział z troską na mizerną twarzyczkę i odstające uszy Świątka, położył mu rękę na czole. Było rozpalone. Zbadał puls. Był bardzo szybki.

— Pewnie objadłeś się zielonych gruszek, co? Albo zgrzany jadłeś lody?

Świątek zaczerwienił się i chciał się rozplakać, że Kubas nic a nic mu nie wierzy.

— Niech pan zapyta, niech pan zatelefonuje, czy ci chłopcy, o których mówiłem, są w domu. Oni wcale nie przyszli na obiad, a co do tej drabinki, to zaraz ja pokażę panu, bo dziewczynki już ją niosą.

W tym momencie wpadły dziewczynki — Anka, Celina i Zośka — tak zadyszane, że nic nie mogły wykrztusić i tylko bez słowa rzuciły na pulpit drabinkę sznurową.

Kubas rozwinął ją zdumiony.

— Czy to, co mówi ten gołębiarz, to jest prawda? — zapytał.

— Tak... — powiedziała Anka — szybko... na pomoc... włamywacze... bandyci...

Wtedy znów dla odmiany zaczął się bać Kubas, że może coś naprawdę się stało, a on sobie żartował.

Błyskawicznie skoczył do telefonu i postawił na nogi całą milicję Nieklaja. Wtedy jeszcze bardziej się przeraził alarmem, który zrobił, i powiedział do dziewczynek pełen

**niepokoju:**

**— Słuchajcie, sroki. Postawiłem na nogi wszystkie siły milicyjne Nieklāja. Jeśli to jest tylko wasz wymysł, zostanę zniszczony, zdegradowany i ośmieszony, i będę mógł najwyżej zostać strażakiem.**

**Dziewczynki jednak nie przeraziły się bynajmniej tej perspektywy, i uszczęśliwione, wypadły na ulicę.**

**\* \* \***

**Tymczasem Magister i Dodek wciąż biegali z walizkami koło muru, poszukując przejścia.**

**Wreszcie Magister kazał Dodkowi stanąć przy murze, wspiał się na jego ramiona, a stąd wdrapał się na mur.**

**Dodek wołał przedostać się przez Bagno.**

**\* \* \***

**Kiedy milicja nadjechała, ujrzała, na tle srebrnych od księżyca chmur, sylwetkę biegającego tam i z powrotem po murze osobnika. Był to właśnie Magister. Nie mógł zejść, a bał się zeskoczyć. Więc zaproponowano mu zejście po milicyjnej drabince. Musiał skorzystać z tego zaproszenia. W jego walizce odkryto całą dokumentację, wirnik i niektóre inne części „wirusa”.**

**Długo nie można było odnaleźć Dodka. Wreszcie sierżant Kubas zauważył, że coś porusza się pod murem w korycie bagnistego strumienia.**

**„To chyba żółw!” — pomyślał.**

**Ale to nie był żółw. To była głowa Dodka. Opryszek zdołał precyzyjnie przycisnąć tylko głowę, lecz ramion nie potrafił. Głowa też już nie chciała wyjść z powrotem, leżał więc jakby trzymany za gardło i jęczał:**

— Ratunku!

Trzeba było podkopać dno strumienia i dosłownie wydłubywać go z Bagna.

Najdłużej szukano Rajmunda.

Znalazł go dopiero Mulla na drugi dzień w Ogrodzie. Okazało się, że Rajmund wpadł do wilczego dołu, złamał nogę i nie mógł się stamtąd wydostać o własnych siłach. Był ledwie żywy i już tracił przytomność.

Podczas gdy jedni milicjanci aresztowali złodziei, drudzy natomiast pojechali do Ogrodu. Tych czekały nie mniejsze przeżycia. Można sobie wyobrazić przerażenie przedstawicieli władzy, gdy w podziemnym kanale, o którym nikt nie miał pojęcia, odkryli magazyn amunicji zdolny wysadzić miasto.

Na próżno jednak rozglądali się za chłopcami. Znaleziono ich dopiero we wzorcowni, gdzie spokojni już o całość swojej skóry, pili wodę i robili Zenonowi zimne okłady na głowę. Obok siedział na podłodze i jęczał ostatni z przestępców — Mniszek. Zenon odzyskał już przytomność, a przybyły natychmiast doktor Otrębus stwierdził, że stan jego nie budzi poważniejszych obaw.

Już pobieżne badanie wykazało, że hipoteza Anki była słuszna. Przestępcy podeszli starym kanałem pod pawilon wzorcowni. Następnie wykuli otwór w stropie kanału, podkopali się pod podłogę magazynu i przepiłowali legary, na których spoczywały deski. Następnie, zabezpieczywszy je prowizorycznie, wyjęli część podłogi i weszli do magazynu. Kiedy milicja na próbę wyjętą część podłogi starannie założyła na miejsce, okazało się, że rzeczywiście nic nie widać.

Rzecz jasna, wszyscy gratulowali odkrycia Ance, a sierżant Kubas mianował ją honorowym ekspertem milicji.

Z chłopcami natomiast był kłopot. Nikt, nawet pani Bożena i mądry doktor Otrębus,

nie wiedział, czy ich karać za to, co zrobili, czy nagrodzić. Ostatecznie jednak odpuszczono im lekkomyślność i, wzięwszy pod uwagę szlachetne pobudki ich działania, nagrodzono wycieczką do Sandomierza pod światłym kierownictwem doktora Otrębusa i pani Bożeny. Dobrze i to.

Jeśli zaś chodzi o dalsze stosunki między Kolonistami i Tubylcami, to nie wiadomo jeszcze, jak się ułożą. Na razie podjęto stosunki dyplomatyczne, a dalsze pertraktacje są dopiero w toku.

Chyba jednak wszystko ułoży się pomyślnie, bo Zenon skompromitowany w sprawie skarbu Szwajsa ustąpił ze stanowiska wodza, a na jego miejsce Piraci wybrali Michała. Tego samego dnia odbyła się skromna, ale wzruszająca uroczystość: nominacja Światopelka Dauera na stanowisko porucznika Piratów.

Ale szczerze mówiąc, nikt, prócz Światka, nie jest naprawdę zadowolony w Nieklaju. Doktor Otrębus chodzi załamany odkryciem tajnych związków, machinacji i pirackich wypaczeń w szeregach rycerzy Grunwaldu. Nie pociesza go nawet wspaniały sukces inscenizacji bitwy pod Grunwaldem w dniu 22 lipca.

— Nie potrafię konkurować z Bosmanem. Nie pływałem po morzach, nie opowiadam bajd i nie piję wódki. Nie mam żadnych szans — zwierza się z goryczą pani Bożenie.

— Nieprawda, panie Gwidonie — mówi pani Bożena — jest pan im tak samo potrzebny, jak Bosman... I oni lubią pana też, choć inaczej. Naprawdę. Zresztą bez pana przecież Nieklaj nie byłby Nieklajem.

Ale doktor Otrębus wzdycha tylko pod nosem.

\* \* \*

Także Anka chodzi przygnębiona. Do Ogrodu zaczynają zwozić cegłę, piasek i wapno. Będą odbudowywać pałac i porządkować Ogród. Wprawdzie ojciec obiecał

**starodrzew i największe gąszcza ogrodzić siatką i zamienić w rezerwat dla żółwi, Kity, a nawet Hilarego, ale to już nie jest to.**

**Z Wysokich Polan dochodzi brzęk łopat, głosy robotników i warkot motorów.**

**Koniec puszczańskiej ciszy. Nowa era. Ogród się cywilizuje. Odeszli z niego na zawsze niedźwiedź Tłuścioch, ryś Bazyli i spokojny borsuk Ciapa.**

**Anka nawet tam już nie zagląda... Zresztą i Piraci, od czasu wyjaśnienia tajemnicy skrzyń Szwajsa, też jakoś się mniej interesują Ogrodem.**

**Chodzą teraz wszyscy do lasu Zgórskiego. To daleko, ale za to znajdują się tam podobno nie tknięte stopą ludzką gąszcza i dziki, zupełnie dziki staw.**